

HISTORIE ODNALEZIONE



Fot. Maria Puch

ZALESIE GÓRNE 2016-2022



Projekt sfinansowany z budżetu powiatu piaseczyńskiego

W Zalesiu Górnym mieszkają albo mieszkali ludzie, o których warto, a nawet trzeba opowiedzieć. Z Zalesiem związanych jest też wiele ciekawych opowieści, nierzadko dramatycznych, które powinny być opisane. Ludzie odchodzą, a wraz z nimi historia, która działa się na ich oczach.

Świadomość, że te cenne historie mogą odejść w niepamięć podsunęła nam, grupie kilkunastu aktywnych mieszkanki Zalesia Górnego, pomysł, żeby spisywać wspomnienia zalesian i je publikować. Stowarzyszenie Rodziców TU wystąpiło i otrzymało wsparcie ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach programu *Dom Kultury+ Inicjatywy Lokalne 2016*. Koordynatorką tego międzypokoleniowego projektu, zakładającego aktywizowanie osób 60+ i młodzieży, została Julita Gopsz-Stasiak.

Pierwszym owocem współpracy był w 2016 roku biuletyn „Historie Odnalezione”, w którym znalazły się m.in. wspomnienia Krystyny Staweckiej, Danuty Kroc, Barbary Tokarskiej, Małgorzaty Pietrzykowskiej. Autorkami wywiadów, które znalazły się w pierwszym biuletynie, były Aleksandra Kozicka-Puch, Ewa Kamińska i Nina Wierzbicka. Dr Mirosław Grzyb, leśnik, znawca fauny i flory, fotografik, posiadający bogatą kolekcję zdjęć, interesująco opisał dzieciństwo i pionierskie życie w Zalesiu. Wystawa, wieńcząca projekt „Historie Odnalezione”, zaprojektowana i zaaranżowana przez Aleksandrę Dąbrowską-Synkiewicz, miała miejsce w piwnicach domu Wisłockich. W wysprzątanym przez wolontariuszki pomieszczeniach stanęły sztalugi z planszami, na których prezentowane były teksty i zdjęcia z biuletynu.

W listopadzie 2017 roku zaprezentowałyśmy drugi numer „Historii Odnalezionych”. Zawierał on między innymi przeprowadzoną przez Ninę Wierzbicką i Annę Antczak ciekawą rozmowę z architektką Joanną Giecewicz, projektantką kościoła w Zalesiu Górnym. Prezentacja nowego numeru odbyła się w Domu Kultury przy ulicy Białej Brzozy. Wystawę odwiedziło wielu mieszkańców Zalesia, którzy z dużym zainteresowaniem zapoznawali się z nowym numerem biuletynu. Nawiązałyśmy nowe znajomości i zyskałyśmy sympatyków.

Kolejny, trzeci numer, rodził się w trudnych czasach pandemii. W 2020 roku nasz zespół redakcyjny spotykał się wirtualnie na Zoomie, a wywiady przeprowadzałyśmy w reżimie sanitarnym, na tarasach i w altanach. I udało się! Jola Jarosz, zalesianka od urodzenia, barwnie opowiedziała o latach swojego dzieciństwa na Domance, swoimi wspomnieniami podzieliły się też Antonina Królikowska i Ania Żółkiewska. O tym, jak przybyły do Zalesia i go polubiły, opowiedziały Nina Wierzbicka, Ewa Kamińska i Ela Nowińska.

W grudniu 2021 ukazała się czwarta edycja „Historii Odnalezionych”. Skład redakcji znacznie się powiększył. Duże znaczenie miał fakt, że dołączyła do nas dziennikarka Magda Mikołajczak-Olszewska, która podzieliła się z nami wiedzą i doświadczeniem, co bardzo pozytywnie wpłynęło na jakość naszych artykułów.

Ostatni, piąty numer ukazał się w grudniu 2022. Wernisaz odbył się w bibliotece przy Białej Brzozy, która od lat jest partnerem naszych projektów. Profesjonalne warsztaty z redaktor Magdą Olszewską-Mikołajczak rozwinęły nie tylko nasze umiejętności pisarskie, ale nauczyły nas, jak dobrze przeprowadzić wywiad, rzetelnie przygotować materiały i zdjęcia.

Do zespołu redakcyjnego dołączyły: Teresa Pluta, kopalnia wiedzy o naszej przeszłości oraz Grażyna Kucharska, Alicja Szostakowska i Maria Wilczyńska.

Wyrazy uznania należą się Julicie Gopsz-Stasiak, koordynatorce projektu, bez której „Historie Odnalezione” by się nie pojawiły. To ona starała się o środki finansowe i granty, prowadziła spotkania i pomagała w redagowaniu wszystkich tekstów oraz zajmowała się sprawami związanymi z wydawaniem biuletynów drukiem.

Trzeba przyznać, że zalesianie są pionierami w propagowaniu i utrwalaniu historii na terenie powiatu piaseczyńskiego. To właśnie w Zalesiu Górnym powstała inicjatywa spisywania i publikowania zalesiańskich wspomnień.

„Historie Odnalezione” to nowa próba opisania rzeczywistości, sięgnięcie do wspomnień znanych i mniej znanych mieszkańców. Zapraszamy chętnych do współpracy, mamy nadzieję na zdobycie środków na kolejne wydania.

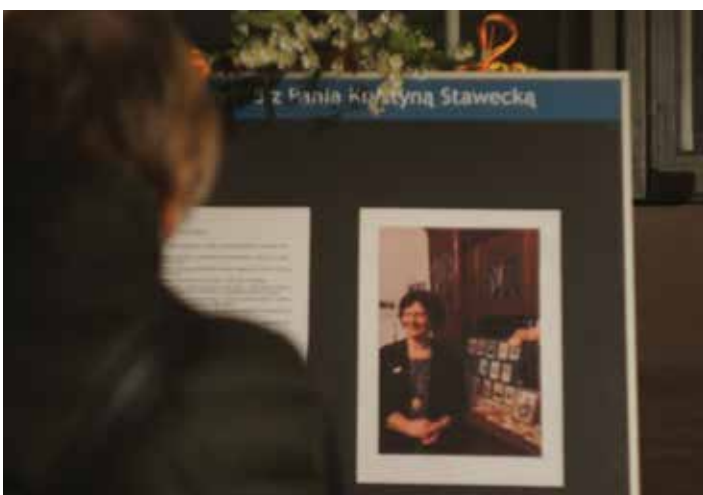
Na 70-lecie naszej wsi, dzięki zaangażowaniu wielu osób, wydana została książka pt. „Zalesie Górne 1930 – 2000”. Marzeniem naszym jest, by z materiałów opublikowanych w „Historiach Odnalezionych” powstała kolejna książka.

Jolanta Jarosz-Hryniewicz, Elżbieta Nowińska, Nina Wierzbicka



Fot. Maria Puch

Wernisaż 2016 w piwnicach domu Wisłockich





**Stowarzyszenie Rodziców TU
wraz z Centrum Kultury w Piasecznie**

**serdecznie zapraszają na uroczyste otwarcie
wystawy będącej podsumowaniem projektu**

ZALESIE GÓRNE
**O HISTORIE
DNALEZIONE**



@historie.odnalezione

**24 października 2016 o godz. 18:00
w podziemiach Domu Rodziny Wisłockich**

Wystawa w tym niezwykłym miejscu będzie do 1 listopada, można ją będzie obejrzyć po umówieniu z organizatorkami. Nasz e-mail historie.odnalezione@gmail.com

HISTORIE ODNALEZIONE 2016

Spis treści

Historie Odnalezione – projekt Stowarzyszenia Rodziców TU z Zalesia Górnego, <i>Julita Gopsz-Stasiak</i>	1
Opowieść pani Krystyny Staweckiej o pani Zofii Wisłockiej i jej rodzinie	2
Dnie dziecka w zalesiańskiej szkole	4
To było w Zalesiu, <i>Barbara Tokarska</i>	5
Rozmowa z Panią Małgorzatą Pietrzykowską, byłą nauczycielką biologii w zalesiańskiej podstawówce, bibliotekarką i radną	6
Rozmawiamy z leśnikiem Panem Mirosławem Grzybem	8

Historie Odnalezione to projekt Stowarzyszenia Rodziców TU z Zalesia Górnego realizowany wraz z Centrum Kultury z Piaseczna, Biblioteką Miasta i Gminy Piaseczno oraz Zespołem Szkół w Zalesiu Górnym.

Projekt rozpoczęliśmy 16 sierpnia, w domku na Sarenki, grą integracyjną. W kulminacyjnym punkcie działań, lunęło z nieba. Pomimo rześkiego deszczu wszyscy uczestnicy szukali z determinacją schowanych w ogrodzie kopert, odgadywali przeznaczenie przedmiotów, złamali szyfr, który był równaniem matematycznym i ... zjedli skarb oraz kanapki. Gra umożliwiła poznanie się Juniorom i Seniorom, wspólne działanie i ułatwiła pracę w projekcie.

W sierpniu uczestnicy projektu rozwijali swoje umiejętności pod okiem trenerów.

W gościnnych murach naszej zalesiańskiej szkoły odbyły się warsztaty fotograficzne prowadzone przez doświadczoną edytorcę Aleksandrę

oczyszczoną. Odnalezione przez nas historie są zaprezentowane na wystawie.

Swoimi wspomnieniami podzieliła się z młodzieżą Pani Dyrektor Danuta Kroc, kilkugodzinne spotkanie, nagrywane przez zalesiańskie dziennikarki, zakończyło się oglądaniem bogatego archiwum zdjęciowego Pani Dyrektor i entuzjastycznymi okrzykami młodzieży: „czy to pani ...? czy to pan ...?”

Ewa Kamińska namówiła wieloletnich zalesian Małgorzatę Pietrzykowską i Mirosława Grzyba do podzielenia się swoimi historiami.

Pani Małgorzata opowiedziała jak mieszkało się w dawnym Zalesiu, jakie były zwyczaje. Historię ilustrują zdjęcia z bogatego archiwum Pani Pietrzykowskiej.

Pan Mirosław Grzyb opowiedział o swoim dzieciństwie w Zalesiu, swoich pasjach i o ciekawych miejscach w naszej okolicy.

Pani Krystyna Stawecka swą barwną opowieść o naszej miejscowości i historii rodziny Wisłockich, założycieli naszej wsi, podzieliła się z młodzieżowymi dziennikarkami. Spotkanie odbyło się w domu rodziny Wisłockich, zrobiliśmy wiele zdjęć w jednym z najstarszych domów Zalesia.

Fot. Maria Pucht



Kozicką-Puch i warsztaty komputerowe przygotowujące uczestników do profesjonalnego dokumentowania zalesiańskich znalezisk i odkryć. Byliśmy w Muzeum Literatury, gdzie naukowcy opowiedzieli nam, jak szukać źródeł historycznych, co może nimi być i jak przygotować dobrą wystawę. Wzięliśmy udział w warsztatach dziennikarskich prowadzonych przez Agnieszkę Gutkowską byłą dziennikarkę Gazety Wyborczej. Nauczyliśmy się, jak się przygotować i przeprowadzić wywiady z mieszkańcami Zalesia. We wrześniu odwiedziliśmy radio WNET, gdzie Paweł Badzio zapoznał nas z pracą prawdziwej rozgłośni, a pod opieką pana Abgarowicza przygotowaliśmy 3 audycje radiowe, w tym dwie o Zalesiu.

Wyposażeni w nowe umiejętności ruszyliśmy w teren. Znaleźliśmy stare zdjęcia, sfotografowaliśmy ciekawe zalesiańskie obiekty, rozmawialiśmy z mieszkańcami, którzy zechcieli się podzielić swoimi wspomnieniami związanymi z naszą małą

Wystawa kończąca projekt była autorskim pomysłem Oli Synkiewicz. We wnętrzach domu państwa Wisłockich, użyczonych przez Krystynę Stawecką, mogli Państwo obejrzeć historie przez nas odnalezione, stare zdjęcia. Wystawa nie powstałaby bez pań wolontariuszek Marysi Marchlewskiej, Ani Antczak, Bożenki Pacholskiej, Ani Marczak, Irenki Turek i Zosi Burek oraz Ewy Kamińskiej, Marysi Pucht i Oli Pucht.

Historie odnalezione znajdują się w „cache’ach”, czyli skrzynkach ukrytych w naszej miejscowości dla miłośników geocachingu.

Projektem opiekowała się pani Małgorzata Hohenhof-Pondarzewska z Centrum Kultury w Piasecznie.

Projekt dofinansowany ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach program Dom Kultury+ Inicjatywy Lokalne 2016.

Julita Gopsz-Stasiak

Opowieść pani Krystyny Staweckiej

Rozmowę przeprowadziliśmy w jednym z najstarszych domów Zalesia Górnego – w domu rodziny Wisłockich, w Salonie Zofii – tak nazwanym przez panią Krystynę Stawecką.

Pani Zofia Wisłocka nie lubiła mówić o swojej przeszłości z wielu powodów, a do większości dokumentów, informacji, zdjęć i dokumentów pani Krystyna Stawecka dotarła już po śmierci pani Zofii.

Pani Zofia Wisłocka bardzo chciała otworzyć swój dom na potrzeby mieszkańców Zalesia, chociaż długo po jej śmierci nie było pomysłu na to jak to zrobić i jakiego rodzaju działalność tu prowadzić.

Pani Stawecka uważa, że Zofia Wisłocka w pewnym sensie opiekuje się domem do tej pory... ale o tym za chwilę...

Założyciel Zalesia Górnego – Pan Jan Witold Wisłocki (ojciec Pani Zofii) urodził się jeszcze w XIX wieku, w 1876 roku w Brześciu Kujawskim, był człowiekiem wykształconym jak na owe czasy, z zawodu był inżynierem po skończonej uczelni w Grazu.

Przodkowie jego rodziny sięgali korzeniami co najmniej do czasów Sejmu Czteroletniego – istnieje grafika wisząca w salonie pani Zofii przedstawiająca przodka Pana Wisłockiego, który uczestniczył w obradach tego Sejmu.

Pan Wisłocki wyjechał do Petersburga wraz z żoną po tym jak dostał propozycję pracy jako dyrektor kampanii zajmującej się przetwórstwem ropy naftowej. Tam też urodziła się pierwsza córka – Maria.

W czasie rewolucji Rodzina Wisłockich musiała uciekać z Rosji, gdzie byli już poszukiwani. W czasie tej niebezpiecznej ucieczki często korzystali z życzliwej pomocy chłopów na wsiach.

W książce „Idealna rewolucja” autorstwa p. Witolda Wisłockiego jest opisana ta niebezpieczna podróż Rodziny Wisłockich.

Pani K. Stawecka znalazła w piwnicy domu tę książkę oraz wiele innych pamiątek rodzinnych schowanych w podróznym kufrze.

Ta ciekawa i trudna książka mówi wiele o zainteresowaniach filozoficz-



Fot. Julia Tyrczonek

nych i politycznych jej autora. Jak wynika z treści tej książki Pan Wisłocki w 1917 roku z żoną i jej matką oraz z rocznym dzieckiem – córką Marią dotarli bezpiecznie na teren Królestwa Polskiego tylko dzięki temu, że posiadali specjalny list polecający wystawiony przez jednego z krewnych – wuja profesora na Uniwersytecie Jagiellońskim – o nieznanym dziś nazwisku, iż Witold jest potrzebny na Uniwersytecie i musi wracać do Krakowa.

Stamtąd młoda rodzina przedostała się dalej a po odzyskaniu niepodległości przeniosła się w okolice Warszawy.

Okres międzywojnia był dla Rodziny Wisłockich bardzo szczęśliwy, wtedy też urodziła się w roku 1922 pani Zofia Wisłocka.

Pan Jan Witold Wisłocki, który miał wówczas mieszkanie w Alejach Jerozo-

limskich w Warszawie, prowadził wraz z bratem bardzo duże gospodarstwo w Płudach na Białolece, które po wojnie zostało znacjonalizowane.

Już w czasach międzywojnia Pan Wisłocki zaczął przyjeżdżać na długie spacerować na teren obecnego Zalesia, przechadzał się w okolicach rzeki Jeziorki i wtedy właśnie zrodził się jego plan parcelacji tych terenów.

Młody las w Zalesiu miał zostać zamieniony w osiedle mieszkaniowe, do którego mogliby się sprowadzać mieszkańcy Warszawy. Pan Wisłocki miał kilku sprzymierzeńców tego pomysłu w osobach Pana Racięckiego, Zawadzkiego, Szymborskiego i Waleckiego.

Teren został podzielony na działki, które otrzymały numery ewidencyjne, aby można je było zbywać indywidualnym właścicielom.

Pan Witold zaczął też drukować broszury propagujące ten teren i zachęcające do zakupu działek.

Stowarzyszenie Przyjaciół Zalesia Górnego powstało w 1934 roku.

Pierwszym prezesem był pan Jan Witold Wisłocki. Wkrótce podjęto też starania, żeby trasa kolei z Warszawy do Radomia przechodziła przez Zalesie Górne, a sam Pan Wisłocki ufundował pierwszy drewniany budynek dworca kolejowego.

• • •

Przypuszczamy, że Pan Wisłocki wymyślił taką leśną miejscowość inspirując się



Fot. archiwum rodzinne



Fot. archiwum rodzinne

o pani Zofii Wisłockiej i jej rodzinie

istniejącym już wówczas pod Warszawą Konstancinem.

W latach 30-tych wydzielone działki były już grodzone, powstawały pierwsze domy, oprócz domu państwa Wisłockich powstał wówczas na przykład dom państwa Fryszczynów, Waleckich, Swolkieniów...

Za domem rodziny Wisłockich, w kształcie jaki znamy dzisiaj, znajdował się sad i piękny ogród, które ciągnęły się do ulicy Wiekowej Sosny i Białej Brzozy, a od zachodu aż do obecnego bazaru przy ulicy Koralowych Dębów.

W sąsiedztwie domu zbudowano dwa korty tenisowe oraz teren rekreacyjny, ponieważ córka Maria jeździła konno. Do dziś po tych pięknych ogrodach pozostał okazały żywopłot od strony ulicy Wiekowej Sosny.

Po wojnie pan Wisłocki rozparcelował ten teren na mniejsze działki i zbywał je sukcesywnie.

W dwudziestoleciu międzywojennym istniał zwyczaj, że ludzie fotografowali swoje świeżo zbudowane domy i w formie pocztówek wysyłali znajomym na pamiątkę. Dzięki temu wiemy jak wyglądał świeżo ukończony budynek, ponieważ Pan Wisłocki zlecił wykonanie pocztówki domu od strony południowej.

Pan Witold szybko sprowadził się z rodziną do Zalesia Górnego na stałe. W Warszawie miał tylko biuro, gdzie pracował razem z córką Marią.

Przed wojną w zalesiańskim domu Wisłockich toczyło się bujne życie ro-

dzinne i towarzyskie. Rodziny mieszkające w sąsiednich dworach czy posiadłościach często odwiedzały się wzajemnie. Bywali tu ciekawi ludzie, w tym także artyści, dom tętnił życiem, odbywały się bale, potańcówki i spotkania towarzyskie.

W czasach powojennych państwo Wisłocky utrzymywali się częściowo ze sprzedaży ziemi – działek, nadal uprawiany był pieczolowicie ogród, który dostarczał domownikom warzyw i owoców.

Poza tym niewiele wiemy o tym okresie życia tej rodziny. Być może ze względu na obawy pani Zofii związane z ujawnianiem informacji związanych z czasem wojny, kiedy walczyła w Narodowych Siłach Zbrojnych (NSZ), a jej siostra Maria (ps. „Maruszką”) w oddziałach Armii Krajowej (AK).



Po 1948 roku pan Witold po wywłaszczeniu i zabraniu mu majątku Płudy był wzywany do płacenia wysokich podatków za odebrane mu tereny. Trudną sytuację w jakiej się znalazł przyplacił utratą zdrowia i ostatecznie zawałem w lutym 1951 roku kiedy zmarł.

Rok po jego śmierci – w kwietniu 1952 roku pani Zofia została aresztowana za działalność w czasie wojny. Była torturowana i przesłuchiwana przez UB w więzieniu na ulicy Rakowieckiej w Warszawie, gdzie przebywała aż do marca 1955 roku. Swoje przeżycia więzienne opisała potem w książce „Za kratą”.

Z czasem starsza siostra pani Zofii – pani Maria Wisłocka doczekała się uznania i decyzją Rządu RP w Londynie została odznaczona Krzyżem Armii Krajowej za swoje zaangażowanie w oddziałach AK (była ranna w lasach pod Grójcem).

Pani Zofia również doczekała czasów, kiedy można było uczcić pamięć walczących w NSZ. Wzięła udział w uroczystościach, które miały miejsce w 2002 r. na terenie Żymnych Dołów, gdzie postawiono pamiątkowy głaz kamienny ku czci poległych członków NSZ.

Sam dom rodziny Wisłockich nie ucierpiał wiele w działaniach wojennych. Wiele mebli, sprzętów domowych i wyposażania domu uległo jednak zniszczeniu w czasie wojny. Przez krótki czas mieszkali w tym domu Niemcy, którzy rąbali drzewo na opał na podłodze salonu niszcząc bezpowrotnie śliczną podłogę.

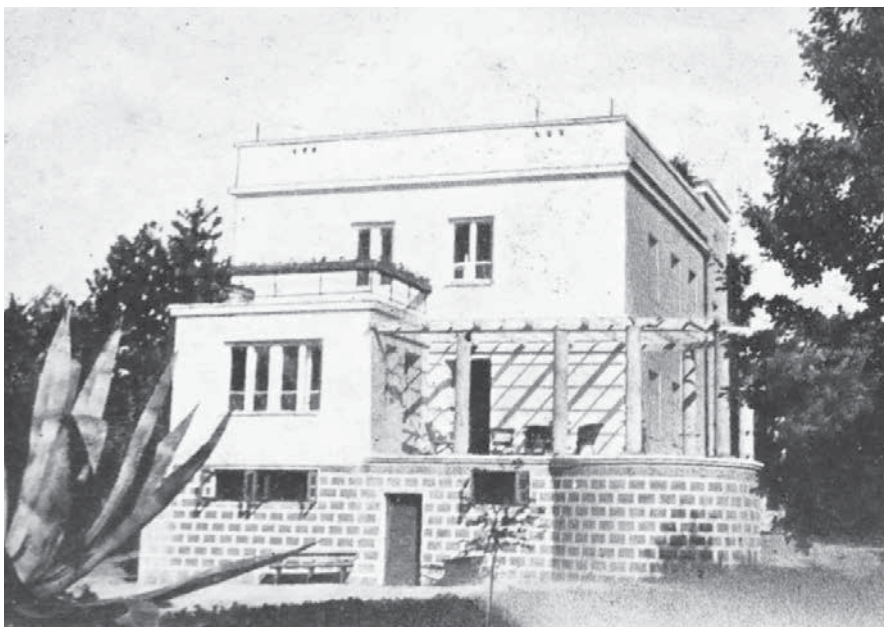
Po śmierci Pani Zofii dom przejęła Fundacja Odrodzenie, powołana specjalnie do tego celu. Prezesem fundacji jest ksiądz Władysław Duda, dawny wikariusz w kościele naszej parafii św. Huberta a obecnie od wielu lat Dyrektor Hospicjum przy kościele św. Zygmunta w Warszawie na Żoliborzu.

Remont domu, który podjęto w rok po śmierci pani Zofii Wisłockiej miał na celu przekształcenie wszystkich istniejących już w domu pokoi w osobne apartamenty z aneksem kuchennym i łazienką, które mogłyby być wynajmowane i w ten sposób można byłoby utrzymać cały dom.

Nie dałoby się tego przeprowadzić bez bezinteresownej pomocy wielu osób, w tym pani architekt Ewy Kozińskiej, która wykonała plan podziału pomieszczeń i nowej instalacji.

Z kolei Pani K. Stawecka wykonała samodzielnie wiele prac związanych z urządzeniem salonu pani Zofii i Witolda na parterze domu. Z uwagi na braki finansowe sama zajmowała się obijaniem mebli i ich renowacją oraz urządzeniem pokoju pamięci po Pani Zofii oraz Jej rodzinie. W hallu domu powieszono portrety członków rodziny, a w pokoju wyeksponowano wiele zdjęć rodzinnych i pamiątek z przeszłości.

Kiedy po remoncie skończyły się pieniądze fundacji po sezonie zimowym



Fot. archiwum rodzinne

dokończenie ze strony 3

przychodzi do zapłacenia ogromny rachunek za gaz na kwotę około 8000.

W domu jedyną lokatorką była wówczas dawna znajoma rodziny – pani Barbara, która zamieszkiwała od wielu lat w tym domu.

Do pomocy przy remoncie zaproszony został student Pan Hubert, który miał naprawić podłogę na parterze, stary stół i stare biurko, które miało zdezelowane i ruchome nogi. W trakcie prac okazało się, że w jednej nieodkręconej jeszcze nodze – kłocu biurka jest małe zawiniątko. Była to skrytka przygotowana w dniu 3 września 1939 roku. Znaleźliśmy tam zawinięte w pergamin i w róg gazety z tą datą dwa złote przedmioty – przetopiona bransoleta o dużej zawartości złota i piękna broszka z szafirem oraz 13 małym brylantami. Znaleźnisko



Fot. archiwum rodzinne

po sprzedaży tych przedmiotów uratowało sytuację finansową fundacji w tym okresie i dzięki jego sprzedaży udało się w terminie zapłacić wysoki rachunek.

Pani Zofia Wisłocka żyła zawsze bardzo skromnie nie wiedząc o istnieniu tej skrytki, a były lata, kiedy musiała bardzo oszczędzać na zakupie węgla na zimę, miała zaledwie nauczycielską emeryturę. Przy tym zawsze starała się dzielić nawet skromnymi środkami z osobami znajomymi, które były bardziej potrzebujący niż ona.

Dom po śmierci Pani Zofii został otwarty zgodnie z Jej wolą i życzeniem, a z inicjatywy Pani Krystyny Staweckiej zaczęły się tutaj odbywać wystawy malarstwa, udostępniano dom na koncerty kolęd i pieśni patriotycznych, a także na naszą wystawę...

Wywiad przeprowadziła grupa młodzieży biorącej udział w projekcie Spisała Aleksandra Kozicka-Puch

Dnie dziecka w zalesiańskiej szkole

Była dyrektorka zalesiańskiej szkoły, Pani Kroc, dni dziecka organizowane przez szkolny samorząd opisuje w ten sposób:

„Z okazji dnia dziecka, na szkolnym boisku zbudowaliśmy kolumnę Zygmunta. I na tej kolumnie między innymi stałam ja.”

W czasie innego dnia dziecka: „Nauczyciele poprzębierali się za bogów greckich. Zorganizowaliśmy także pochod po Zalesiu, na lody, w czasie którego strasznie hałasowaliśmy. (...) Tutaj np. też był bardzo fajny dzień, nauczyciele przebierali się za konkretnych uczniów, a uczniowie za konkretnych nauczycieli. I to jest właśnie Przemek i on się przebrał, jest w mojej sukience, w moich szpilkach, a ja jestem Przemkiem, jestem niesubordynowanym uczniem. A wszystko działo się na takim wybiegu, wybetonowanym placu przed szkołą. Teraz jest to wejście do szkoły podstawowej od ul. Sarenki.”

„Poprzedni budynek szkoły”

Nasza zalesiańska szkoła mieściła się kiedyś w drewnianym budynku przy bazaraku. Tak opisuje to Pani Kroc, była dyrektorka naszej szkoły: „Pokazywałam wam wcześniej ten wielki, drewniany dom, zwany kiedyś kasynem oficerskim. I już w tych czasach trud-

Fot. Julia Skurczyńska



no było powiedzieć o kasynie, więc stał on po prostu pusty. To była prywatna własność Państwa Wisłockich. I Pan Wisłocki wystąpił z propozycją że on ten dom przekaze, nie odda tylko po prostu udostępni szkole. To było coś niesamowitego, to był olbrzymi budynek w porównaniu z tą naszą dawną szkołą. Było siedem klas, nie tylko że się mieściło to siedem klas, to jeszcze na dokładkę były mieszkania dla nauczycieli.”



Fot. Julia Gopsz-Stasiak

To było w Zalesiu

Była piękna Wiekowa Sosna, ale umarła. Nie zniosła cywilizacji, obetonowana, owiana spalinami samochodowymi. Stała może od wieków, pośrodku wiejskiej drogi, wśród gęstego lasu. Cicho tu było i spokojnie, tylko wozy w piątki nad ranem jechały na targ do Piaseczna. Wpadały w zagłębienie terenu, przycichał stukot kopyt i skrzypienie wozów. Jechały dalej.

Tu właśnie kupiliśmy działkę – za ostatnie spadkowe pieniądze. Była zarośnięta dębami, brzoza-
mi i osikami. Do pociągu biegło się borem lasem, od wieków wydeptaną ścieżką. Pod piaskową górkę i w dół. Było blisko, mówiono: jak pociąg zwalnia, to pan Tokarski przyśpiesza! Dziś już nie ma ani ścieżki, ani pana Tokarskiego – został las, drzewa urosły, przybyło domów.

Zacząła się budowa domu – 102 metry sześć, bo na więcej władza ludowa nie dawała kredytów. Zdobywało się materiały, wydeptywało różne ścieżki, korzystało się z przydziałów znajomych – jak się dało!

Dom powoli rósł, nadzieja na poprawę warunków mieszkaniowych (mieszkanie na Saskiej Kępie, niewiele ponad 40 m², dwoje dzieci w gimnazjum, moja mama i my) dodawała sił. A tu – katastrofa! Zawalił się źle zrobiony dach. Może ktoś to pamięta?

Wreszcie stanął dom w pierwszych latach sześćdziesiątych. Co to był za dom! Tylko dwie izby (kuchnia i pokój) miały okna i drzwi, cieniutkie, wewnętrzne. Wiatr hulał, a zimą szron szklął się w rogach. Byliśmy młodzi! Z biegiem lat przybywało drzwi i okien, pojawiły się podłogi, gaz, wodociąg i kanalizacja. Co za komfort!

Budowa domu, codzienne uciążliwe dojazdy do Warszawy (pamiętamy zim-

ne wagony, stare i brzydkie, z boku otwierane!). Ale nie byliśmy sami. Powoli wsiąkaliśmy w społeczność Zalesia.

Pomagała nam praca społeczna, szczególnie w naszej parafii. Pod koniec lat siedemdziesiątych (dokładnie nie pamiętam kiedy to było) zachęciliśmy sporą grupę młodzieży maturalnej do pieszej pielgrzymki warszawskiej do Częstochowy. Oboje z mężem szliśmy razem z nimi w kurzu i upale, w deszczu i chłodzie, przez kilka kolejnych lat w grupie Klubu Inteligencji Katolickiej. W starej skrzyni wyciągniętej z naszej piwnicy wieźliśmy zapasy żywności dla całej naszej zaleskiej grupki. Szli z nami czołowi działacze solidarnościowi. Zawiązały się długotrwałe znajomości i przyjaźnie, przeżywało się wspólnie powstawanie Solidarności, w drodze owiewał nas powiew wolności. Pozdrawiali nas milicjanci w białych rękawiczkach, z uśmiechem na ustach.

Owocem pielgrzymkowych znajomości było zawiązanie Koła KIK w naszej parafii, urządzenie w ramach tej działalności ciekawych wykładów i spotkań przez kilka lat.



Fot. archiwum rodzinne

W trudnych czasach Solidarności, stanu wojennego i powszechnej nędzy, zajmowaliśmy się rozdawnictwem żywności i odzieży przysyłanej z zagranicy, rozprawdanej w parafii przez grupę zaangażowanych osób (dziś mówimy: wolontariuszy). Pamiętamy wielką salę w budującym się kościele, ze specyficznym ((nie najlepiej) pachnącą odzieżą. I ofiarne panie dyżurujące w każdą niedzielę za wielkimi stołami, cierpliwie pomagające w wybieraniu odzieży, często budzącej nasz zachwyt. Do dziś coś się jeszcze kryje u mnie w zakamarkach szaf, a hiszpańska piękna mantylka zdobi abażur. Czy wszyscy dziś wiedzą co to jest „abażur”? A z sukienek uszyłam kilka pięknych fartuszków (co za barwy!). Mam je do dziś.

Budowa kościoła – wielki zryw społeczny, na miarę małej wówczas wsi, pod wodzą ks. Marcjana, naszego proboszcza. Uschło nam wtedy nagle kilka wielkich dębów, przydały się do budowy kościoła!

Nasza pielgrzymka do Rzymu w 1980 roku zaowocowała powstaniem w naszej parafii grupy Odnowy w Duchu Świętym (ale to już na osobną opowieść). Grupa ta, pod nazwą Metanoia, była filią pionierskiej w skali polskiej grupy Odnowy w Duchu Świętym przy kościele św. Marcjana na Piwnej w Warszawie, utworzonej z inicjatywy ks. prof. Bronisława Dembowskiego i wiele lat przez niego prowadzonej. W czasach prawdziwej walki z Kościołem wspólna modlitwa niosła ze sobą nadzieję, radość, dla wielu nawrócenie i głębokie przeżycie wiary. Były cotygodniowe wspólne modlitwy w kościele i w domach, z trudem wywalczona adoracja, kwartalne dni skupienia, wyjazdy na spotkania

odnowowe. Przez wiele lat grupa była ściśle związana z grupą Odnowy w Magdalence. W 1980 roku z grupy naszej odeszło kilka osób i utworzyło grupę rodzin, która wkrótce stała się nową grupą Odnowy w Duchu Świętym pod nazwą Talitha Kum. Obie grupy funkcjonują do dziś.

Dzisiaj życie kulturalne w Zalesiu rozkwita, pojawiają się coraz to piękniejsze inicjatywy, inne odchodzą w przeszłość. Może powrócą? Warto tu wspomnieć – skoro już wspominamy dawną i niedawną przeszłość – o 27 koncertach słowno-muzycznych z udziałem artystów scen polskich i muzyków, o tematyce religijnej i filozoficznej. Odbywały się one w naszym kościele, a kilka ostatnich – w Domu Rodziny Wisłockich. Mogłyby być tematem osobnej książki!

I tak dobiegają końca moje wspomnienia z Zalesia, nigdy niewyczerpane, wzbogacające moje samotne życie i rozjaśniające wiele trudnych chwil. Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do tego w przeszłości i teraz, a choć ich nie wymieniałam tutaj, zawsze mam ich w pamięci!

Rozmawiamy z Panią Małgorzata Pietrzykowską, byłą nauczycielką biologii w zalesiańskiej podstawówce, bibliotekarką i radną.

Czy jesteś rodowitą Zalesianką?

- Tak, urodziłam się w Zalesiu, tu się wychowałam, tu chodziłam do szkoły, tu pracowałam, mieszkam w Zalesiu niemal przez całe życie. Stąd też pochodziła moja rodzina, zarówno ze strony ojca jak i matki. Mój dziadek Małecki był gajowym na Zimnych Dołach. Jego gajówkę spalili Niemcy za pomaganie partyzantom, ale dwa kasztany, które posadził stoją nadal przy Trakcie Wareckim.

Zaś rodzice mamy, Czapscy kupili tutaj dom i przez jakiś czas prowadzili w nim sklepik.

Jak wyglądało Zalesie w Twoich najwcześniejszych wspomnieniach?

- Najlepiej zapamiętałam ogromne łąny kaczeńców kwitnących wiosną na łąkach nad rzeczką, tam gdzie dziś straszy pałac Turka. Od ściany lasu, po brzeg Zielonej rosły nieprzebrane ilości kwiatów, cała łąka była złocista. Za łąką był mostek, który prowadził w kierunku Chojnowa.

A domy, drogi?

- Domów było niewiele, a dróg nie było wcale. Wydeptane ścieżki prowadziły



na stację, do kościoła, potem do szkoły. Nie było tylu płotów, parkanów, ogrodzeń, wszędzie chodziło się na skrót po wąskich ścieżkach. Jesienią i wiosną grzęznąć w błocie, zimą w kopnym śniegu. Żeby ułatwić przejście posypywano drogi popiołem z domowych pieców. W wyjątkowo srogą i śnieżną zimą 1963 roku przywożono do Zalesia chleb saniami z Piaseczna. Za torami tak gdzie dziś jest ulica Jesionowa był las, rosły grzyby, nie było tam domów. Kolej była parowa, a wagony z przedziałami, do których wsiadało się bezpośrednio z peronu. Eleganckie panie dotarły przez błota i piaseczek do stacji, zmieniały gumo-filce na szpileczki i już mogły zadawać szyku w Warszawie.

Nowy dworzec kolejowy wybudowano elektryfikując kolej. Nie było też szosy łączącej Zalesie z drogą Piaseczno - Góra Kalwaria. Przed wojną jeszcze powstała szosa do Piaseczna przez Żabieniec. Wąziutka, ułożona z „kocih łbów” była dla nas autostradą. Kursował nią autobus, kursów było może cztery dziennie: dwa rano i dwa wieczorem. We wtorki i inne dni targowe okoliczni rolnicy wioząc ziemiopłody na piaseczyński targ chętnie z niej korzystali. Kiedy wysypano czarnym żużlem odcinek ulicy Wiekowej sosny wyglądała tak światowo, że milicjanci nie wpuszczali na nią wozów konnych, aby nie niszczyła się cudowna nawierzchnia.

Było nas mało i wszyscy się znali. Nie tak jak dziś - z widzenia, ale znali się prawdziwie. Wiedzieli, gdzie kto mieszka, czym się zajmuje, jaki jest stan rodziny, do kogo pójść po drewno, a do kogo po sałatę - państwo Pedowie sprzedawali również wspaniałą kiszoną kapustę. W prywatnym domu był magiel ręczny (na Korolowych Dębów), w którym panie spotykały się na pogaduchy. Potem w domu obok była piekarnia państwa Królikowskich, gdzie nie tylko kupowało się pyszne pieczywo, ale też przed świętami Bożego Narodzenia pieczone były ciasta. Gospodynie zalesiańskie wiozły na saneczkach surowe ciasta owinięte w koldry i wstawiały je w stygnący piec chlebowy. Na tej samej ulicy



Fot. archiwum rodzinne



ogrodnictwo państwa Szafrąskich oferowało ziemię, rozsady i roślinki.

A domy jakie były?

- Te, które nie przetrwały do dziś były przeważnie drewniane, a murowane wille miały różnych lokatorów. W czasie wojny i okupacji przyjmowały wysiedleńców i pogorzalców. Mieszkali w nich też Niemcy.

Gdy wybudowano baraki GS-u na przeciw domu Wisłockich utworzono sklep samoobsługowy. Zapachniało Europą. Pachniało krótko.

Jakieś ciekawostki?

- A wiecie jak powstało boisko? Szkoła przeniosła się do budynku na Białej Brzozy i nie miała własnego boiska, a w tym miejscu - vis a vis kościoła rósł sobie śliczny laszek bukowy poprzecinany ścieżkami - skrótami, bo tędy było najbliżej do szkoły. W ramach akcji odciągania ludzi od kościoła władze zarządziły utworzenie w tym miejscu boiska dla młodzieży szkolnej. I możemy się nim cieszyć do dziś.

Ciekawa jest historia schodów w drewnianym kościółku. Schody były drewniane i w fatalnym stanie. Ówczesny proboszcz, Stanisław Sprusiński poprosił dzieci i młodzież, aby idąc na majowe nabożeństwa przynosili kamienie i kładli po tej stronie schodów, z której przychodzili. Wywiązała się rywalizacja

i wkrótce był zebrany materiał na budowę schodów, które stoją do dziś. Ksiądz Sprusiński „przyjął się” w Zalesiu.

- Zalesie było wybredne, jednych przybyszów akceptowało, innych nie. Wspaniale „przyjął się” doktor Buśko. Był miłym, dobrym człowiekiem i lubili go wszyscy, ale szczególnie Zalesianki, mimo, że wiele ich dolegliwości lubił przypisywać klimakterium. Dzięki niemu powstał załazek dzisiejszego ośrodka zdrowia na Przebudzenia Wiosny potem przeniesionego na Koralewych Dębów. Jak leczono się wcześniej, nie pamiętam.

Przez wiele lat pracowałaś w bibliotece na Wiekowej Sosny, co wiesz o historii tego budynku?

- Nie wiem do kogo należał przed wojną, ale w czasie okupacji mieszkał w nim Niemiec, który dobrze zapisał się w pamięci Zalesian. Wiem, że gdy z domów wyciągano ludzi, aby wywieźć ich na roboty do Niemiec, młode dziewczyny ukrywały się u niego w piwnicy, gdzie okupant nie zaglądał. Po wojnie budynek przeszedł na Skarb Państwa i mieściła się w nim Gromadzka Rada, której przewodniczącym był przez jakiś czas pan Doba. Jego zasługą była droga przez las Chojnowski. Mieściły się w tym budynku wszystkie urzędy. Sama brałam w tym budynku ślub bo był tam też Urząd Stanu Cywilnego.

Wywiad przeprowadziła
Ewa Kamińska



Rozmawiamy z leśnikiem Panem Mirosławem Grzybem

Od kiedy jesteś zalesianinem?

– Sprowadziłem się tu, gdy miałem 2 lata i był wykończony dom. A budował się długo – czasy dla budownictwa były trudne, bo wojenne. Budowa przebiegała z przygodami... Dziadka wiozącego wozem (konnym) jakieś materiały budowlane chcieli rozstrzelać partyzanci, bo kręcił się tu często i był obcy – pewnie szpieg. Wybroniła go sąsiadka, a na pamiątkę tego zdarzenia powstała kapliczka pod dębem.

Tu zacząłem chodzić do przedszkola, a mieściło się ono na Przebudzenia Wiosny, tam gdzie potem był ośrodek zdrowia. Z czasów przedszkolnych pamiętam występ naszego rocznika w najelegantszej sali, na górnym piętrze Zalesianki. W przedstawieniu grałem Groch i występowałem w zielonej piżamie mojej mamy. W tej sali dzieci miały gimnastykę a wieczorami odbywały się zabawy taneczne.

W przedszkolu zaczęły się moje związki z lasem – przesadzaliśmy małe sosienki z zarośli przy Zajęczym Tropie w bardziej sprzyjające im miejsca. Te dzisiejsze uliczki, aż do Jelenich Rogów to był podmokły brzezinka i jesienią rosły w niej piękne czerwone kozaki.

A później?

– Uczyłem się w starej, a potem w nowej szkole. Boiska nie pamiętam, bo nie grałem w piłkę, ale za to bawiłem się w Indian. Czatowałem w leszczynowym lasku na wracającego z pracy Ojca uzbro-



Fot. archiwum rodzinne

jony w łuk i strzały, brałem go do niewoli i prowadziłem do domu.

Wokół domu był stary sad, od Złotej Jesieni szło się przez leszczynowy lasek do ulicy Poranku, gdzie sadzono kartofle, a na rogu Korolowych Dębów w willi Hanka (stojącej do dziś) mieścił się sklep kolonialny.

W pierwszych klasach podstawówki zafascynowały mnie ptaki. Chodziłem po lesie, żeby je obserwować i czytałem „Ptaki Polskie” Sokołowskiego. Zdarzało się też, że zamiast do szkoły szedłem do lasu. W teczce przynosiłem same skarby: huby, piórka, ptasie gniazda.

Teraz obserwuje ptaki przed domem, szczególnie dzięcioły. Wyjątkowo lubię dzięcioła białoszyjnego, tzw. syryjczyka. Widziałem jak poszukiwał orzechów na leszczynie w ogrodzie.

Wiem, że zajmujesz się teraz poszukiwaniem śladów historii w naszej okolicy.

– Mieliśmy przygotować ścieżkę edukacyjną, ale znalezisk jest tyle, że musiałaby mieć 42 kilometry. Począwszy od bitwy pod Gołkowem, gdzie w 1794 roku stały działa gen. Zajączka broniące Rosjanom dostępu do Warszawy i stąd nazwa ulicy – Pod Bateriami, a skończywszy na miejscach straceń z czasów II wojny światowej.

Wiele z takich miejsc zniknęło, więc myślę, że warto ocalić i odrestaurować to, co jeszcze ocalało.

Samych cmentarzy z I wojny jest w okolicy siedem. Jeszcze w podstawówce „odkryłem” cmentarz „Różanka”, który uchroniły rosnące zarośla wyjątkowo kolczastej róży pomarszczonej. Dzięki temu nie wyszabrowano granitowych krzyży. Jest to nekropolia z pierwszej wojny światowej. Spoczywają tam obok siebie Niemcy i Rosjanie po ofensywie niemieckiej z 1915 roku. Są to



Fot. archiwum rodzinne

głównie mogiły zbiorowe, niemieckie oznaczone granitowymi krzyżami, rosyjskie głazami z prawosławnym krzyżem lub napisem. Kiedyś cmentarz zamykała drewniana kapliczka, która „zniknęła” po II wojnie światowej. Obecnie odbudowujemy ją wraz z kolegami z Koła Poszukiwaczy Historii z Piaseczna. To już trzecia restaurowana nekropolia wojenna po Głoskowie (z 1915 roku) i Złotokłosie (1914).

I tak z przyrodnika, którym byłem całe życie stałem się quasi historykiem.

Wywiad przeprowadziła
Ewa Kamińska



Seniorzy z Inicjatywą 3 oraz Biblioteka Publiczna
Miasta i Gminy Piaseczno. Filia w Zalesiu Górnym

serdecznie zapraszają na uroczyste otwarcie
wystawy będącej podsumowaniem projektu

ZALESIE GÓRNE

O HISTORIE DNALEZIONE

II EDYCJA



@historie.odnalezione

17 listopada o godz. 18:00
w Zalesiu Górnym przy ul. Białej Brzozy 3

HISTORIE ODNALEZIONE 2017

Spis treści

Rozbudowa kościoła w Zalesiu. Rozmowa z Panią Joanną Giecowicz	1
Rozmawiam z panem Zbigniewem Chorzępą w jego rodzinnym domu przy ulicy Wrzosów	3
Wspomnienie Pani Haliny Witkowskiej z domu Chorzępy	4
Plac Duszczyka, <i>Nina Wierzbicka</i>	5
Rozmowa z Panią Ewą Drzewiecką z domu Pietrzykowską	6
Pierwsze spotkanie, <i>Ewa Kamińska</i>	12

Rozmowa z Panią Joanną Giecewicz

Rozbudowa kościoła w Zalesiu



Skąd się tu wzięłam?

Zamieszkałam z rodziną w Zalesiu Górnym około roku 1975 w skromnym, parterowym domu wybudowanym w roku 1932 lub 1933 dla urzędników BGK. Odkupiliśmy ten dom od pani Danielskiej, wówczas starszej już osoby, której dwie córki namówiły ją do sprzedaży. Pani Danielska przekazując nam klucze przywitała nas po staropolsku – chlebem i solą na progu. Dom został wyremontowany i rozbudowany.

Chodząc na msze do miejscowego, zalesiańskiego kościoła widziałam, że z coraz większym trudem wierni mieszczą się w starej, zabytkowej świątyni. Pierwotny projekt budowy kościoła, stworzony na prośbę księdza Fijałkowskiego, w porozumieniu z p. Wisłocką, w końcu lat siedemdziesiątych był trudny do realizacji przy ograniczonych finansowych i technicznych możliwości parafian oraz niepasujący do atmosfery leśnej działki.

Nowy proboszcz i początek historii nowego kościoła

W 1983 roku nowy proboszcz parafii św. Huberta, ksiądz Jan Marcjan, poprzez różne koneksje pochodzące z czasu, kiedy była budowana siedziba Sekretariatu Episkopatu Polski na Woli, zaproponował mnie i pani inżynier Hannie Zalewskiej zaprojektowanie prostego do wykonania kościoła, w którym pomieściliby się wszyscy zalesiańscy wierni.

Projekt nasz pomyślany był jako znacznie prostszy. Trzeba było zachować istniejącą kaplicę, która miała być pierwotnie prezbiterium kościoła. Aby władze zezwoliły na tę inwestycję, projekt nazwano „rozbudową kaplicy w Zalesiu Górnym”. Na budowę nowej placówki w tamtych czasach trudno było liczyć.

Jednakowoż, nawet rozbudowę trzeba było zatwierdzić u odpowiednich władz. Władze te to Urząd do Spraw Wyznań przy Prezydium Rady Ministrów. Po kilku wizytach w Urzędzie, popartych za każdym razem upominkami w postaci potrzebnych medykamentów, zgodę wydano.

Zgodę też musiał wydać konserwator zabytków, bo rozbudowa dotyczyła starego kościoła. Kiedy w 1984 roku rozpoczyna się „rozbudowa istniejącego zabytku sakralnego”, jej kierownikiem zostaje pan Stanisław Zalewski 80-letni energiczny inżynier budowlany, który był też konstruktorem schroniska na Kalatówkach, dobry znajomy księdza Marcjana z okresu budowy wspomnianej siedziby Episkopatu. Projekt kościoła nawiązuje do istniejącej kaplicy. W projekcie została ona wkomponowana w nowy duży kościół jako kaplica boczna ale należało ją przesunąć i obrócić o 90 stopni. Pan Stanisław Zalewski na kawiarnianej serwetce, na plebanii, przy obiedku, narysował plan tego przedsięwzięcia. Ośmioma samochodowymi lewarami podniesiono spięty ściągami kościół i podłożono rury wodociągowe, na których przetoczono go na nowo wybudowany fundament. Kościółek był ciągnięty przez kilku silnych mężczyzn przy pomocy tinfora - specjalnego urządzenia do ściągnięcia drewna. Liny zaczepiono o pobliskie drzewo. Ksiądz Marcjan zażądał, aby cała operacja zamknęła się w godzinach od 9 do 18, ponieważ o 18 miała być msza pogrzebowa, a trumna ze zmarłym była cały czas w kościele. I tak się stało. Do tej pory we wnętrzu kaplicy widoczne są, pozostawione po tej operacji, dwa ściągi stalowe zabezpieczające drewnianą konstrukcję. Było to 24 sierpnia 1984 roku.

Po roku od tej „operacji” ówczesny konserwator zabytków Feliks Ptaszyński poprosił o projekt



przedsięwzięcia, czyli przesunięcia drewnianej kaplicy, ale projektu nie było – serwetka zginęła.

Niestety, ja nie posiadam zdjęć z okresu budowy, chociaż ksiądz Marccjan zatrudnił lokalnego fotografa do dokumentacji ważnych etapów budowy.

Za co budowany był kościół?

„Nie ma żadnych pieniędzy, ale Opatrzność nam pomoże. Jednakże Opatrzności też należy pomóc” – to była dewiza księdza Marcjana. Z Arizony przywiózł pieniądze od Polonii, z Holandii przywiózł ciężarówkę Leyland pełną opon. I tymi oponami zapłacił za cement. W tamtych czasach cement jechał na Wschód i aby wrócił do Polski użyto takiego fortelu: w wagonie wyładowanym workami z cementem rozłożono folię, a na niej położono najwyższą warstwę worków z cementem i polano je wodą. Na granicy celnicy ze Wschodu sprawdzali jakość cementu szpikulcami, a ponieważ był stwardniały wagon został odesłany do Polski. W ten sposób znalazł się w Zalesiu.

Za pracę przy budowie płacono jajkami, makaronem, pomarańczami, winogronami. Ksiądz zapraszał też na obiad. My nie dostałyśmy żadnych pieniędzy. Projekt koncepcyjny i ro-

boczy kościoła i zagospodarowania terenu był darem autorów na rzecz lokalnej społeczności. W podobnym trybie, za symbolicznym wynagrodzeniem, powstały projekty instalacyjne. Najwięcej kosztowała makietka zrobiona przez specjalistyczną pracownię ale niestety zaginęła, tak jak i projekt kościoła. Parafianie a także grupa młodzieży z Francji społecznie włączyli się w budowę kościoła.

Wyposażenie kościoła

Ksiądz Marccjan ciągle coś przywoził. W Urbino dostał marmurowy ołtarz, który został oczyszczony i zakonserwowany przez fachowców, tym razem opłaconych konserwatorów. Po przebudowie już gotowej ściany ołtarz ten został w nią wmontowany mimo naszego sprzeciwu gdyż nie pasował do stylistyki wiejskiego kościoła. Proboszcz przywiózł również terakotę z zagranicy. Podłoga z tej terakoty została ułożona dokładnie według naszego projektu. Autorem witraży za ołtarzem głównym był projektant i wykonawca z ulicy Puławskiej a tematem witraży w oknach bocznych miały być anioły ale nie wystarczyło na nie pieniędzy. Jest też piękny witraż, ufundowany przez prywatną osobę, nad głównym wejściem. Jest on obecnie niewidoczny, zasłonięty przez dach nad schodami a od środka kościoła przez organy. Żyrandol, który wisi przy ołtarzu jest podobny do tego w starym kościółku i taki został zamówiony przez księdza Marcjana. Nie starczyło pieniędzy aby pozostałe były takie same.

Czego nie ma?

W czasie urzędowania kolejnego proboszcza, księdza Wiktora Ojrzyńskiego, projekt wyposażenia wnętrza według naszego autorstwa został zarzucony, a nawet ostatecznie zaginął. W projekcie głównym przewidziane były wokół kościoła tak zwane w polskiej tradycji „soboty” - zadaszenie na zewnątrz budynku i zamykające wirydarz. Nad ołtarzem była zaprojektowana sygnaturka, z której światło miało doświetlać ołtarz – została zaślepiona przy kładzeniu podsufitki. Stary kościółek miał zostać połączony z nowym poprzez rozebranie ściany naprzeciwko ołtarza. Wyłożenie ścian deskami pionowymi, jak w istniejącej kaplicy, miało być poprowadzone również dookoła nowego kościoła. Stacje Drogi Krzyżowej, wyrzeźbione w drewnie, miały być wkomponowane w wyłożone w ten sposób ściany nowego i starego kościoła. Tak się jednak nie stało.

Co dodano do projektu?

Ksiądz Marccjan poprosił o dostawienie wieży, już w trakcie budowy, oraz obniżenie stopniami podłogi sali dolnej. Ksiądz Ojrzyński wyposażył wnętrze wieloma drewnianymi rzeźbami oraz zielonym pasem biegnącym u góry w środku kościoła. Prawdopodobnie miało to nadać kościołowi charakter leśny, może myśliwski. Aby ograniczyć koszty ogrzewania kościoła obniżono sufit poprzez nową konstrukcję obniżającą strop. Zmianę wystroju kościoła zaprojektował inż. Koziański. Świętego Huberta oraz Drogę Krzyżową namalował zalesianin pan Lech Zadrąg. Obrazy te to raczej ikony prawosławne. Te działania, jak również upiększanie kościoła przez obecnego proboszcza nie były i nie są uzgadniane z nami i zmieniają naszą pierwotną prostą koncepcję, zarówno wnętrza jak i całości kościoła, ale są wyrazem współpracy w ramach wspólnoty parafialnej.

Budowa kościoła trwała pięć lat.

Rozmawiały: Nina Wierzbicka i Anna Antczak

Rozmawiam z panem Zbigniewem Chorzępą w jego rodzinnym domu przy ulicy Wrzosów

Jest Pan Zalesianinem w trzecim pokoleniu. Jakie były początki związku rodziny Chorzępów z Zalesiem?

Dziadek mój służył w Legionach z panem Waleckim, właścicielem części Zalesia. Potem ich drogi zawodowe się rozeszły, ale zażyłość pozostała. Gdy moi dziadkowie, Wojciech i Maria Chorzępowie, na początku lat trzydziestych poszukiwali miejsca pod budowę domu, to właśnie pan Walecki przywiózł ich do Zalesia. Babcię natychmiast zauroczyło to miejsce i zdecydowała, że chce mieszkać właśnie tu.



Jak długa była droga od decyzji do realizacji? Bardzo krótka. Budowę domu rozpoczęto w 1935 roku, dom ukończono 1938. Ta okolica szybko się zaludniała. Obok powstał dom państwa Pietrzykowskich vis a vis wybudowali się Kłoszewscy, Janiszewscy i Piotrowscy, a nieco dalej, na rogu Korolowych Dębów, wybudowano willę „Hanka”. Jeszcze dalej, przy Złotej Jesieni, zamieszkali państwo Grzybowie, a naprzeciwko nich Krysia Dąbrowska.

Jak długo tu mieszkali Pana dziadkowie?

Niestety przed wojną nie zamieszkali. W 1938 r. dziadek mój, jako oficer Korpusu Ochrony Pogranicza, został przeniesiony do Czortkowa koło Zaleszczyk, a wraz z nim przeniosła się cała rodzina. Tam zastał ich wybuch wojny.

Wszyscy ją przeżyli?

Tak, ale były to traumatyczne lata. Dziadek brał udział w walkach frontowych, a potem walczył w AK w lasach trzebuskich, niedaleko Sokolowa Małopolskiego. W październiku czterdziestego czwartego roku został aresztowany i wywieziony do łagru w Swierdłowsku na Uralu. Wrócił dopiero dwa lata po zakończeniu wojny.

Mój ojciec, Edward, miał wtedy 17 lat i brał udział w Powstaniu Czortowskim (W nocy z 21 na 22 stycznia 1940 r., w Czortkowie na Podolu, w przedwojennym Województwie Tarnopolskim, miejscowa ludność polska rozpoczęła zbrojne powstanie przeciw władzy ZSRR stłumione po kilku godzinach przez siły Armii Czerwonej i NKWD. Było to pierwsze w historii II Wojny

Światowej zbrojne powstanie Polaków przeciw okupantom i pierwsze tak znaczące wystąpienie zbrojne przeciw Sowietom.). Aresztowany i więziony, został uwolniony przez Niemców po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej w czerwcu 1941 r. Wrócił do Czortkowa, ale nie zastał już tam matki i siostr, wywiezionych 13 kwietnia 1940 roku na Syberię. Należał do AK, oddział jego wyruszył na pomoc powstańcom warszawskim, ale wpadł w ręce NKWD. Ojcu mojemu udało się uciec. Uciekł do wojska, ukończył Oficerską Szkołę Saperów. W stopniu porucznika brał udział w rozminowaniu okolic Bielska-Białej, został ranny przy rozminowaniu miejscowości Biery.

O wojennych losach kobiet piszą Pańskie ciotki w tekstach, które zamieszczamy poniżej.

Kiedy wróciły w 1946 r. do Zalesia, miały tylko to, co na sobie. Sąsiedzi zrobili zbiórkę odzieży, pościeli i łóżek. Dzięki wspaniałej pomocy sąsiedzkiej państwa: Fryszczynów, Pietrzykowskich, Wislockich, Wieniawskich i innych, nasz dom powoli wracał do życia.

Natomiast pan O. ówczesny „włodarz Zalesia”, część domów zalesiańskich włączył do kwaterunku, a ich właściciele musieli walczyć o jeden choćby pokój dla siebie. Tak było z naszym domem i domami innych przedwojennych Zalesian – do niektórych z tych domów przenieśli się też dawni mieszkańcy Domanki.

Ot, jaka władza, tacy jej wyznawcy. Bardzo często „Władza deprawuje; absolutna władza deprawuje absolutnie.”



A Pańskie wspomnienia?

Spędziłem tu dzieciństwo. Jeszcze piątą klasę ukończyłem w Zalesiu, potem z ojcem przeniosłem się do Warszawy.

Pamiętam jazdę zimą na nartach, zjeżdżanie na sankach i ślizgawkę na naszej górcie. Szaleliśmy na niej, póki jeden z nas nie zderzył się z dębem. Potem ślizgawka została zasypana popiołem przez ojca ofiary wypadku. Oczywiście graliśmy w piłkę nożną na naszej ulicy i urządzaliśmy wyścigi kolarskie.

Latem wspólne wypadki nad Jeziorokę i do ośrodka wypoczynkowego „Wisła”. Do szkoły chodziło się „na skróty” - tak było znacznie bliżej.

Na rogu ulicy Pionierów (tam gdzie sklep 9-ka) było letnie kino, a potańcówki odbywały się na obecnym boisku, gdzie był „parkiet” z desek.

Kiedy Pański ojciec z Panem wyprowadził się z Zalesia, zostały tu jego siostry i matka.

Najdłużej mieszkała tu Halina. Coraz starsza, samotna i chora nie radziła sobie. Dom popadał w ruinę, ogród zarastał zielskiem i samosiejkami.

Teraz Pan tu gospodarzy. Dom jest pięknie wyremontowany, a przed nim rozciąga się wypielegnowany trawnik. To druga młodość tej budowl. Gratuluje efektu i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Ewa Kamińska

Wspomnienie Pani Haliny Witkowskiej z domu Chorzępy

W latach trzydziestych mieszkaliśmy z rodzicami (brat, ja i siostra) w Warszawie na Żoliborzu. Mama moja pochodząca z Wołynia wychowywana w posiadłości dziadków w Radziwiłłowie, wśród lasów i zieleni, źle znosiła pobyt w Warszawie, hałaśliwym i zadymionym wówczas mieście. Jej tęsknota za domem rodzinnym, jej szczęśliwym dzieciństwem, stała się asumptem do poszukiwania pod Warszawa terenu o podobnych walorach przyrody, jaka otaczała ją w dzieciństwie, by postawić na nim dom rodzinny, który byłby spełnieniem jej marzeń, azyłem spokoju i radości.

I tak zaczęły się objazdy terenów podwarszawskich przez rodziców, w poszukiwaniu odpowiedniej działki, my dzieci towarzyszyliśmy im w tych poszukiwaniach. Popularne wówczas osiedla podwarszawskie takie jak: Anin, Sulejówek, Otwock, Konstancin, Leśna Podkowa, Milanówek itp. nie znalazły uznania u rodziców.

Znający marzenia naszej Mamy przyjaciel Ojca z Legionów Julian Walecki zaproponował rodzicom odwiedzenie pięknych okolic leśnych, w których mieszkali jego rodzice. I tak odkryliśmy niemal dziewicze wówczas tereny leśne ciągnące się kilometrami, prawie niezamieszkałe, niedaleko Warszawy.

Mama stała wśród strych dębów, sosen, brzoź, leszczyń rozrzuconych wśród kwitnących wrzosowisk, onie miała i zauroczona – to jest to, to jest ta perła wśród okolic podwarszawskich, której szukała do tej pory nadaremno, tu wybudujemy nasz dom rodzinny. I tak rozpoczęła się nasza przygoda z Zalesie Górny.

Nie było wówczas jeszcze połączenia kolejowego Warszawy z Zalesiem Górny, co stanowiło pewną trudność przy budowie domu i dojeżdżania do Zalesia, lecz rodzicom to nie przeszkadzało.

Dokonali wyboru pięknej działki położonej w sercu Zalesia, na pagórkowatym terenie, gęsto zalesionym z rozrzuconymi połaciami wrzosowisk, przy ulicy już wytyczonej, ale jeszcze nienazwanej (obecnie to ulica Wrzosów). Był to rok 1933, w roku 1934 rozpoczęto bu-



dowę domu, która powierzono firmie francuskiej.

I tak rozpoczęła się realizacja zamyśłu naszych rodziców ku uciesze dzieci (Edka, Hali i Lali).

Przyjeżdżaliśmy do tego Osiedla, które się dopiero realizowało, podglądać budowę naszego domu, pełni radości i szczęścia. Biegaliśmy wśród drzew, w strugach deszczu, podglądaliśmy wylegające się w słońcu jaszczurki, zaskrońce, żaby zielone, wdychaliśmy balsamiczne leśne powietrze, zbieraliśmy prawdziwki, które same wchodziły do reki, podziwialiśmy przemykającą wieńcówkę, sarny, zające niepłoszone przez nikogo, słuchaliśmy głosu i śpiewu ptaków i wydawało się nam, że jesteśmy w krainie szczęśliwości.

Wraz z nami przyjeżdżali do Zalesia znajomi i przyjaciele rodziców, którzy również ulegli urokowi Zalesia. Niektórzy z nich, ci bardziej zauroczeni kupowali działki, projektowali budowę domu, zaś inni stawali się przyjaciółmi Zalesia.

Byli to dostojni (dla nas dzieci) profesorowie, bankowcy, pisarze, oficerowie, przedsiębiorcy, którzy dla nas dzieci stanowili nie lada autorytet. Z ich dziećmi, będącymi naszymi rówieśnikami, mogliśmy szaleć wśród wrzosowisk.

Najczęściej przyjeżdżali do nas pp. Krzyżanowscy, Kaimowie, Wańkowie, Raczyńscy, Dąbrowscy, Mirkowsy, Stąpfowie, Anielscy, Pietrzykowsy, Pluteccy itp. Niektórzy stali się później naszymi sąsiadami.

W 1936r. firma budującą nasz dom zbankrutowała i wykończenie domu powierzono okolicznym rzemieślnikom.

Jednemu z nich zawdzięczam swoje życie. Pewnego czerwcowego poranku (13 czerwca 1937) wpadłam do głębokiej studni stojącej na naszej działce, która była w trakcie budowy. Wydobyć mnie z tej głębokiej studni, pełnej wody, graniczyło z cudem. Dokonał tego 14-letni wówczas pomocnik stolarza z Domanki, który został przez mojego Ojca sownie wynagrodzony. Sprawa stała się bardzo głośna w Zalesiu, a ja (mała dziewczynka) długo byłam obiektem miejscowego zainteresowania. Przygoda ta, dla mnie małego dziecka, była wstrząsem, który towarzyszył mi przez długie lata.

W maju 1937 r. Ojciec nasz – oficer K.O.P. (Korpus Ochrony Pogranicza) wyjechał na inspekcję placówek przygranicznych K.O.P. We wrześniu 1937 r. zostaje oddelegowany do ich reorganizowania w szczególności tych na granicy z ZSRR. Parę tygodni później wyjeżdżamy w ślad za Ojcem do Czortkowa, malowniczego miasteczka na Podolu położonego nad Seretem. Zamieszkaliśmy w bloku oficerskim obok koszar dolnych gdzie pracował Ojciec.

Ojciec, wykończenia domu doglądał z Czortkowa, a my dzieci marzyliśmy o rychłym zamieszkaniu w nim.

Niedane nam było jednak stać się pierwszymi lokatorami domu. W 1938 r. dom nasz został wykończony i Ojciec wynajął go swoim znajomym z ambasady szwedzkiej, który mieszkał w nim do chwili wybuchu wojny w 1939 r.

W końcu sierpnia 1939 r. Ojciec wyjeżdża do Warszawy, by wziąć udział w przygotowaniach do wojny polsko – niemieckiej, która wydawała się nieunikniona.

1 września następuje wybuch wojny. Ojciec walczył z najeźdźcą do momentu, aż jego oddział rozbity został przez Niemców pod miasteczkiem Końskie w kieleckim.

17 września 1939 r. zniemacka mimo zawartego Paktu o Nieagresji, wkroczyła do Czortkowa Armia Czerwona. W Czortkowie szczególnym bolszewickim represjom podlegają rodziny wojskowe. Zostajemy wyrzuceni z mieszkania i pozbawieni całego dobytku, który zostaje zarekwirowany przez Rosjan.

Przeprowadzamy się do małego mieszkania w centrum Czortkowa.

Rozpoczyna się walka podziemnych organizacji polskich z bolszewikami. Bierze w niej udział mój brat (Edward), wówczas 17 letni chłopiec. Po nieudanym Powstaniu Czortowskim, 22 stycznia 1940 r. zostaje aresztowany i wywieziony w nieznanym kierunku.

13 kwietnia 1940 r. w nocy o godz. 12 - tej do naszego mieszkania wtargnęło NKWD z rozkazem wywiezienia na Sybir. Mama moja dostaje zawału serca, przewożą ją do szpitala, a my dwie nieletnie dziewczynki (10 i 8 letnie) zostajemy w mieszkaniu pod nadzorem żołnierzy NKWD.

O godzinie 8 rano zostajemy przewiezione na stację kolejowa w Czortkowie, gdzie czekają już podstawione wagony towarowe do wywózki. Na stacji stymy trzy dni. Uwierzyłam oprawcom z NKWD, że jedziemy do Ojca. Tymczasem codziennie dowożą osoby chore, dzieci i niemowlęta i wpychają do wagonów towarowych. Jest coraz ciasniej, nie wolno nam z wagonów wychodzić, jest zimno i głodno, nie mamy nic do picia. Ludzie donoszą nam chleb i mleko, lecz nieludscy żołnierze nie dopuszczają ich do nas. Dzieją się dantejskie sceny, chorzy są ściągani z łóżek i ładowani do wagonów. Jestem tak przerażona, że nawet nie mogę płakać. Pociąg z nami odjeżdża do Tarnopola. Dowiadujemy się, że będziemy w tych nieludzkich warunkach jechać bardzo długo. Nie jedziemy do Ojca jak nam powiedziano, lecz w głąb Rosji na Syberie.

Jesteśmy internowani, jako wrogowie ZSRR, kobiety i dzieci - wrogowie!

Tak rozpoczyna się nasza gehenna na nieludzkiej ziemi.

Wywieziono nas do Kazachstanu do miejscowości Piesczanka w obwodzie semipalałyńskim a od 1942 r. w Semipalałyńsku a później w obwodzie turkistańskim i Uzbekistanie.

W maju 1946 r. wracamy do Polski, przyjeżdżamy do Zalesia do naszego wy-marzonego domu. Niestety dom nasz jest objęty kwaterunkiem i mieszkają w nim cztery rodziny. Mama musi rozpocząć starania o odzyskanie naszego domu. Dowiadujemy się również że Ojciec nasz, organizator AK na Rzeszowszczyźnie o pseudonimach Bawół, Roland i Grom w październiku 1944 r. został aresztowany przez Kolbuszowskie UB i przekazany NKWD, wywieziony zostaje do łagru. (łagier Szybatowo i Swierdłowski). Wraca do Polski pod koniec października 1947 r.

Plac Duszczyka

Przedwojenne gimnazja i licea dbały o wszechstronny (fizyczny i intelektualny) rozwój swoich podopiecznych. Te najlepsze i najdroższe budowały dla swoich uczennic i uczniów (nie było wtedy koedukacji) ośrodki szkolne o charakterze rekreacyjno-edukacyjnym.

Dotarłam do wspomnień mojej zmarłej Mamy - Leny Doleżał-Nowickiej, „konopniczanki”, która opowiadała o Osiedlu w Świdrze dla uczennic gimnazjum i liceum im. Marii Konopnickiej w Warszawie.

Dziewczęta z jednej klasy, 2-3 razy w roku wyjeżdżały na jeden tydzień (jechały kolejką) do Świdra, gdzie mieszkały w budynkach, które były własnością szkoły. Tam przez 2 do 3 godzin dziennie miały lekcje tylko z jednego przedmiotu, pozostały czas to zabawy, gry w piłkę, spacer, śpiewy i występy w teatrze amatorskim (sztuki pisały same uczennice).

Nauczyciele na ten jeden dzień dojeżdżali z Warszawy i wieczorem wracali, bo rano mieli lekcje z pozostałymi uczennicami.

Było to miejsce integrowania się dziewcząt, poznawania bardziej „prywatnie” profesorów przyjeżdżających na cały dzień, rozmawiających z uczennicami nie tylko na tematy związane z ich przedmiotem. Tam zawierało się przyjaźnie na całe życie. Osiedle to był wspaniały pomysł, z którego korzystały dziewczęta z wszystkich klas, bez względu na sytuację materialną rodziny (dofinansowaniem gorzej uposażonych uczennic - z pełną dyskrecją - zajmował się Komitet Rodzicielski).

Dziewczęta spały w pokojach kilkuosobowych i miały zapewnione trzy posiłki dziennie. Tyle wspomnień mojej Mamy, a przyjaźnie tam zawarte przetrwały przez wiele, wiele lat! Czego jej zazdrościłam z całego serca.

Wspomnienia pani Danuty Kroc oraz informacje z internetu

W1933-34 roku ze składek Komitetu Rodzicielskiego Gimnazjum i Liceum im. Narczy Żmichowskiej zakupiono plac w Zalesiu Górnym (to ten trójkąt ziemi między ulicami Sarenki i Leśnych Boginek, tuż przy kościele). Ośrodek tam wybudowany miał mieć charakter rekreacyjno-dydaktyczny, tak jak tego typu ośrodki innych przedwojennych szkół. Dziewczęta spędzały tam wakacje, ferie. Mieszkały w długim, drewnianym i parterowym domu (budynek był przeznaczony dla 50 osób).

Budynkiem, pielęgnacją terenu, dozowaniem i drobnymi naprawami zajmowało się małżeństwo - państwo Duszczykowie. Pani Duszczykowa była kucharką w ośrodku (trzeba było nakarmić niemalą gromadę dziewcząt), Pan Duszczyk pilnował, żeby wszystko było jak trzeba - ot taka złota rączka. Byli oboje, jak byśmy dziś powiedzieli, pracownikami obsługi.

Uczennice Żmichowskiej przyjeżdżały do Zalesia jeszcze po wojnie - w 1946 roku szkoła odzyskała budynek, uzupełniono meble i sprzęty. Pomieszczenia służyły mieszkańcom Zalesia na spotkania i jako sala kinowa dla kina objazdowego. Niestety, w 1951 lub w 1952 roku budynek doszczętnie spłonął. W niewielkim budynekczku pozostali państwo Duszczykowie, a potem tylko pan Duszczyk i od jego nazwiska wzięła się nazwa placu - Plac Duszczyka. A szkoła już nigdy nie odbudowała budynków i już.

Nina Wierzbicka



Rozmowa z Panią Ewą Drzewiecką z domu Pietrzykowską

Mój dom: Wrzosów 12

Czternasty dzień lutego to dzień Świętego Walentego (dzisiaj popularne święto zakochanych) i właśnie tego zimowego dnia przyszłam na świat. Moim światem był dom rodzinny przy ulicy Wrzosów 12, a w nim rodzice, dziadkowie i bracia. Był pięknie zaprojektowany – piętrowy, z kilkoma pokojami, z dwoma tarasami i dwoma balkonami, położony w dużym ogrodzie.

Zbudował go mój tata, Tadeusz Pietrzykowski, właśnie tu, w Zalesiu, zaurządzony tą miejscowością. Obiecał sobie, że swoją przyszłą żonę, a moją mamę Stefanię z domu Filipczak, wprowadzi po ślubie do domu, który sam wybuduje. Rodzice zaraz po ślubie, który odbył się w 1937 roku, zamieszkali w Zalesiu. Razem z nimi sprowadzili się rodzice taty, a potem w domu pojawiły się dzieci, głównie chłopcy – Michał ur. 1938 r., Hubert ur. w 1941 r., Jan ur. w 1946 r. i Dominik w 1947 r. Ja byłam najmłodsza z pięciorga rodzeństwa, bardzo wyczekiwana, zwłaszcza przez ojca, który marzył o tym, by po domu tuptała mała dziewczynka. Imię wybrała mi babcia Ewa: „niech się nazywa tak jak ja - Ewa”. Dzięki Bogu, że nie nazwano mnie Walentyną, co było wtedy dość popularne, dziecko przynosiło sobie imię. Byłam z babcią bardzo związana emocjonalnie. Babcia bardzo się cieszyła, że ma w końcu wnuczkę. Babcia mnie wychowywała.

Tata Tadeusz, był z wykształcenia chemikiem, był asystentem na Politechnice Warszawskiej. Mama Stefania zaj-

mowała się domem, nami i ogrodem. Ogród był wspaniały, on nas żywił. Były w nim drzewa owocowe, krzewy, warzywa i kwiaty. Moim obowiązkiem było opiekowanie się jabłonką Worcester Pirmen: podlewałam ją, przycinałam, usuwałam szkodniki. To był mój pierwszy obowiązek związany z ogrodem, a miałam wtedy cztery lata, jabłonka rosła razem ze mną.

Na jednym ze zdjęć jestem z mamą, ja w tym kapturku z prawej strony. Jest tu też Janek a chłopczyk w loczkach to Dominik. Z moich braci żyje tylko Dominik i z nim w dzieciństwie byłam najbardziej związana. Był dwa lata ode mnie starszy.

Dziecięce zabawy

Dom chłopaków narzucał rodzaj zabaw: podchody, gonitwy, granie w piłkę, w zbijaka, zabawa w wojnę. Na ulicy było nasze boisko, bieżnia i skocznia. Bracia ostro mnie przygotowywali do dyscyplin sportowych. Bawiłam się też z innymi dziećmi z sąsiedztwa. Pamiętam Alę Robakównę, moją jedyną koleżankę. Nauczyłam się bardzo szybko być bramkarzem, bo braciom brakowało tego zawodnika, czasem obrońcą, a najrzadziej napastnikiem. Nauczyli mnie strzelać z łuku – giętkich gałęzi leszczyny było w bród. Do dziś mam bliznę na palcu po głębokim ciachnięciu szczyrykiem, gdy robiłam strzały. Budowaliśmy szalasy, które łączyły się ze sobą podkopami i to był ten wspaniały czas indiańskich przygód. Latem wybieraliśmy się

na grzyby i jagody. Pyszny obiad to były pierogi z jagodami, o ile donieśliśmy je do domu. Pływaliśmy w rzeczce. Późną jesienią paliło się ogniska i piekło ziemniaki. Kiełbasek nie było!

Takie były zabawy latem, a zimą grało się w gry planszowe: chińczyka, lotto, halnę, warcaby. Dużo rysowaliśmy. Robiliśmy ozdoby choinkowe. Mój brat Hubert wspaniale grał na pianinie. Śpiewaliśmy piosenki, których nauczyła nas mama. W Boże Narodzenie kolędowaliśmy rodzinnie. Prezenty pod choinką były skromne, najczęściej słodczyce.

Szybko też nauczyłam się jeździć na rowerze. To był rower taty, tak zwana półwyścigówka z rogatą kierownicą. Ten rower był ogromny, dlatego nauczyłam się na nim jeździć pod ramą, tak jak większość dzieciaków. Rower to był rarytas, marzenie każdego dziecka! Rodziców nie było stać na taki wydatek. Tata miał na utrzymaniu 9 osób! Babcia szydełkowała, mama robiła na drutach i reperowała nasze ubrania, a i mnie zachęcały do kobiecych robótek.

Marzenia

O wielu rzeczach marzyłam i na tym się często kończyło, ale jedno moje marzenie się spełniło. Na Boże Narodzenie dostałam od matki chrestnej narty! Co prawda bez kijków, ale zabawa była przednia. Chodziło się na górkę obok stacji i tam dopiero była świetna jazda. A kijki wycięłam z leszczyny. Moje marzenia były skromne, tak jak nasze życie.

Szkoła i edukacja

Mój najstarszy brat Michał w czasie okupacji był uczony w domu. Potem on i bracia poszli do szkoły w Zalesiu. A kiedy mój brat Dominik poszedł do przedszkola, zrobiłam dziką awanturę i niespełna trzylatka poszłam do przedszkola razem z nim. Placówkę tę, przy ulicy Przebudzenia Wiosny, prowadziła pani Maria Sawicka, a moją pierwszą nauczycielką była pani Janeczka. Dzięki starszym nauczycielom-braciom i babci Ewie, nauczyłam się szybko czytać i pisać, dlatego poszłam rok wcześniej do szkoły. Moimi kolegami i koleżankami byli: Andrzej Nowak-Zempliński, Mirek Grzyb, Grażynka Stefurówna, Basia Pelucha i inni. Kiedy oglądałam stare szkolne zdjęcia ze smut-



kiem stwierdzam, że coraz mniej z nas żyje. Po szkole podstawowej rodzice zdecydowali, żebym dalej uczyła się w liceum Sacre-Coeur w Polskiej Wsi, w województwie poznańskim. Oni pewnie chcieli dobrze, a ja dziecko zalesiańskie, z lasów chojnowskich, dziecko swobody i spontanicznych zabaw - trafiłam do szkoły prowadzonej przez zakonnice. O jakżeż byłam nieszczęśliwa! Błagałam rodziców, by mnie jak najszybciej zabrali do domu, do Zalesia. Tam chodziło się parami i wszystko robiło się wspólnie, żadnej swobody, czy dowolności. Buntowałam się okrutnie. Osobą, która rozumiała moją rozpacz była wspaniała zakonnica, siostra Maria Drohojowska, zmarła w roku 2009, w wieku 94 lat. Rozmawiała ze mną dużo i długo i wymyśliła wraz z rodzicami, że wrócę do domu przy Wrzosów 12, gdy będę miała same piątki. Zaczęłam się uczyć i nadrabiać zaległości i ... wróciłam do mojego kochanego Zalesia. Naukę kontynuowałam w Liceum Ogólnokształcącym imienia Królowej Jadwigi w Warszawie i tam zrobiłam maturę.

W naszym domu było nas dużo. Swój pokój miał tylko mój brat Michał. Ja mieszkalam w pokoju z rodzicami. Hubert, Janek i Dominik mieli wspólny pokój, a obok królowała babcia. Spotykaliśmy się przy stole w pokoju stołowym codziennie, choć nie wszyscy razem, bo każdy miał inny rozkład dnia. Ale ja wspominam ciepło bijące z kuchni, zapach i smak domowego jedzenia. Rodzice raz na kwartał jeździli do opery lub do filharmonii i wracali ostatnim pociągiem. Zostawialiśmy wtedy z babcią, która chyba tego nie lubiła.

Pociąg i tata

Czas ogólniaka, to wspólne podróże z tatą do Warszawy. On do pracy, a ja z koleżankami i kolegami do szkół warszawskich. Biegłam szybko do wagonu by zająć siedzące miejsce dla taty a on dumny ze mnie, z teczką w dłoni, siadał w wagonie. Rozkład jazdy znałam na pamięć. Potem, już dorosła, jeździłam pociągami do warszawskiej pracy.

Zakupy

Na Domance była piekarnia pana Królaka, a chleb i bułki kupowało się przy ulicy Korolowych Dębów. Dla naszej rodziny kupowało się bardzo dużo chleba. Chleby były okrągłe, z błyszczącą skórką, gorące i pachnące. Często do domu donosiło się lekko nadgryziony bochenek. Owoce i warzywa były z własne-

go ogrodu. Zimą przechowywało się je w piwnicy. Mama i babcia robiły dużo przetworów - tak zwane weki. Mięso przynosiła pani Chebłowska, która zapatrywała kilka rodzin w cielęcinę, wieprzowinę i drób. Ale mięso było u nas tylko w niedzielę i od święta. Biały ser raz w tygodniu też przynosiła pani Chebłowska. Mieszkała przy ulicy Piaseczyńskiej. A propos - pani Chebłowska przygotowała poczęstunek weselny po moim ślubie.

Sklepów w Zalesiu prawie nie było. Przy dzisiejszym bazarku był sklepik państwa Sztramków, gdzie za 20 groszy kupowałam dropsy mleczne. Ten sklepik to był baraczek obity papą - zawsze liczyłam kółeczka i gwoździe „papiaki”, którymi była papą przymocowana.

Potem powstał sklep spożywczy Gminnej Spółdzielni, tak zwany GS, gdzie kupowałam mleko nalewane kwartą z baniek cynkowych. Gdy mleko zostawało, pani Dybowska, sprzedawczyni, robiła z niego wspaniałe sery i twarogi. Z innych sklepów pamiętam pana Królaka i Błaszczaka - szewców. W sklepie na „górcie” był sklep ze sprzętem AGD i wtedy prowadzili go państwo Strampowie. Po ziemię do kwiatów i sadzonki chodziło się do państwa Szafrzańskich przy Korolowych Dębów lub do pani Peda, która też wspaniale kiszyła kapustę. Ogrodnicy ci mieli rozsady truskawek, malin, poziomek. Pan Szafrński był też szewcem. Po ważniejsze zakupy, głównie buty, jeździło się do Piaseczna i dalej do Warszawy. Dzieciom i dorosłym szło się ubrania, na drutach robiło się swetry, szaliki, skarpetki. Ubrania ze starszych dzieci przechodziły na młodsze. Na przykład ze spodni ojca szło się spódnicę dla mamy, a ze spódnicy szło się spodenki dla synka lub spódniczkę dla córeczki. Miałam szczęście - po moich braciach, spodnie nadawały się tylko do wyrzucenia. Poza tym byłam uprzywilejowana - byłam jedyną dziewczynką w rodzinie i byłam ubierana jak dziewczynka przez babcię.

Mój dzień powszedni

Wstawałam rano około 5, bo tato włączał radio. Sam wychodził na pociąg 6.02. Ja szłam do szkoły na ósmą. Pierwszą i drugą klasę zaliczyłam w Zalesiance, a potem szkoła była przy ulicy Białej Brzozy. To babcia pilnowała, abym miała ładnie zaplecione warkocze i szła do szkoły najeżona. Po lekcjach odprowadzałyśmy się do domów z koleżankami. Zawsze gromadnie odprowadzało się inną z nas.



Należałam do SKS-u, który prowadził Feliks (Felek) Wichowski i „działałam” we wszystkich możliwych dziedzinach sportu: skok w dal, skok wzwyż, biegi. Pochwałę się, zdobyłam nawet trzy medale - dwa złote ze skoków i jeden srebrny.

Wracałam na obiad, który był zawsze około 17, bo o 16.30 tata wracał z pracy z Warszawy. Moim obowiązkiem było rozkładanie sztuczków. Każdy miał swoje miejsce przy owalnym stole. Obiad był zawsze trzydaniowy, często była kapusta, której wtedy nie lubiłam. Teraz bardzo ją lubię. Pomagałam mamie w kuchni, z ogrodu przynosiłam potrzebne warzywa.

Przed oknem kuchennym był dąb, na który lubiłam wchodzić i patrzeć co gotuje się na węglowej kuchni.

Teraz

Dorosłam, wyszłam za mąż, zostałam mamą Pawła. Moje życie toczyło się w nieco innej roli niż na Wrzosów, ale ono szykuje różne niespodzianki i choć myślałam, że moja przyszłość zwiąże się z domem rodzinnym - stało się inaczej. W moim ukochanym rodzinnym domu mieszka już ktoś inny. Nie lubię tamte dy chodzić, ale lubię i kocham Zalesie, z którym jestem związana od urodzenia - jestem stuprocentową zalesianką. Kiedy miałam się urodzić wezwano panią doktor Tańkowską, też z ulicy Wrzosów. Urodziłam się w domu, tak jak moi bracia. Tu mieszkalam z mężem i synem. Tu mieszkam teraz z synem, synową i wnukiem Grzegorzem, choć już nie przy ulicy Wrzosów 12.

Rozmawiała Nina Wierzbicka

Drodzy Czytelnicy
 Korzystając z okazji przedstawiam projekt planszy, który będzie znakiem firmowym kolejnych edycji „Historii”.



Seniorzy z Inicjatywą 3 oraz Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Piaseczno. Filia w Zalesiu Górnym serdecznie zapraszają na uroczyste otwarcie wystawy będącej podsumowaniem projektu

HISTORIE ODNALEZIONE
 ZALESIE GÓRNE
 II EDYCJA

17 listopada o godz. 18:00
 w Zalesiu Górnym przy ul. Białej Brzozy 3

Jeszcze raz pragnę podziękować wszystkim, którzy dzielili się z nami wspomnieniami, udostępniali fotografie i pomagali zorganizować wystawę.

A oto kilka zdjęć z przygotowań i wernisażu. Do zobaczenia na kolejnej edycji za rok.

Ewa Kamińska





**Stowarzyszenie Rodziców TU
i Biblioteka Publiczna w Piasecznie
zapraszają na wernisaż projektu**

Zalesie Górne
**HISTORIE
ODNALEZIONE 3**



@historie.odnalezione

**wystawa w filii biblioteki w Zalesiu Górnym
od 18 stycznia do 26 lutego**

HISTORIE ODNALEZIONE 2020

Spis treści

Rozmowa z Jolą Jarosz-Hryniewicz o jej życiu w Zalesiu	1
Opowieść Ani (Antoniny) Królikowskiej	5
Wspomnienia Ani Żółkiewskiej	7
Od niechcenia do polubienia, <i>Ela Nowińska</i>	8
Moje Zalesie, <i>Nina Wierzbicka</i>	10
Pierwsze spotkanie, <i>Ewa Kamińska</i>	12

Rozmowa z Jolą Jarosz-Hryniewicz o jej życiu w Zalesiu Górnym

Droga Dzików i sąsiedzi

Jesienią 1952 roku, wraz z moimi rodzicami, Edwardem i Krystyną Jarosz, przeprowadziliśmy się ze wsi Budziszyn do Zalesia Górnego. Budziszyn to rodzinna wieś mojej mamy, w parafii Drwalew (między Grójcem a Górą Kalwarią). Początkowo zamieszkaliśmy w domu brata mojej babci ze strony matki, Jana Płatka. Ten dom, niewiele zmieniony, stoi do dziś przy Drodze Dzików nr 36. Dlaczego zamieszkaliśmy w Zalesiu (a właściwie na Jesówce)? Nasz kuzyn obawiał się, że jego dom pójdzie pod kwaterunek, więc zaproponował mojemu ojcu, który właśnie wrócił z wojska i nie miał gdzie się podziać z rodziną, wynajęcie pokoju z kuchnią. Dwa lata od przeprowadzki urodziła się moja siostra Hania, mieszkaliśmy więc we czworo w tym jednym, zimnym pokoju z kuchnią. Niewielki dom, zbudowany na planie kwadratu, współdzieliły wtedy cztery rodziny. Obok nas mieszkał Walenty Kołaciński z żoną Honorką, która była naszą kuzynką. Z tyłu domu mieszkała pani Gołębiowska z synem Leszkiem, nieco starszym ode mnie, oraz państwo Dąbrowscy z synem Andrzejem, zwanym Miśkiem i córeczką Bożenką.

Misiek był w moim wieku, a ich córka była rówieśnicą mojej siostry.

Pan Dąbrowski był szewcem. Lubiałam do nich chodzić. W małej kuchni był też jego warsztat. Nie mam pojęcia, jakim cudem się tam mieścili. W pamięci mam taki obrazek: pani Dąbrowska stoi przy kuchni, coś gotuje... Na stołku szewskim, z siedziskiem ze skórzanych pasków, siedzi pan Dąbrowski i robi buty. Pachnie klejami i skórą. Pod ścianą stoi stół, na stole ja z Miśkiem gram w „Grzybki” (tę grę planszową można kupić również dziś). Pamiętam, że Misiek miał zawsze ładne, dobrze podzielowane buty, tzw. trzewiki. Przychodził i nie pukając, kopał w drzwi i tak wywoływał mnie „na zabawę”.

Bawiliśmy się całe dni na podwórku i ulicy wszyscy razem, to znaczy ja, jedyna dziewczynka, z gromadą chłopaków – Miśkiem Dąbrowskim, Leszkiem Gołębiowskim, Zbyszkim Kołacińskim, zwanym Ryśkiem i Ryśkiem Bulskim. Razem odkrywaliśmy okoliczne laski, rowy i mokradła. Już



Jola z dziadkiem



Mama Jola z mamą

wtedy mieszkańcy ulicy Dzików mówili, że mieszkają w Zalesiu. Ze zdziwieniem więc dowiedziałam się, że ta strona ulicy, końcówka ziem gospodarzy z Jesówki, to formalnie inna wieś. Te pierwsze lata w Zalesiu, to lata dzieciństwa, które wspomina się z sentymentem. Pamiętam też zdarzenia, nie zawsze rozumiane przez dziecko, jak wielką radość mieszkańców, stojących na ulicy i bijących brawo na wieść o śmierci Bieruta. Mam takie poczucie, że była wtedy większa bliskość między mieszkańcami, większa bezinteresowność i troska o życie sąsiadów. Nam szczególnie okazywali ją Państwo Bulscy.

A czasy były siermiężne, ledwie kilka lat po wojnie, o której się nie wspominało. Pamiętam ciężkie zimy z 30-stopniowymi mrozami. Pamiętam również zamknięte drzwi wejściowe, obite warkoczem ze słomy, które ojciec otwierał, odrąbując siekierą lód. Tylko ojciec pracował i jego pensja musiała starczyć na cały miesiąc. Po wypłacie przynosił na osłode landrynki, a mama piekła ciastka ze skwarek i gotowała kisiel. Za jedną z pierwszych pensji, ojciec kupił radio lampowe i ma-

ma włączała je na audycję dla przedszkolaków. Do dziś pamiętam jej sygnał. Mama nie pracowała, bo ciężko było znaleźć pracę, a poza tym, nie miała co zrobić z małymi dziećmi.

W Zalesiu funkcjonowało, przy ulicy Przebudzenia Wiosny, małe przedszkole, (w późniejszym budynku ośrodka zdrowia), ale niewiele dzieci mogło z niego korzystać. Chodzenie do przedszkola pozostawało w sferze marzeń.

Do dziś mam w pamięci obraz ulicy Dzików, wtedy prawie całego naszeo, dzieciennego świata. Po prawej stronie ulicy Pionierów był młody las, jesienią pełen podgrzybków. Otaczały go piaszczyste dróżki, a jedynie nasza droga była w miarę szeroka. Wozacy tą drogą docierali do przedłużenia obecnej ulicy Pionierów, czyli ul. Źródlanej, wtedy również piaszczystej drogi, porośniętej krzywymi wierzby, którą jeździło się do Jazgarzewa. Od niej był

przejazd do Zalesia Dolnego, (ul. Dworska), po drewnianym moście nad Jeziorką. Po stronie lasu był tylko jeden, drewniany domek pani Szałowskiej. Ekscytował nas fakt, że miała wnuki-bliźnięta, które wyjechały z ojcem do Ameryki.

Po lewej stronie Drogi Dzików, od strony Jesówki, było zaledwie kilka domów, a na początku odmokły teren, sterta śmieci, kilka rachitycznych krzaków. Jak dziś pamiętam: pierwszy dom, w którym mieszkali Malarczykowie i Mikołajczykowie, dalej pani Czarska, w domu obłożonym supremą, nasz dom, potem dom Bulskich. Dalej mieszkał szewc Zwoliński i Zakrzewscy. Niektórzy dopiero się budowali: Maciejewscy, blacharz Szczepański. To byli wszyscy mieszkańcy aż do Granicznej, a na jej rogu mieszkał pan Siwek i gdzieś daleko Matulkowie i Plutowie i być może inni mieszkańcy, których nie pamiętam.

Po przeciwnej stronie był rozległy plac, porośnięty żarnowcami i marną roślinnością, tzw. pasternik, gdzie starsi chłopcy grali w piłkę. Z daleka widać było przedwojenny dom, w którym wynajmowali mieszkanie Fabiszewscy. Urszula, ich młodsza córka, dostała się do szkoły baletowej i została tancerką. Mówiono, że tańczyła we Wrocławskim Teatrze Pantomimy Henryka Tomaszewskiego. I choć nigdy już nie wróciła do Zalesia, to i tak byliśmy z niej bardzo dumni. Później w tym domu mieszkał Jerzy Robak z rodziną. Dalej mieszkała samotnie pani Bączkowska, która uczyła języka angielskiego. Tylko przy jej furtce był dzwonek. Nie byliśmy grzecznymi dziećmi, ciągaliliśmy za jego sznurek i uciekaliśmy zanim zdążyła wyjść na próg. Trochę dalej, między Piaseczyńską i Koralowych Dębów, mieszkał kolega, którego poznałam już w szkole, Marek Zacharski.

Cała ulica Dzików, piaszczysta, z wyjeżdżonymi przez wozy konne koleinami, należała do nas i była naszym placem zabaw. Rodzice nie przejmowali się nami, bo było bezpiecznie, z rzadka coś tamtędy przejeżdżało. Nikt w okolicy, nie miał ani motoru ani samochodu. Jedynym znanym mi z tamtych czasów motocyklem był ten, na którym doktor Dajkowski, w razie konieczności, przyjeżdżał do nas z Zalesia Dolnego.

Szkoła i drogi do niej

W 1957 roku poszłam do nowej wtedy szkoły, która mieściła się w budynku banku, siłą przejętego przez zdesperowanych rodziców, mieszkańców Zalesia. Ściany pachniały jeszcze świeżą farbą. Dyrektorem szkoły był pan Ludwik Rybak, a wychowawczynią pierwszej klasy – starsza pani, Maria Mazurkowska.



Jola – Owsiana

Nasza klasa mieściła się na dole, po prawej stronie długiego korytarza. Z lewej strony, pod schodami, był schowek pana woźnego, w którym trzymał ścierki, kredę i inne przybory. W ławkach były kałamarze, do których woźny wlewał atrament. Pisało się najpierw ołówkiem, a potem piórem ze stalówką, tzw. obsadką. Woźny obwieszczał przerwy, dzwoniąc wielkim dzwonkiem.

Pamiętam również tzw. starą szkołę, bo jeszcze

w grudniu 1956 roku pani Bulska zabrała mnie na noworoczną zabawę do szkoły, mieszczącej się wtedy w przedwojennym Kasynie zwanym Zalesianką. Może nie wszyscy wiedzą, że ten dom, stojący przy bazarku, to dla Zalesia historyczne miejsce. A dla mnie ten bal to był nie lada wydarzeniem, bo oprócz zabawy i oranżady, dostałam wtedy przepiękną czapkę krasnoludka z czerwonej krepiny, którą długo trzymałam na szafie.

Mój pierwszy rok szkolny zaczął się bardzo ciekawie.jechałam na małym rowerku i w pewnej chwili na rogu Drogi Dzików i Koralowych Dębów zobaczyłam pod dębem zwinięte papierowe 10 złotych. Ucieszyłam się i pamiętam, że pomyślałam sobie, że to chyba jest znak, że może będę się dobrze uczyć. W szkole nosiliśmy granatowe fartuchy uszyte z taniej podszewki. Mama, krawcowa z zawodu, nie zawsze zdążyła uszyć mi nowy fartuch, więc przeważnie witałam rok szkolny w zniszczonym, przykrótkim fartuszk. Książki i zeszyty nosiliśmy w tornistrach kiepskiej jakości, z brązowej, lakierowanej tektury. Ledwie rok wytrzymał, potem nosiłam szkolne rzeczy w starej, ojcowskiej teczce.

Nasz dom na ulicy Polnej

Gdy rozpoczęłam szkołę, mieszkaliśmy już wtedy we „właściwym” Zalesiu, na Domance, przy ulicy Polnej (obecnie, co ciekawe, ta ulica nazywa się Żytnia). Rodzice kupili niewiele wcześniej działkę, a dom w większości samodzielnie, ojciec budował, jedynie z pomocą mamy. W wakacje 1957 roku, pośpiesznie kładziono sufit z ackermanów. Były to lekkie, puste w środku, elementy ceramiczne. Wraz z 8-letnim sąsiadem, Wieśkiem Postkiem, wносиłam je po łagodnej pochylni z desek na wysokość pierwszego piętra. I tak powstał nieduży dom – 2 pokoje, kuchnia, miejsce na łazienkę. Pod koniec wakacji przeprowadziliśmy się do niewykończonego jeszcze domu. Wytynkowany był tylko jeden pokój i kuchnia. Pamiętam, jak mój dziadek, Bronisław Bojski z Budziszyna, przewiózł furą cały dobytek, a także małego prosiaczka, który był hodowany, wiadomo w jakim celu. Jakiś czas potem pojawił się śliczny, biały, przyjazny dzieciom, piesek Czarus.

Na Polnej nie byliśmy sami. Nasi sąsiedzi, tak jak ojciec, budowali swoje domy gospodarczym sposobem. Obok nas mieszkali Taraszewscy, Bednarkowie, Postkowie, a po przeciwnej stronie ulicy – Chmielewscy z Wardejnami, Cechowie i Piotr Osełka z żoną. Osełkowie i Postkowie byli rolnikami, w gospodarstwie trzymali krowy, konie, kury. Przez wiele lat braliśmy świeże mleko od pani Postkowej. Wszyscy dookoła hodowali kury i świnie. W ogródkach rosły pożyteczne rośliny, które nadawały się do jedzenia, a kwiaty były wysiewane z nasion, pozyskanych od sąsiadów i znajomych.

Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że było wtedy sielsko, blisko przyrody i to było zupełnie normalne, że dzieciaki znały gospodarskie zwierzęta, umiały nazwać drzewa i rośliny, rosnące w pobliżu. Do dziś pamiętam, dla nas wtedy bardzo śmieszne zdarzenie, kiedy przyjechała znajoma z Warszawy z kilkuletnim chłopczykiem. W czasie spaceru zobaczyli pasącego się cielaczka, mały zakrzyknął z zachwytem: „Mamo, popatrz, prawdziwe rolnictwo!”

Wszędzie chodziliśmy na przelaj, przez puste przestrzenie. Za naszą działką rosło żyto, w którym kwitły maki, chabry, fioleto- we kąkole i białe rumianki. W maju pojawiały się brązowe żuczki, które łapaliśmy w garść, bo fajnie się roiły, laskocząc zamkniętą dłoń. Z daleka widać było zabudowania Jesówki.

Do szkoły chodziłam na skróty, przez leszczynowe laski. Szło się Piaseczyńską, potem zarośniętym żarnowcami polem



Komunia święta

i laskiem do Złotej Jesieni, wówczas dróżki przez las, i znowu laskami, aż do Pionierów, albo leśną ścieżką, zaczynając się od Szumiącej Jodły i poprzez górki i doły, gdzie wydobywano piach, wychodziliśmy przy obecnym boisku. Do dziś widać efekt poškodowanego terenu – działki przy Pionierów są położone na różnych wysokościach. Najprostsza droga wiodła ul. Koralowych Dębów wzdłuż której, rosło kilka rozłożystych dębów, pięknych okazów tego gatunku. Trudno było przejść koło nich obojętnie, bo zachęcały do wspinania się po gałęziach. Pod dębami było mnóstwo żołądzi. Jesienią była akcja, zbierania żołądzi, prowadzona przez szkołę. Zbieraliśmy więc te żołądki, odbierało je nadleśnictwo i miały z nich wyrosnąć nowe lasy.

Złot młodzięzy

Z mojej ulicy wychodziłam na zatopioną w bzach i lipach gajówkę, którą bita droga z Piaseczna, omijała łukiem. Na początku lat 60., kiedy miał się odbyć zlot młodzięzy ze Związku Młodzięzy Socjalistycznej, miał przyjechać ktoś bardzo ważny na otwarcie. Wyprostowano więc jedyną utwardzoną drogę, tzw. kocie łby, przecinając w poprzek gospodarstwo leśniczego Płowika. Po jednej stronie została chałupa, a po drugiej – zabudowania gospodarcze. Pobudowano nową leśniczówkę po stronie zabudowań. Na rogu ulicy Piaseczyńskiej i Koralowych Dębów pozostała, na wiele lat, pusta przestrzeń. Obecnie jest to jedyny zadbany w Zalesiu skwer, na którym stoi figurka Matki Boskiej.

W tym czasie, koło kościoła, powstała ulica Złotowa, zmieniła w 70. rocznicę założenia Zalesia na ulicę Wisłockiego, współzałożyciela Zalesia. Wytoczono ją, podobno zabierając grunt prywatnym właścicielom. Wycięto las, chyba utwardzono i tak, raz-dwa, w socjalistycznym tempie, powstała ulica o dumnej nazwie Złotowa, łącząca ulicę Białej Brzozy i Sarenki. Po niej – według świadków – młodzięzy ćwiczyła marsze.

Zbiegło się to z otwarciem w 1961 roku Ośrodka Wczasów Świątecznych „Wisła”, który miał być miejscem wypoczynku warszawiaków. Zagospodarowano wtedy 96 hektarów lasu, pogłębiono stawy rybne. Pogłębianiem stawów zajmowało się przedsiębiorstwo budowlane „Dźwigar”, w którym pracował mój ojciec, jako operator maszyn ciężkich. Przez jakiś czas pracował tu na koparce, ciesząc się, że ma blisko do pracy.

Na terenie, zwanym przez nas „stawami”, wybudowano całą infrastrukturę, restaurację, amfiteatr i kilkadziesiąt domków kempingowych, rozsianych po ogrodzonym, leśnym terenie. To tam mieszkała socjalistyczna młodzięzy z warszawskiego zlotu. Ale to już było nieco później.

Ulica Koralowych Dębów

Tymczasem przy ul. Koralowych Dębów domy były tylko z prawej strony.

Za mojej pamięci mieszkali tu: pani Pachnikowa, obok państwo Małecy, Czalczyńscy, Królakowie i Świetlikowie. Pan Świetlik prowadził sklep mięsny. Raz na tydzień przywoził tuszę prosiaka i on (albo pani Świetlikowa) rozbierali mięso na kawałki. Moja matka często wysyłała mnie do sklepu, a raczej na oczekiwania na przywóz mięsa, jako że sama nie miała nigdy czasu i cierpliwości stać w kolejce. Nieco dalej była piekarnia pana Królikowskiego, która działała już w czasie wojny. W latach sześćdziesiątych kupił ją Tadeusz Jerzak. Za drewnianą ladą stała śliczna żona piekarza. Chleb i bułki paryskie układano na półkach. Rano przed szkołą biegłam po bułki i taką bułkę z masłem zabierałam do szkoły. Czasami mama pozwalała kupić pyszną, słodką bułkę za złotówkę – płaską z dołu, a na wierzchu posypaną obficie grubym cukrem. Później pan Jerzak wprowadził niebywałą nowość: kajzerki. Jeszcze ciepłe i chrupiące znikwały błyskawicznie z piekarni.

W piekarni sprzedawane były też okrągłe kilogramowe chleby. Chleb kosztował 3 złote. Mogłam mieć z sześć lat, kiedy z Dzików wybraliśmy się z chłopakami do piekarni. Na prośbę mamy kupiłam ten kilogramowy chleb, ale był dla mnie tak ciężki, że ledwie mogłam go donieść do domu. Przyciskałam go do siebie, żeby go tylko nie upuścić. Do sklepu chodziło się z własną torbą, a produkty owijane były, co najwyżej w papier, nierzadko w gazetę.

Za piekarnią mieszkał stolarz Sochański, a jeszcze dalej – dziadkowie starszego kolegi, Maćka Małeckiego – Czapscy. Babcia prowadziła mały sklepik warzywny i sprzedawała tam sezonowe warzywa i ziemniaki. Miała tam maszynkę, na której często gotowała zupę, czekając na klientów. Do dziś uwielbiam intensywny zapach selera, którym wypełniało się tamto pomieszczenie. Często tam bywałam, bo w tym domu mieszkała moja najlepsza koleżanka ze szkoły, Ania Bacher.

Dalej był zniszczony dom, gdzie wynajmowali mieszkanie rodzice Maćka Dymowskiego, innego starszego kolegi. Do dziś rosną u mnie maki, wyrwane z ogrodu przy tamtym domu. W Zalesiu było kilka takich drewnianych, zaniedbanych domów, które nieładnie nazywane były „pekinami”.

Do dziś na rogu Szumiącej Jodły i Koralowych Dębów stoi przedwojenny, elegancki dom. Jego właścicielami byli państwo

Tatarscy. Jako dziecko bardzo lubiłam przechodzić koło tego domu. Fascynowała mnie duża, zielona porcelanowa żaba, stojąca na jego tarasie. Uwielbiałam tę żabę. A jak się okazało – nie tylko ja. Po latach willę odremontowano i jest to jeden z nielicznych przykładów, kiedy udana rewitalizacja jeszcze poprawiła wygląd budynku. A żabę, podobno, stłukli robotnicy w czasie wcześniejszego remontu.

U zbiegu Poranku i Korolowych Dębów mieszkali państwo Rybiccy.

W późniejszych latach, ich córka, pani Jolanta Rybicka, uczyła w szkole geografii. Po przeciwnej stronie ulicy Korolowych Dębów pani Szafrńska hodowała nowalijki w inspektach. U niej, a także u pana Pedy, można było kupić już w maju sałatę, wycinaną wprost z grządki – ulubiony dodatek do niedzielnego obiadu.

Na rogu Złotej Jesieni i Korolowych Dębów, nad drzwiami przedwojennego domu (sąsiad, Grzegorz Fryszczyn, nazywa go „Willa Hanka”), widniał napis „Sklep kolonialny”. Słabo już widoczny napis, kojarzył się mi z latami dobrobytu, o których tylko czytałam w książkach. Dom był zasiedlony przez kilka rodzin. Miałam do niego jakiś sentyment, bo ojciec opowiadał, że ten dom, w latach pięćdziesiątych był do sprzedania i gdyby nie było wymiany pieniędzy w 1950 roku, to by go było stać kupić taki dom. Pewnie fantazjował, ale miło było patrzeć na ten ładny dom, w którym kiedyś sprzedawano pachnące egzotycznie goździkami i pomarańczami „towary kolonialne”.

Tam, gdzie dziś jest ośrodek zdrowia, był sklep spożywczy, tak zwana spółdzielnia, z wejściem po schodkach od Korolowych Dębów. Sprzedawała w nim pani Dąbrowska. Tam się zaopatrywaliśmy we wszystkie potrzebne towary. Pomieszczenie było ciasne i ciemne, ale sklep funkcjonował długie lata.

Kiedy byłam w pierwszej klasie, mama dała mi 10 zł, żebym kupiła sól. Widocznie pani Dąbrowskiej nie chciało się ważyć, bo wcisnęła mi worek z „resztką” soli za te całe 10 złotych. Sól kosztowała wówczas 90 groszy za kilogram, więc w worku było jej około 11 kilogramów. Przez wiele lat miałam o to żal do sprzedawczyni. Od sklepu do domu miałam prawie kilometr. Trochę niosłam, a trochę ciągnęłam po piachu ten papierowy wór z solą i jakoś dociągnęłam go do domu. Na szczęście, worek przetrzymał transport, a mama ze 2 lata używała sól, która przez ten czas zdążyła zamienić się w kamień od wilgoci.

Na placu, gdzie teraz jest targowisko, była zielona, wysoka, drewniana buda, w której sprzedawali państwo Stramkowie. Co tam było sprzedawane, nie bardzo pamiętam, ale pamiętam najważniejszą rzecz – stał tam szklany słoć, a w słoju były kolo-

rowe cukierki na wagę. Pan Stramka skręcał papierowe różki i pakował w nie cukierki, po 2 złote za 10 deko. Najlepsze były białe o smaku migdałów. Ojciec, czasami po wypłacie, dawał nam pieniądze na taki zbytek, jak cukierki. W tym czasie chyba nie było więcej sklepów, a do lekarza i dentysty mieszkańcy Zalesia jeździli do Piaseczna, do przychodni przy cmentarzu.

Przy ulicy Pionierów, za Zalesianką, na placu, przy obecnym boisku, była ubita z desek platforma, z podwyższeniem dla muzyka, tzw. „dechy”. W letnie sobotnie wieczory, zbierali się mieszkańcy Zalesia i tańczyli. Zazwyczaj, przygrywał do tańca akordeonista. Była to jedyna, dostępna rozrywka. Czasami muzykował ten wuj, u którego mieszkaliśmy, samouk Jan Płatek. Widzę taki ciepły wieczór, niesie się muzyka, pary tańczą, a dzieciaki, zachwycone, przyglądają się.

Wspomnienie

Uwielbiałam chodzić do szkoły. Byłam w klasie razem z Anią Bacher, Joasią Borowską, Andrzejem Dąbrowskim, Krzysiem Gawrysiem, Markiem Zacharskim, Wieskiem Celejewskim, Romkiem Orzechowskim, Elą Szczypior, Cześciem Strzałkowskim, Jaśką Myszkowską. Rok wyżej byli Ala Płochocka, Maciek Małecki, Wiesiek Postek, Maciek Dymowski, Marek Lubański, Benek Pludra, a później Hania Jerzak – wszyscy z Domanki. Przez całą podstawówkę trzymaliśmy się razem, razem chodziliśmy do szkoły i z niej wracaliśmy, razem toczyliśmy wojny. Ze starszymi o rok kolegami przyjaźniliśmy się za czasów szkoły średniej. W szkole szybko nauczyłam się czytać i pisać – wtedy też weszłam w zaczarowany świat książek. Któż nie pamięta pierwszej, cudownej książki, czyli „Elementarza” Mariana Falskiego i pierwszego, wydukanego zdania: „Ala ma kota”? Kiedy zaprowadzono nas do biblioteki i zobaczyłam półki pełne książek, zamarzyła mi się taka biblioteka w domu, z której można by było nie wychodzić, tylko siedzieć i czytać. Dziś książki stoją w całym domu. W szkole po raz pierwszy zobaczyłam film i teatrzyk dla dzieci. Pierwszy raz uczyłam się śpiewać piękne pieśni doby socjalizmu, które ćwiczyliśmy na cotygodniowym apelu. Pierwszy raz dostałam liniijką „po łapach” i zostałam wyrzucona z lekcji za nazwanie pani Mazurkowej „starą małpą”, bo niesprawiedliwie oceniła mój rysunek. Za karę miałam przyjść z rodzicami do szkoły, ale ze strachu rozchorowałam się i leżałam w łóżku przez tydzień. Kiedy tak długo nie pojawiłam się w szkole, wystraszona nauczycielka wysłała listonoszkę, żeby sprawdziła, co się ze mną dzieje. Mimo tego zdarzenia, pierwszy rok skończyłam z nagrodą książkową.

W drugiej klasie przejęła nas młoda nauczycielka, pani Oleksiakowa, nasza wychowawczyni aż do siódmej klasy. Miała trzech małych synków i widocznie, rezolutna dziewczynka, wyzwalalam w niej matczyne uczucia. Od początku okazywała mi bardzo dużo sympatii.

Takie były początki mojego życia w Zalesiu, w którym wiele osób mnie znało, gdyż wszystkim napotkanym osobom, znanym i nieznanym, mówiłam grzecznie „dzień dobry”. Żartobliwie mogę powiedzieć, że ten trening przydał się nieco później, w pracy zawodowej, kiedy zostałam stewardesą, ciągle witającą się z nieznanymi pasażerami.

Taki świat, widziany oczami małego dziecka, wydaje się niezbyt ważny. Późniejsze szkolne, zawodowe i rodzinne życie przysłańca dzieciństwo. Jednakże, to ono zostało najlepiej zapamiętane i chętnie się wraca do niego w rozmowach i wspomnieniach.

Rozmawiała Nina Wierzbicka



Opowieść Ani (Antoniny) Królikowskiej

Całe życie moje i mojej rodziny było związane z Zalesiem. Moja babcia, Janina Smoczyńska, zachwyciła się Zalesiem, gdy pierwszy raz tu przyjechała. Wędrując tu po bezdrożach i wertepach potknęła się i przewróciła. Jeszcze leżąc na ziemi zawołała: „Tu chcę zamieszkać!”

I tak też się stało.

Babcia kupiła działkę na ulicy Jałowcowej (obecnie dom zakonny Sióstr Sercanek) i rozpoczęła budowę domu, w którym w 1939 roku zamieszkała wraz z córką Krystyną i wnukiem Markiem. Rodzina czas wojny i okupacji spędziła w tym domu. Ja zamieszkałam tam w 1948 roku.

Po wyzwoleniu (lata 1950-1953) moja mama, magister biologii, uczyła tego przedmiotu w zalesiańskiej szkole. Byłam wtedy małą dziewczynką, więc mama, gdy nie miała mnie z kim zostawić, zabierała mnie z sobą do szkoły. Kiedy skończyłam sześć lat, poszłam do pierwszej klasy tejże szkoły. Wiele „starych” Zalesian znam właśnie z tamtych lat. Z tamtych czasów (lata pięćdziesiąte) pamiętam dziewczęta ze szkoły im. Żmichowskiej, które przyjeżdżały tu jesienią lub wiosną. Pod koniec pobytu zawsze organizowały dla miejscowej ludności przedstawienia. Nie zapomnę „Balladyny” Słowackiego wystawianej w naturalnej leśnej scenerii.

W marcu 1954 roku wybuchł pożar, który strawił do szczętnie letni dom żmichowszczanek. Było to jedno



Chrzest dzieci Antoniny i Władysława Królikowskich z księdzem Fijałkowskim



Dom wybudowany przez Janinę Smoczyńską, obecnie sióstr Sercanek



Uczniowie Szkoły Podstawowej w Zalesiu Górnym z wychowawczynią Krystyną Buszkowską i kierownikiem Ludwikiem Rybakiem



Pierwsza Komunia Święta Antoniny Królikowskiej, ksiądz Prusiński – czerwiec 1956



Kościół drewniany budowany w 1936 św. Huberta, Janina Smoczyńska i Krystyna Buszkowska z synem Markiem, lato 1942, z tyłu Władysław Wierzyński i Przemysław Sobolewski

z najbardziej spektakularnych wydarzeń w naszej spokojnej miejscowości. Widziałam to na własne oczy. Wracałam właśnie ze szkoły, gdy zobaczyłam jak wśród zalegającego jeszcze śniegu płonie dom.

Strażacy zjechali z całej okolicy, a gdy zabrakło wody do gaszenia pożaru, podłączyli motopompę do szamba. Smród był okropny. Z całych zabudowań ocalał tylko budynek gospodarczy, w którym mieszkała rodzina dozorczy, i to od jego nazwiska miejsce to nazywane jest „Placem Duszczyka”.

Do dziś pozostało zagadką, co było przyczyną tak gwałtownego pożaru.

Wielu Zalesian pracowało lub uczyło się w Warszawie dojeżdżając pociągiem o 7:07. Maszynista prowadzący parowóz sprawdzał, czy wszyscy stali pasażerowie już wsiedli, a jeśli kogoś ważnego brakowało, pociąg na niego czekał.

W 1963 roku mama dostała pracę w Warszawie, ja chodziłam do liceum, więc wyprowadziliśmy się do Warszawy. W zalesiańskim domu zostały sercanki, a my spędzaliśmy tu lato i wszystkie wolne dni. Dom został sprzedany, ale my nie wyobrażaliśmy sobie życia bez Zalesia. Mama kupiła działkę od pana Wędrychowskiego i tam stanął nasz letni domek, jednak nasze życie nadal toczyło się głównie w Warszawie - nauka, później praca, życie rodzinne... Wszystko to sprawiało, że przyjeżdżaliśmy tu coraz rzadziej, nasz letni domek stawał się coraz mniej potrzebny, coraz mniej był wykorzystywany, aż w końcu w roku 1996 został sprzedany.

Jak to się stało, że dziś znów jestem Zalesianką? Muszę się cofnąć do mojego dzieciństwa.

W sąsiedztwie naszego pierwszego domu mieszkała rodzina państwa Sobolewskich, którzy pobudowali się w roku 1936. Jan Sobolewski był inżynierem i pracownikiem NBP. Jego hobby była snycerka. Drewniane elementy wystroju wnętrza starego kościoła w Zalesiu - to jego dzieło. Pan Sobolewski zmarł w 1977 roku. Jego żona, Lucyna, pracowała zaraz po wojnie na miejscowej poczcie, która wtedy znajdowała się na ulicy Słonecznej. Sobolewscy mieli syna Przemysława, który po śmierci matki w 1981 roku przeprowadził się wraz z żoną do domu rodzinnego w Zalesiu i tu zamieszkał. Był to czas stanu wojennego, posiadanie dwóch mieszkań groziło utratą jednego z nich, więc sprzedał warszawskie mieszkanie. Po śmierci żony w 2006 r. Przemysław został sam.

Moja rodzina przyjaźniła się z tymi sąsiadami przez wiele lat, a ja przywykłam traktować rodzinę Sobolewskich jak własną, dlatego gdy Przemysław po drugim udarze został całkiem sam, zaopiekowaliśmy się nim z mężem. Kiedy wymagał całodobowej opieki i nie wystarczały przyjazdy, nawet codzienne, przeprowadziliśmy się z mężem do Zalesia i zamieszkaliśmy z nim. Opiekowaliśmy się nim do końca, a gdy zmarł w 2012 roku wyremontowaliśmy zapisany nam przez niego dom i mieszkamy tu do dziś.

W ten sposób geografia mojego życia zaczyna się i kończy w Zalesiu.

Zdjęcia z archiwum prywatnego Antoniny Królikowskiej



Zalesianka - pensjonat państwa Wisłockich przed wojną, szkoła podstawowa od roku 1950



Klasa I, rok 1953/54, przed Zalesianką, kierownik Ludwik Rybak, nauczycielki p. Oleksiakowa, p. Pazińska, p. Sadłowa



Klasa IV Antoniny w Zalesiu Górnym z kierownikiem Ludwikiem Rybakiem i panią Czyżewską



Uczniowie Szkoły Podstawowej w Zalesiu Górnym z wychowawczynią Krysztyną Buszkowską i kierownikiem Ludwikiem Rybakiem

Wspomnienia Ani Żółkiewskiej

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku Zalesie Górne było atrakcyjnym miejscem wypoczynku dla mieszkańców Warszawy, zwłaszcza południowej jej części.

Moja przygoda z Zalesiem Górnym zaczęła się w 1958 roku. Przyjechałam tu spędzić ciepły letni dzień w Ośrodku Wisła. Z tego wyjazdu pamiętam stary wielki las, staw, po którym pływały kajaki, łódki i rowery wodne. Staw okalały stoiska ze słodyczami i napojami. Idąc od stacji kolejowej w stronę Ośrodka mijano się kilka małych drewnianych domków, które wydawały mi się ciemne i mało zachęcające do pobytu.

Po roku 1960 kilka razy przyjeżdżałem z moim mężem do Ośrodka Wypoczynkowego Narodowego Banku Polskiego.

Przyjazdy te były okazją do poznawania Zalesia. Chodziłiśmy „leśnymi drogami” Zalesia bo nawet nie ulicami, które jakby były przyczepione do drogi asfaltowej ulicy Pionierów. Dlaczego tak pamiętam te drogi? Zalesie jako wioska-osada wtłoczone było w las. Widziało się las a w nim ukryte, różniące się od siebie domy. Jedne okazałe, piętrowe, białe, szare domy zbudowane w latach 20-30 dwudziestego wieku, inne ma-lutkie „bieda domki” budowane w PRL-u, które do dziś stoją przy ulicy Droga Dzików po stronie Jesówki. Uliczki te tonęły



Ania i Czesław Żółkiewscy



Dom w budowie



Ania i Czesław Żółkiewscy, Wojtek Kotaczkowski, dowódca dywizjonu 303, Zalesie Górne 1999

w błocie, dołach i wszelkich nierównościach rozjeżdżanych przez furmanki konne, traktory i samochody. Wszędzie ogarniał mnie przytłaczający las. Ulice w stronę Domanki kończyły się bagiennym jeziorkiem – dziś rośnie tam brzoźowy, młody zagajnik, a obok jest miejsce spotkań dla mieszkańców Zalesia i Domanki oraz Gajówka.

Boczne uliczki leśne dochodzące do ulicy Pionierów odbierałam jak konary drzew doczepione do pnia ulicy Pionierów z ukrytymi gdzieś w głębi lasu domami. Powoli przyzwyczailiśmy się do Zalesia i jego ukrytych uroków. Odkryliśmy mały sklepik spożywczy, następnie miejsce, w którym zjadaliśmy w prostokątnym wafelku lody o smaku waniliowym, cytrynowym.

W 1988 roku rodzina zdecydowała, że kupimy wspólną działkę właśnie w Zalesiu Górnym od strony Jesówki od pana Stanisława Olszewskiego. Bez większego entuzjazmu zaczęłam swoje zalesiańskie życie. Przyjeżdżając z Warszawy rozpoczęliśmy zabawę działkowicza nie myśląc o budowie domu. Do Zalesia najczęściej chodziłam pieszo z Zalesia Dolnego obok cmentarza w Jazgarzewie, przez piękną łąkę (własność kółka rolniczego), która wiosną pokrywała się kolorami kwiatów wiosenno-letnich, a jesienią stawała się podmokłą łąką.

Jakże inaczej wyglądało Zalesie Górne! - bez wygodnych, dobrych dróg, bez oświetlenia ulic, bez dojazdu do dworca kolejowego, bez stałego autobusowego połączenia z Piasecznem. Bez pięknych domów i ogrodów wokół nich!

Powoli nasza działka zmieniała się w ogród owocowo-warzywny, wymagający pracy i stałej obecności. Mój młodszy brat, który był inicjatorem kupienia wspólnej działki, zdecydował o budowie domu typu bliźniak. Nadzorował budowę i doprowadził do stanu surowego. Dokończył go, wyposażył nasz dorosły już syn. Był też pierwszym jego mieszkańcem. W 2002 roku syn z rodziną wyjechał do Warszawy, a ja z mężem zamieszkaliśmy w Zalesiu.

Jakże cenię sobie każdą ułożoną kostkę na ulicy Droga Dzików, każdy koszyk na śmieci, ławeczkę, świecącą latarnie – bo wiem jak trudno się to żyło, poruszało bez tych udogodnień. Szanujmy to, co otrzymaliśmy w darze pracy i zaangażowania naszych poprzedników. Zalesie nie byłoby tak piękne jak wygląda dziś. To była trudna wioska do życia.

Od niechcienia do polubienia

Pamiętam wieczór po bardzo męczącym dniu. Wyszłam z psem na spacer: - *Lubię ten mój Ursynów - pomyślałam, ale jakby tak zamieszkać blisko Warszawy, mieć domek z ogrodem, ciszę, czyste powietrze pachnące maciejką... A do Warszawy przyjeżdżać, nie tylko do pracy. Pomarzyłam sobie troszkę i zapomniałam.*

Podobno trzeba uważać, o czym się marzy, bo marzenia czasem się spełniają. Nawet, jeśli zmienisz zdanie i wcale już nie chcesz spełnienia tego marzenia, to prędzej czy później jakaś Tajemna Siła zacznie tobą rządzić – spotka cię niby przypadkiem z odpowiednią osobą, zorganizuje sytuację, która zmusi cię do podjęcia takich lub innych działań. Od tamtego wieczora minęło kilka miesięcy i się zaczęło.

Któregoś dnia mąż wrócił do domu i powiedział, że spotkał dawno niewidzianą koleżankę aktorkę, która buduje się w Zalesiu. To świetna okazja – mówił podekscytowany - porządna spółdzielnia, a tu w wieżowcu jest brudno, wyrostki palą papierosy na klatkach, trochę nam ciasno, bo książek pełno.

- Chyba nie chcesz, żeby nasza córka tułała się po wynajętych mieszkaniach, jak my? – spytał prawie z wyrzutem i dodał: - Powinniśmy jej coś zostawić!

Żeby tułała się – nie chciałam, ale czy żeby zaraz dom? Skąd pieniądze? Ona sama chyba nawet o tym nie myślała. Była nastolatką, uczennicą warszawskiego liceum i miała inne priorytety.

Mimo mojej niechęci jednak przyjechaliśmy do Zalesia, żeby obejrzeć miejsce, gdzie powstawało osiedle. Plac budowy, toną w błocie. Tu i ówdzie rysowały się już fundamenty i ściany.

Ciągle nie wiedziałam, czy tego chcę. Ale wspomniana „Tajemna Siła” kontynuowała spełnianie mojego krótkotrwałego marzenia. Znalazł się kupiec na mieszkanie, mama ucznia, któremu udzielałam korepetycji, pracowała w banku i bez problemu dostaliśmy kredyt. Wszystko mnie boli jak o tym wspominam. Kredyt okazał się drogi, doświadczenia w planowaniu wykończenia domu i egzekwowaniu odpowiedniego wykonania robót nie mieliśmy. Potem było już tylko trudniej, ale brnęliśmy dalej.

Pani, która kupiła mieszkanie, zażądała, aby opuścić je do końca miesiąca. A nie był to byle jaki miesiąc. To był grudzień. Dwa dni przed Wigilią w 1998 roku wylądowaliśmy przed wynajętym drewnianym domkiem w Zalesiu. Na szczęście meble zawieszono gdzie indziej, ale i tak mieliśmy ciężarówkę książek, rzeczy osobistych i dużego psa. Tego wieczora doczołgaliśmy się do łóżek, a kiedy rano wstałam, musiałam oburącz trzymać zuchwę, bo nie chciała stać w miejscu. Tak było zimno. Wigilię spędziliśmy przy kawowym stoliku, na którym w wazonie stało kil-

ka gałązek sosnowych, a dokoła stały nie rozpakowane jeszcze pudła. Skończyłam właśnie pięćdziesiąt lat i zamiast cieszyć się stabilizacją, rozwaliliśmy swoje uporządkowane życie, zapakowałam w kartonowe pudła i zadłużyłam się na dwadzieścia lat w banku.

Wcale tego nie chciałam! Nie chciałam! Nie rozumiałam, czemu to robię, ale robiłam.

Mijały tygodnie, przystosowaliśmy się do nowych warunków, a tymczasem rósł powoli nasz segmentowy domek. Do jeszcze nie całkiem wykończonego wprowadziliśmy się latem.

Nie było podłóg, betonowe schody na piętro były nierówne. Prąd mieliśmy ze skrzynki na słupie.

Dzień po dniu urządzaliśmy swoje gniazdko, jak umieliśmy. Gotowaliśmy na dwupalnikowej kuchence na gaz z butli, a gdy nadeszła jesień i zima ogrzewaliśmy dom drewnem, które paliliśmy we wkładzie kominkowym postawionym na ceglach.

Inni mieszkańcy też musieli sobie jakoś radzić i radzili. Życie towarzyskie na budowie kwitło. Spotykaliśmy się u kogoś w domu przy butelce wina, albo grilowaliśmy. Nie było płotów, bram i wysokich żywopłotów, jak teraz. Gadaliśmy o różnych rzeczach, dzieliliśmy się doświadczeniem. Często pomagaliśmy sobie, pożyczaliśmy narzędzia i inne rzeczy. Ta integracja czyniła nasze życie przyjemniejszym i bezpieczniejszym. Tak, bezpieczniejszym, bo zdarzały się na naszym osiedlu kradzieże. Złodzieje buszowali w nocy, dlatego mężczyźni zorganizowali dyżurne patrole. I pomogło. Kradzieże ustały. Zintegrowaliśmy się też w innej akcji, „autobusowej”. Zbieraliśmy podpisy pod prośbą o autobus z Zalesia Górnego do centrum Warszawy. Osobiście zawiozłam naszą prośbę do Ratusza. Ale Ratusz wykpił się brakiem taboru. Jednak autobus udało się załatwić z prywatną firmą Rojbus. Nie pamiętam szczegółów, ale mieli tu swój udział Krzysztof Wesołowski i Jan Siwek. Krzysztof – zalesianin od urodzenia, a Jan - warszawiak z Chmielnej, zalesianin z wyboru.

Ten duet pod pseudonimem „Wesoły Konik” (Wesołowski-Siwek) latem 2001 roku redagował gazetkę „Zalesie Górne



Tak było – ogród

Mądre i Bzdurne”, Wydawnictwo Podziemne - dla jednych przy... dla innych nie... przyjemne. Gazetka była jednostronnicowa i w wielkim skrócie donosiła o różnych zdarzeniach, przyznając różnym osobom plusy lub minusy. Na przykład:

„PLUS dla Pani Dyrektor Gimnazjum za organizację, prowadzenie, upiększanie i powiększanie (teren wokół budynku) szkoły. Upór, powołanie i oddanie. A gdzie naśladowcy?”

„Brylantowy PLUS z Gwiazdą otrzymuje z wszelkimi honorami Pan dr Jerzy Buśko za to, że zawsze śpieszno mu kochać ludzi, którym coś dolega. Zacny i kochany nasz Doktorze Oj Boli, za serce, za wiedzę, za kulturę osobistą, za te wspaniałe cechy prawdziwego lekarza - WIELKIE DZIĘKI !”

„W jednym z poprzednich numerów przyznaliśmy MINUSA tym, którzy nie potrafią załatwić sąsiedzkich spraw bez udziału straży miejskiej. Mieliśmy na uwadze konkretną osobę, ale litościwie nie ujawniliśmy, o kogo chodzi. Ponieważ jednak ów ogólnikowy MINUS nie spełnił swojego zadania i Pani Pieniaczka nadal działa sprowadzając mundurowych na głowy nieszczęsnych sąsiadów, czynimy krok naprzód i przyznajemy jej kolejny, tym razem już bardziej konkretny MINUS. Wszystkich mieszkańców Zalesia przestrzegamy przed panią na co dzień (oczywiście poza niedzielnymi wizytami w kościele), występującą w pogniecionym tropikalnym kapeluszu koloru khaki, poruszającą się z reguły na rowerze, za którym bywa ciągnięty na smyczy nieszczęsny mały biały piesek. Pańcia owa grasuje na ulicy Poranku (cztery wezwania straży miejskiej) oraz w sklepach na ulicy Koralowych Dębów i Pionierów, gdzie dokonuje zakupów. Jeżeli chcecie mieć do czynienia ze strażą miejską, zróbcie coś, co się naszej anty-bohaterce w kapeluszu nie spodoba. A ponieważ jej nic się nie podoba, na kontakt z mundurowymi macie duże szanse. Oczekujemy na relacje. Nazwisko Pańci ujawnimy po kolejnym donosie na bliższych lub dalszych sąsiadów”.

Krzysztof Wesołowski był dziennikarzem. Pracował w telewizji dla „Pegaza”, dla telewizji nagrywał również reportaże. Był też pisarzem. Wydał kilka książek, w tym część pod pseudonimem. Był radnym i społecznikiem. Nie przesadzę, jak nazwę go stuprocentowym zalesianinem. Zmarł kilka lat temu i wiele osób go jeszcze pamięta. Przyjaźnię się od

dawna z jego żoną Grażyną. To ona opowiedziała mi, jaką wspaniałą matkę miał Krzysztof. Halina Wesołowska należała do pokolenia, które wyrosło w przedwojennej Polsce. Pochodziła z rodziny inteligenckiej. Jej ojciec był majorem Wojska Polskiego. Podczas wojny Halina Pikulska, bo tak brzmiało jej panięskie nazwisko, mieszkała w Radomsku i tam wstąpiła do AK. Po wojnie działała w podziemiu jako łączniczka w oddziale kpt. Stanisława Sojczyńskiego, pseudonim „Warszyc”. Nawet będąc w ciąży, nadal dostarczała rozkazy i dokumenty. W 1946 roku została aresztowana. Była przesłuchiwana, ale się nie załamała. Dostała surowy wyrok. W więzieniu urodziła pierwszego syna Tadeusza. Po amnestii zamieszkała i założyła rodzinę w Zalesiu Górnym. Jako osoba z wyrokiem politycznym początkowo nie wszędzie mogła podjąć pracę, ale zawsze była pomocna innym, życzliwa i uśmiechnięta. Pracowała w Urzędzie Stanu Cywilnego, który wówczas był w Zalesiu. Udzielała ślubów. Pomagała chętnie ludziom w różnych sprawach. Była życzliwa i pogodna. Kiedy w 1983 roku zmarła po długiej chorobie, na cmentarzu żegnały ją tłumy.

W grudniu tego roku minie dwadzieścia jeden lat, jak wyładowaliśmy przed drewnianym domkiem na Północnej w Zalesiu. Sporo się wydarzyło. Córka skończyła studia i nie została z nami. A dom ten miał być dla niej! Teraz wiem, skąd moje „niechcenie”. Przeczucie?

Zajęta codziennymi dojazdami do pracy, późnymi powrotami do Zalesia i rozwiązywaniem różnych przyziemnych problemów, nie miałam siły i czasu planować kolejnej rewolucji w życiu. Może, gdybym była dwadzieścia lat młodsza? Ale nie byłam. Więc żyłam po prostu, aż któregoś jesiennego dnia zobaczyłam, jak piękne kolory mają liście na brzozech, które nie wiadomo kiedy wyrosły pod niebo. Żółciły się na tle wielkiego ciemnego świerka. I były moje! Szeleściły małymi listkami tylko dla mnie. Mogłam patrzeć i słuchać, ile chciałam. Kiedy potem śnieg grubą warstwą przykrył krzewy w moim ogrodzie i ogrodach sąsiadów, poczułam się jak w bajce. Poza takimi chwilami było oczywiście normalne, prozaiczne życie. Po kilku latach moje „niechcenie” bardzo wyblakło. Odnalazłam się w nowej sytuacji na tyle, że nawet jak zagrałam w totolotka, nie planowałam wyprowadzki z Zalesia.

Przez te dwadzieścia lat wiele się zmieniło. W Zalesiu i moim życiu. Przeszłam na emeryturę. Dla mnie to była ogromna zmiana, której się bałam. Nagle znalazłam się poza ringiem, na którym boksowałam się z życiem. Podróżowałam, ale tu był mój dom i zauważyłam, że coraz chętniej do niego wracałam.

Miałam szczęście, bo w Zalesiu trafiłam na dobrych i ciekawych ludzi. Klub Seniora, gdzie dzieje się dużo ciekawych rzeczy, rowerowe i piesze wycieczki z koleżankami, spotkania przy kawie i nie tylko. Poczulałam się otoczona przyjaźnią – nie nachalną, ale ciepłą i jasną. Tak zaczęło się „lubienie”.

Wiodę teraz spokojne i wcale nie nudne życie. Mam poczucie wolności. Jest mi tu dobrze. Taka była moja droga „od niechcenia do polubienia Zalesia”.

Tekst i zdjęcia
Ela Nowińska



Tak jest

Moje Zalesie

Odkąd pamiętam, mówiło się, że „trzeba pojechać do Zalesia, zobaczyć, co się tam dzieje”. A zrobić to można było w jeden jedyny sposób. Wsiąść z moją Mamą w naszą czarno-szarą ifę f8 i drogą przez Żabieniec dojechać po kocich łbach do ul. Pionierów.

Były lata 60. ubiegłego stulecia. Domów wokół było niewiele, działka wyglądała jak las, zarośnięta żarnowcem i jeżynami, wśród których biegły ścieżki, a którymi mieszkańcy skracali sobie drogę do stacji, szkoły i do nielicznych sklepów. Zalesie Górne zawsze kojarzyło mi się z rajdami i wyprawami harcerskimi z Hufca Mokotów.

W domu co jakiś czas, mówiło się że „trzeba coś z tym Zalesiem zrobić”. Pomysły może i były, ale nie było pieniędzy. Tym niemniej opłacało się tak zwaną spółkę wodną i co roku wpłacaliśmy datkę na ogrodzenie wokół kościoła św. Huberta (zastanawiam się teraz, przechodząc obok kościoła, które to przeszła płotu powstały z tych datków).

A wszystko zaczęło się jeszcze w latach trzydziestych ubiegłego wieku, kiedy to powstała idea zakładania wokół Warszawy miast-ogrodów. Założenia były takie, żeby działki i do-

my znajdowały się w lesie, ingerencja w środowisko była jak najmniejsza, by nie zaburzyć leśnego charakteru miejscowości. Działki powinny mieć powierzchnię 1500, najwyżej 2000 metrów kwadratowych. Ulice miały być szerokie, a Zalesie – mieć dobrą komunikację ze stolicą.

Jan Witold Wisłocki, współwłaściciel gruntów w otulinie Lasów Chojnowskich, podzielił tereny na działki letniskowe i rozpoczął ich sprzedaż. Pomyślał również o tym, żeby mieszczuchy warszawskie mogły bez problemu docierać do swych działek. Kiedy budowano trakturę kolejową Warszawa-Radom, pan Wisłocki zaproponował dyrekcji budowy, by kolej przechodziła przez nowopowstające letnisko. Postawiono mu jeden warunek – ma być budynek stacyjny i peron. Pan Wisłocki z własnej kieszeni wyłożył pieniądze na obie budowy i 25 listopada 1934 roku zatrzymał się tu pierwszy pociąg.

Na stacyjce w Zalesiu Górnym zatrzymał się również specjalny pociąg, który w maju 1935 r. wiozł trumnę z Marszałkiem Józefem Piłsudskim. To była także zasługa pana Witolda Wisłockiego.

Gdy już dojazd ze stolicy stał się łatwiejszy, ruszyła sprzedaż działek. I wtedy mój dziadek Franciszek Doleżał, wice-minister Przemysłu i Handlu, namówiony przez pana Wisłockiego, z którym dobrze się znał, został wraz z żoną Marią, właścicielem działki położonej przy głównej ulicy. Tutaj miały powstawać okazałe wille i domy murowane tak, by dawały świadectwo zamożności właścicieli.



10 Maria Doleżał z Bobikiem



Franciszek Doleżał z Bobikiem



Lena Doleżałówna z koleżanką



Lena Doleżałówna

Jako wzór powstała willa państwa Wisłockich przy skrzyżowaniu ulicy Pionierów i Wiekowej Sosny. Nieco skromniej zarabiający, mieli budować domy letniskowe z werandami, zaprojektowane przez znanych architektów. Dla letników powstało Kasyno, pensjonat z restauracją, by zapewnić letnikom i rozrywkę, i wyżywienie, i spanie. Restauracja służyła ze wspaniałego jedzenia, o którym opowiadała moja Mama. Osobą, która tak wspaniale gotowała była pani Halina Bączkowska.

Do dziś można jeszcze spotkać porozrzucane wśród starodrzewia, letniskowe drewniane domki z tamtych lat, albo wersje nowocześniejsze, dobudowane do starszej wersji. Letnicy odwiedzali się nawzajem, spacerowali, jesienią zbierali grzyby, życie towarzyskie zalesian kwitło. Niektórzy tak, jak moi dziadkowie, przyjeżdżali tu do Kasyna na obiad lub na spotkanie z państwem Wisłockimi.

Moja Mama była wtedy w wieku ich córek i z nimi spędzała czas. Na naszej rodzinnej działce nic się nie działo, bo Dziadek już przeczuwając rychły wybuch wojny, niezbyt był zainteresowany budową domu. Moja Mama wraz z Babcią przyjeżdżały do Zalesia na krótkie wakacje i właśnie w Kasynie wynajmowały pokój. To tu nastoletnia Mama spędziła swoje ostatnie beztrudne wakacje, w sierpniu 1939 r. Właśnie wtedy bliżej poznała obie panienki Wisłockie Marysię i Zosię. Dziadek już wiedział, że wojna jest nieunikniona.

Wysyłając żonę i najmłodszą córkę na letnisko chciał, by były jak najbliżej stolicy i by w razie potrzeby szybko mogły do niej wrócić. 29 sierpnia służbowy samochód zabrał je obie z Zalesia do warszawskiego domu przy Noakowskiego 12.

Po wojnie działka sobie zarastała: drzewami, krzewami, leszczyną żarnowcem i jeżynami. Znikały niektóre drzewa (trzeba było czymś palić w piecach), rosła góra śmieci usypywana przez sąsiadów, ścieżki powoli zniknęły, bo mieszkańcy zaczęli się grodzić i tak zwanych skrótów już nie było.

Przyjeżdżaliśmy tu co jakiś czas na majówki, na spacer po Lasach Chojnowskich. Powoli dojrzewaliśmy do tego, by zbudować dom i tu się osiedlić. I udało się. 11 lipca 2011 wprowadziliśmy się tu z moją Mamą. Co pewien czas, z kolejnym już psem, spotykaliśmy panią Zofię Wisłocką. Obie panie kłaniały się i uśmiechały do siebie.

Jestem zalesianką od 11 lipca 2011 roku, ale zalesiańska historia mojej rodziny sięga głęboko w ubiegłe stulecie. A wprowadziliśmy się z przytupem, a tak naprawdę z wichurą, która tego dnia przeszła nad Zalesiem łamiąc drzewa i wyrwijając je z korzeniami. Znalazłam tu wspaniałych ludzi, z którymi jest mi bardzo dobrze i nie żałuję, że opuściłam „stolyce”.

Nina Wierzbicka

zdjęcia: archiwum rodzinne

Pierwsze spotkanie

- Chcę gdzieś wyjechać - powiedziała Mama. Miałam szesnaście lat i od śmierci Ojca byliśmy tylko we dwie. Ona zapewniała nam byt, a do mnie należała szeroko rozumiana logistyka.

Mama była damą, więc jeśli już coś mówiła to miało to głębszy sens. Zrozumiałam, że do mnie należy zorganizowanie jej tego wyjazdu. Ustaliliśmy pryncypia:

- ma być niedaleko, żeby mogła raz w tygodniu zaglądać do domu (godzina drogi, mniej więcej)
- połączenie koniecznie kolejowe
- miły i niekrępujący pokój
- dobre obiady w pobliżu
- ciekawe okoliczności przyrody
- miejsce spacerowe - asfalt lub trotuar.



Mama Ewy Kamińskiej



Ewa

- kawodajnia z czymś dobrym mile widziana

Zaczęłam od mapy Warszawy i okolic. Odpadał kierunek otwocki i legionowski - były wyeksploatowane, Milanówek też, bo WKD to nie jest kolej, tylko ciuchcia.

To tyle, jeśli chodzi o eliminowanie.

Praca koncepcyjna najlepiej wychodzi mi w ruchu - uznałam i poszłam na dworzec. Padło na Główny, bo miałam coś do załatwienia w pobliżu. Właśnie zapowiedziano odjazd pociągu do Czachówka. Nazwa nic mi nie mówiła, ale kierunek południowy był obiecujący (słońce, palmy i te rzeczy). Od stacji Jeziorki wysiadałam przykładnie na każdym przystanku z wyjątkiem Piaseczna (było wtedy zdecydowanie obskurne) prowadząc poszukiwania i wypytyując życzliwych skądinąd ludzi.

Gdy wysiadłam w Zalesiu, byłam już głodna i zniechęcona. A tu z peronu zobaczyłam małą, drewnianą cha-

tynkę z napisem „Biedronka” i stolikami wyraźnie zapraszającą głodnych i znużonych. Coś dla mnie! Zbiegłam z peronu, zamówiłam kawę i poziomki w śmietanie i zaczęłam wypytywać obecnych. Dowiedziałam się, że obok, na początku Jesionowej, jest pensjonat - wielce ekskluzywny i oferujący smakowite jedzonko, a po drugiej stronie torów - dom czasowy bankowy, też nie gorszy. Zaczęłam od tego, co bliżej, od pensjonatu. Sympatyczna właścicielka z żalem powiedziała, że w interesującym mnie terminie ma wszystko zajęte, ale obiady można u niej zjeść.



Ewa

Podawała mi trzy miejsca dość niedaleko, gdzie można się zakwaterować. Pobiegnęłam kawalek dalej i na Jesionowej, naprzeciwko Klonowej, znalazłam pokój z łazienką u przemilego małżeństwa leśniczych. Od razu zadatkowałam. Sprawdziłam wybrukowany deptaczek (od stacji do Ośrodka Wisła) i osiadłam na laurach.

Mama trenowała ten układ (kwatery plus obiady) jeszcze dwukrotnie w następnych latach, a potem nabyliśmy małżonki domek w tym miejscu, gdzie mieszkam teraz.

Ewa Kamińska

To już trzecie wydanie Historii Odnalesionych. Pragniemy przypomnieć sylwetki naszych redakcyjnych koleżanek: Ani Antczak i Basi Gayny. Nie doczekały wydania tej edycji, a były razem z nami w poprzednich - wyszukiwały materiały i zdjęcia, prowadziły rozmowy z ciekawymi ludźmi, redagowały teksty, przygotowywały plansze.

Bardzo nam ich brakuje.

Zespół Redakcyjny



**Stowarzyszenie Rodziców TU
i Biblioteka Publiczna w Piasecznie
zapraszają na wernisaż projektu**

Zalesie Górne
**HISTORIE
ODNALEZIONE 4**



@historie.odnalezione

**w dniu 18 grudnia 2021 r.,
o godzinie 18.00 na zoomie**



STOWARZYSZENIE
RODZICÓW TU

**Projekt finansowany
z budżetu Gminy Piaseczno**



**Biblioteka
Publiczna
w Piasecznie**

HISTORIE ODNALEZIONE 2021

Spis treści

Życie nie zawsze usłane różami. Opowieść Marianny Piwowarczyk	1
185-lecie najstarszej części Zalesia Górnego, Domanki, <i>Jolanta Jarosz-Hryniewicz</i>	2
Wesoły Konik, <i>Ewa Kamińska i Jadwiga Kuźmińska</i>	6
Człowiek na niepokodę. Wspomnienie o Marioli Molak	7
Syrenka moja miłość, <i>Ewa Kamińska, Nina Wierzbicka</i>	10

Życie nie zawsze usłane różami

Opowieść pani Marianny Piwowarczyk

Jest w Zalesiu Górnym ulica Zaczarowanej Róży. Przy tej ulicy stoi dom otoczony ogrodem pełnym kwiatów. Właścicielką ogrodu jest leciwa pani Marianna, która zamieszkała tu ponad pięćdziesiąt lat temu i to jej ulica zawdzięcza tę piękną nazwę.

Przyjechaliśmy do Zalesia Górnego na początku lat 70-tych i wybraliśmy to miejsce, gdzie teraz mieszkamy. W tym miejscu jeszcze nawet prawdziwej ulicy nie było, ale ja już wiedziałam, że tu jest moje miejsce, tu będzie mój dom, tu wszędzie będą kwiaty, a przede wszystkim – róże. Kiedy o tym mówiłam, nikt mi nie wierzył. Odpowiadałam wtedy: – Będą! Róże będą rosły, bo ja je zaczaruję!

Rozpoczęliśmy budowę domu. Któregoś dnia z mężem przyjechaliśmy na budowę i co widzimy? Jest tabliczka „ulica Zaczarowanej Róży”. I taką nazwę mamy do dziś.

Dokoła domu były chaszczki i młody lasek. Trzeba było to wykarczować. Napracowałam się bardzo, ale było warto. To była leśna ziemia, ale dobra. Róże przywiozłam z Puław. Dużo ich było. I niskie, i wysokie. Te wysokie były przepiękne. Tworzyły różane aleje.

Siałam też inne kwiaty, specjalne, takie, co to na grządce już były suche. Wyglądały jak małe różyczki. Farbowałam je, a później suszyłam w piekarniku. Z nich robiłam kompozycje kwiatowe na zamówienia zza granicy. Miałam duże zamówienia na palmy i bukietiki z suchych kwiatów. Różne zestawy kolorów, różne kształty. Robiłam też takie bonzaje. Robiło się je z odpowiednio przyciętych skrzypów i kwiatów żarnowca. Zrobiłam tego wszystkiego i sprzedawałam mnóstwo. Kwiaty towarzyszyły mi przez całe życie.

Już od lat nie sprzedaje pani swoich „kwiatowych” wyrobów, a obdarowuje ludzi kwiatami i sadzonkami ze swego ogrodu.

Musiałam zrezygnować z pracy zarobkowej, zmienić tryb życia – ze względu na wiek, ale przede wszystkim ze względu na zdrowie. Ciężko chorowałam, leczono mnie naświetlaniem, mam chory kręgosłup i jeszcze parę innych chorób, ale cały czas nie poddaję się.

Sąsiedzi nie wierzą w moje choroby, bo ciągle widzą mnie w ogrodzie. Gdy jestem w ogrodzie, nie myślę o swoich chorobach. Staram się nie poddawać i znajdować sposoby na moje słabości.

Pokochała pani róże, zaczarowała je i ochrzciła zalesiańską ulicę, ale życie pani usłane różami nie było...

Oj, nie było. Jak miałam pięć lat, poumierali mi rodzice i wychowywałam się na plebanii, gdzie proboszczem był mój wujek. Wszyscy bra-



cia mojej mamy byli zaangażowani w walkę z okupantem. Jednemu z nich postawiono nawet pomnik w Konstancynie, a drugi – ksiądz – zginął w Oświęcimiu. Jak wybuchła wojna miałam zaledwie trzynaście lat. Przenosiłam różne dokumenty, papiery, nawet nie wiedziałam, jak niebezpieczne było to zajęcie.

Jeśli tylko mogła pani pomóc komukolwiek, pomagała pani...

Tak, na plebanii nauczono mnie, że ludziom należy pomagać. Mogłabym opowiedzieć wiele historii o tym, a to jedna z nich.

Braliśmy nabiał od pewnego gospodarza – masło, sery... i tak żeśmy się zaprzyjaźnili.

Gospodyni poprosiła mnie, a nawet błagała ze łzami w oczach, żebym pomogła namówić jej męża, aby pozwolił synowi uczyć się. Nie chciała, żeby chłopak został na gospodarce, czego chciał jej mąż. Jakimś cudem udało mi się przekonać jej męża i wzięłam chłopca do siebie. Mieszkał z moimi dziećmi. Opiekowałam się nim, prałam, gotowałam. Traktowałam jak syna.

Skończył technikum, a potem studia w Białymstoku. Teraz ja mieszkam w Zalesiu, a on w Stanach Zjednoczonych. Pisze do mnie i dzwoni regularnie. Tu jest od niego list na moje osiemdziesiąte urodziny. Oto jego fragment:

„Wielce szanowna i wielce ukochana Mamo, na Twoje spracowane, lecz czułe ręce przesyłam (...) piękno tych kwiatów przez Panią wypielęgnowanych, jak i wszystkich kwiatów na całym świecie. Za Twoją mądrą i piękną kobiecość i boską duszę oraz życzliwe światu serduszko. Bądź z nami i żyj dalsze 80 lat. Bądź nam, jak dotąd przystań, ucieczką i nadzieją. Twój kochający syn samozwaniec – Leszek”.

Takie moje życie było – pomagać ludziom, pomagać i pomagać.

Z Panią Marianną Piwowarczyk rozmawiała
Mirka Jaworska i Ela Nowińska

185 lecie najstarszej części Zalesia Górnego, Domanki

*Aby mierzyć drogę przyszłą
trzeba wiedzieć skąd się przyszło.*

C. K. Norwid

Czy Domanka to Zapole-Leśnik?

W książce pt. „Zalesie Górne 1930–2000”, wydanej z okazji obchodów 70-lecia Zalesia Górnego, przygotowanej przez Grzegorza Fryszczyńskiego i ks. Wiktora Ojrzyńskiego, a opracowanej przez Andrzeja Swatę, jest fragment dotyczący Domanki. „Dzieje Domanki” szczegółowo opracowała p. Helena Krzemińska-Durnaś. Używa tu nazwy Zapole-Leśnik jako poprzednika Domanki. Powołuje się na dokumenty: mapy, akta stanu cywilnego parafii Jazgarzew oraz Księgę Dóbr Ziemskich Wólki Kozodawskiej. Otóż po dokładnym przejrzeniu wszystkich akt parafii Jazgarzew muszę sprostować tę informację. Pierwsza wzmianka o miejscu zwanym Dumanka, pojawia się w dokumentach zwanych Aktami Stanu Cywilnego Parafii Rzymskokatolickiej w Jazgarzewie Kościoła parafialnego, pw. św. Rocha i jest to akt zgonu dziecka, Rozalii Krzanowskiej, nr aktu Z 112/1845. Ojciec zmarłej dziewczynki był „profesji mularskiej” (dziś murarz). Od tego czasu w aktach parafii Jazgarzew pojawia się już tylko nazwa Domanka. Sugerowana przez p. Krzemińską-Durnaś nazwa Zapole-Leśnik lub Leśne nie występuje w żadnym miejscu w księgach parafialnych. Znajdujemy w nich nazwę Zapole (po raz pierwszy w 1833 r.), ale odnosi się ona do leśniczówki znajdującej się w okolicy drogi do Jastrzębia. Potwierdza to miejsce mapa z XIX wieku (Mapster, Topograficzna Karta Królestwa Polskiego. Mapa Kwaternmistrzostwa). Dowodem może też być fakt, że świadkowie i rodzice chrzestni w aktach dotyczących Zapola byli zazwyczaj z Pilawy, Żabieńca i Jastrzębia. Natomiast świadkowie i chrzestni w aktach z Domanki, to albo mieszkańcy Domanki, albo też Jesówki i Jazgarzewa. Znanca historii naszych terenów, archiwista i historyk, dr Włodzimierz Bagieński potwierdził fakt, że nasza gajówka była w dokumentach nazwana Domanka, a jej nazwa zapewne powstała od nazwiska właściciela dóbr, Wincentego Domańskiego.

W naszej lokalnej gazecie „Gazeta Sołecka Przystanek Zalesie”, Rok IV, No 8/2011 (34), Zalesie Górne, jest następujący fragment, dotyczący Domanki.

„Teren ówczesnej Domanki należał do dóbr ziemskich Wólki Kozodawska (ob. Wólka Kozodawska). Dobra te w 1836 r. kupił od Ludwika Halperta Wincenty Domański. Na skrzyżowaniu kilku dróg z sąsiednich wsi i gościńca do Piaseczna, obok istniejącej gajówki, nazywanej Zapole-Leśnik, wybudowa-

wał karcznię Domanka. (A więc i tu zostaje użyta błędna nazwa).

Powstała wokół karczmy osada została nazwana również Domanką. Ostatecznie nazwę wsi Domanka usankcjonował Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego, t. II z 1881 r., a rok 1836 został przyjęty jako umowna data powstania wsi (nie znalazłam potwierdzenia).

W pierwszym okresie rozwój nastąpił po wybudowaniu karczmy i sprowadzeniu kolonistów, ok. 1850 r. obok gajówki mieszkało 10 rodzin. W czasie powstania styczniowego w 1863 r. karczma w Domance była punktem kontaktowym między Warszawą a oddziałami powstańczymi, rozlokowanymi w okolicznych lasach. Kryzys agrarny z 1884 r. i spadek cen płodów rolnych spowodował, że Domanka zaczęła się wydłuzać. Dopiero od roku 1889, po zbudowaniu kolejki z Warszawy do Piaseczna, następuje powolny rozwój Domanki. Na przełomie wieków XIX i XX wzdłuż ulicy Piaseczyńskiej stały tylko 4 domy. W kolejnym okresie, po 1930 roku i parcelacji terenu, na którym powstało Zalesie Górne, nastąpił ponowny rozwój Domanki, a mieszkańcy znaleźli zatrudnienie przy budowie domów i powstającej linii kolejowej”.

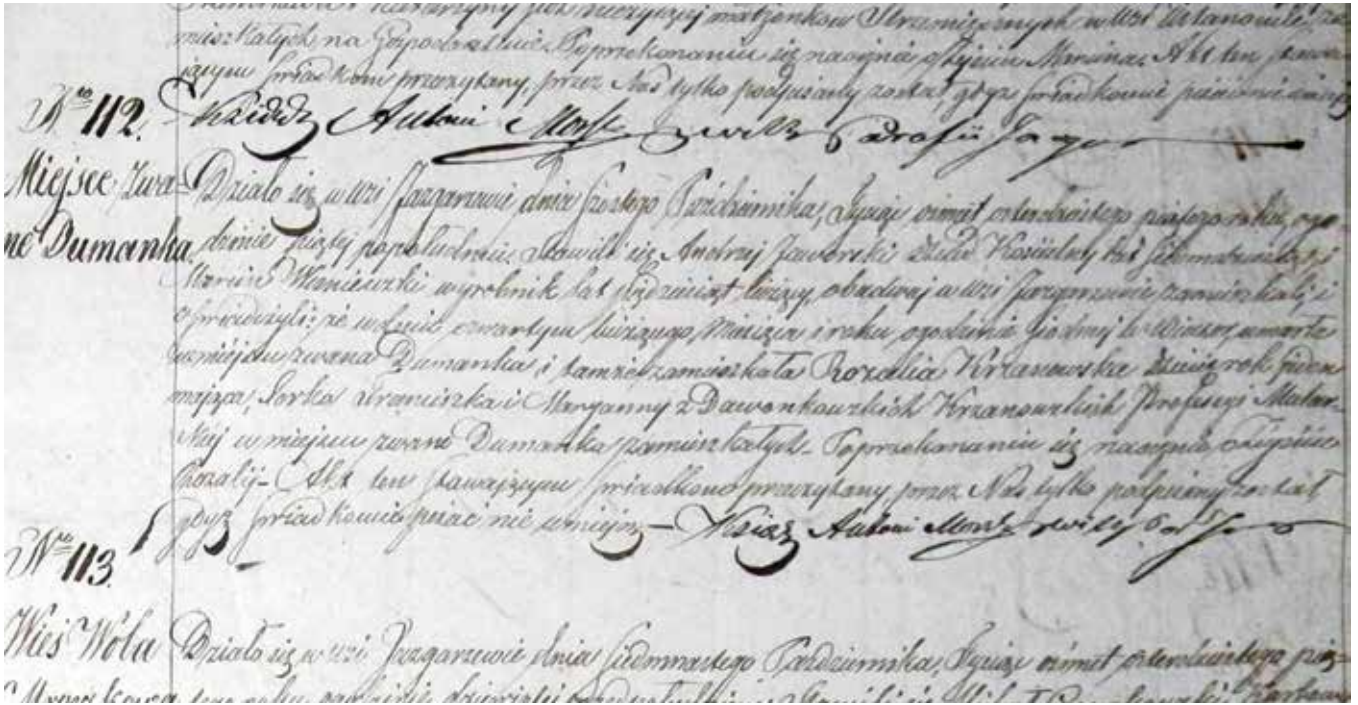
Autor tego tekstu czerpał wiadomości, dotyczące mieszkańców Domanki z książki wydanej na 70-lecie Zalesia Górnego i on również powielił błędną nazwę. Moje kilkuletnie doświadczenie genealogiczne skłoniło mnie do przejrzenia wszystkich aktów od 1936 r. do 1921, odnalezienie zapisów dotyczących Domanki i spisanie ówczesnych mieszkańców. Oczywiście, ten spis nie pokaże nam wszystkich, którzy mogli zamieszkiwać czasowo w Domance, a jest jedynie pisany świadectwem urodzin, ślubów i zgonów mieszkańców w ciągu tych 176 lat. W aktach możemy wyczytać wiele cennych wiadomości: ich wiek i zawód, kogo powoływali na świadków i chrzestnych (rodzinę czy sąsiadów), a także z jakich wsi pochodzili. Społeczństwo Domanki było małe, więc często świadczyli sobie nawzajem te przysługi.

Przez pierwsze lata w Domance niewiele się działo. Jak wspomniałam, pierwszy zapis jest zgonem w 1845 r. córki mularza Rozalii Krzanowskiej, „1 rok mającej”. W 1848 r. zapisano zgon rekruta przechodzącego, Alexego Pacholczyka l. 20, w 1852 roku urodziny Alexandra Bielewicza i Magdaleny Rubiś. W 1858 roku odbył się ślub kawalera, gajowego Szymona Broszko l. 43, z wdową Petronelą z Uczków Maciejewską l. 36. W ciągu następnych dziesięciu lat urodziło się troje dzieci: w 1861 urodziny i zgon Julianny Broszko, w 1862 urodziny Jana Kazany, i w 1869 roku urodziny Marianny Kaszyńskiej. W następnym dziesięcioleciu podobnie: w 1872 roku urodziła się Zofia Helena Grzęda, w 1874 zmarło dziecko Piotr Jan Majewski, w 1877 urodził się Filip Zacharski. W 1882 Franci-

HISTORIE ODNALEZIONE, edycja czwarta, grudzień 2021

Projekt sfinansowany ze środków gminy Piaseczno

Redakcji: Magda Mikołajczak-Olszewska, Jolanta Jarosz-Hryniewicz, Mirka Jaworska, Ewa Kamińska, Jadwiga Kuźmińska, Barbara Migaj, Ela Nowińska, Nina Wierzbicka



szek Rechnio, w 1889 Marcin Zaręba, w 1892 Walenty Matulka. Przez następne 15 lat nie ma żadnych danych w aktach kościelnych i dopiero w 1907 rodzi się Józef Sochański i Bolesław Złoski. W 1908 roku na świat przychodzi syn leśnika, Aleksander Zawadzki, w 1908 umiera, u Balbiny Sochańskiej, Kazimierz Rosiński, dziecko wzięte na wychowanie ze Szpitala Dzieciątka Jezus. W 1909 rodzi się Stanisława Ziembicka i Antoni Sochański, oraz martwo urodzona dziewczynka, córka Jana Welk. W 1911 roku zmarł kamieniarz Franciszek Guskowski, l. 68, pozostawiając wdowę Mariannę z Augustyniaków. W 1912 rodzi się Anna Ziembicka i Tadeusz Zawadzki. W tym samym roku umiera dziecko Antoni Sochański l. 3 i pół i Aleksander Zawadzki l. 4. W 1913 urodziła się Stefania Zawadzka i zostało zawarte religijne małżeństwo pomiędzy żołnierzem rezerwy Edwardem Karolem Lidke, wyrobnikiem l. 25 i Dorotą Ostrowską l. 22. W 1915 urodziła się Wanda Ziembicka i zmarła Władysława Zawadzka, l. 13, a także Marianna Fukowska z d. Kowalska, żona wyrobnika, l. 54. W 1916 roku urodziła się i zmarła Marianna Chojnacka. W 1917 urodził się Władysław Krzetkowski i zmarła Balwina Sochańska z d. Kruł, l. 48. W tym samym roku, wdowiec Józef Sochański l. 46, bierze ślub z panną Marianą Włodygą l. 30. W 1917 roku rodzi się i umiera Aleksandra Zawadzka, a także umiera Józef Klajn, l. 78, pozostawiając po sobie wdowę Mariannę z Wojcieszków, umiera też Wanda Ziembicka, dziecko, l. 2 i pół. Rok 1918 przynosi związek małżeński, zawarty pomiędzy Piotrem Biczkiem l. 23 i Marią Aufrechter vel Sochańską i urodziny Wacława Sochańskiego. W 1919 Florian Rosłoniak vel Rosłon, żołnierz z Warszawy l. 21, żeni się z Heleną Ziembicką l. 20. W 1920 roku związek małżeński zawiera wdowiec Paweł Goreń l. 56 i wdowa Józefa Welk, l. 49, rodzi się Helena Sochańska i Andrzej Getner i Tadeusz Ziembicki. W tym samym roku kawaler, żołnierz na urlopie, Mieczysław Różański, l. 20, zawiera małżeństwo z Natalią Ziembicką, l. 23. W 1921 roku urodziła się Wanda Rosłoniak i Władysław Mieczysław Różański. W tym samym roku zostało zawarte małżeństwo pomiędzy praktykantem rolnym, Witoldem Siekierskim, l. 21 i Janiną Walerią Ziembicką l. 21.

Na przestrzeni tych lat w parafii jazgarzewskiej posługę sprawowali księża proboszczowie: Antoni Morski, Wojciech

Zgłeczewski wikariusz, Jan Brauliński, Bonawenura Mieltski, Ludwik Pietrzykowski, Franciszek Kołodzieński wikariusz, Jan Szlązak wikariusz, Jan Sotomski, Jan Szczucki, Józef Szumski, Ludwik Wolski.

Dane dotyczące powstawania wsi Domanka kończą w 1921 r., opierając się na 51 aktach z ksiąg parafialnych parafii Jazgarzew. Rozwój Domanki zaczyna się po kryzysie I wojny światowej. Zaczynają się osiedlać robotnicy najemni, szukający pracy poza rolnictwem. Po II wojnie światowej, Domanka zostaje przyłączona do utworzonego w latach 30-tych, przez Witolda Wislockiego i rozwijającego się, oficerskiego Zalesia Górnego. Będzie to można prześledzić, kiedy zostaną udostępnione dokumenty, dzisiaj chronione przez zapisy RODO.

Te suche dane z aktów przybliżają nam nieco życie mieszkańców w Domance. Nie możemy zapominać o ciężkich czasach w jakich żyli i pracowali: rosyjskiego zaboru i I wojny światowej. W nielekich warunkach rodziły się dzieci i często umierały na choroby, na które nie znano jeszcze skutecznych leków. Życie mieszkańców Domanki nie było więc łatwe, tak jak większości społeczeństwa. Musieli utrzymać się z pracy swoich rąk, z tego co sami wyhodowali albo znaleźli w lesie, bądź mogli kupić u okolicznych gospodarzy. W małej społeczności jakoś musieli sobie radzić, wspierać się wspólnie i ratować w potrzebie, świadczyć w sprawach urzędowych i aktach kościelnych. Na początku XX wieku, Józef Sochański i Adam Zawadzki, byli najczęściej proszonymi osobami do świadczenia wydarzeń w Domance.

Rekrut przechodzący

Kiedy spisywałam dane z aktów, zaintrygował mnie akt zgonu w gajówce Domanka, w 1848 r. młodego chłopaka, o którym wiadomo jedynie jak się nazywa i ile ma lat. Jedyną wiadomością dodatkową było to, że był to „rekrut przechodzący”, Alexy Pacholczyk, l. 20. Rodzice i miejsce urodzenia nieznane, zaczęły się więc rodzić pytania. Czy rekrut był już żołnierzem, czy też nie został nim, bo był chory? Czy może został ranny? Skąd pochodził? Czy szedł do, czy też wracał

z Warszawy? Jeśli doszedł do gajówki Domanka, to pewnie znaczy, że szedł z południa lub wracał na południe. Jakie są parafie po drodze, w których można by szukać aktu urodzenia? Przejrzałam Jazgarzew, Pieczyska, Prażmów, Sułkowice, Konary, Jasieniec, Boglewice, Warkę i wreszcie Wrociszew. I nic nie znalazłam. Po kilku latach doświadczeń w szukaniu aktów w księgach parafialnych wiedziałam, że w aktach zdarzają się często pomyłki, gdyż zapisywano nazwiska tak, jak je usłyszano. A tu zgon zgłosili obcy ludzie, nie znający rekruta. Przeglądając wrociszewską parafię zobaczyłam, że występuje tam nazwisko Pacholczak. I wkrótce, szukając w 1828 roku, znalazłam:

Wrociszew U 60/1828

Dn. 10.07.1828 r w kościele we Wrociszewie stawił się Jan Pacholczak, l. 45, gospodarz w Zastruzu, wraz z dwoma świadkami i okazał dziecię płci męskiej, oświadczając, że urodziło się w dn. 09.07.1828 w Zastruzu, z jego małżonki Katarzyny Sewerowicz, l. 34. Dziecku na chrzcie św. dano imię Alexy a rodzicami chrzestnymi byli: Antoni Boroski i Franciszka Szymaniakowa.

Był to więc akt urodzenia Alexa Pacholczaka, naszego rekruta.

Matka, jeśli jeszcze żyła, na próżno wyglądała powrotu syna, bo któż miałby dać znać, że zmarł on po drodze, pośród Lasów Chojnowskich. Umierając w gajowce stał się symbolicznie „nasz”. Zapewne pochowano go na cmentarzu w Jazgarzewie. Ucieszyłam się kiedy, po prawie 200 latach, dzięki dostępnym w Internecie aktom, udało się odnaleźć miejsce urodzenia i imiona rodziców nieznanego młodego chłopaka, świeżo powołanego do wojska rekruta, może jeszcze nie żołnierza. W czasie rozmowy o mieszkańcach dawnej Domanki, pani Teresa Pluta wspomniała o śmierci „żołnierza”, więc ten fakt był jej wcześniej znany. Widocznie ta historia była wtedy ciągle żywa i przekazywana w opowieściach z przeszłości.

Jak napisała Wiesława Szyborska:

Umarłych wieczność dotąd trwa,

Dokąd pamięcią im się płaci.

Chwiejna waluta.

Nie ma dnia

By ktoś wieczności swej nie stracił

Trzeba tę pamięć, może mało ważną, ale naszą, przywracać.

Pamiętam więc z dzieciństwa małą, chylącą się ku ziemi chałupkę „Stasiny”, otoczoną bzami (na działce p. Postków, a wcześniej gospodarza p. Magdziarza z Jesówki), w której mieszkały 2 staruszki. Owa Stasina, to Stanisława Chojnacka, przygarnięta przez rodzinę Sochańskich, zmarła w wieku 79 lat, 10.06.1966 r. Opiekowała się Marianną Sochańską, z domu Włodyga, II żoną Józefa Sochańskiego, zmarłą 21.09.1960 r. w wieku 72 l. Pomimo trudnych warunków, Sochańscy, dobrzy ludzie, wychowali również dziewczynę zabraną z przytułku Szpitala Dzieciątka Jezus i byli opiekunami aż do jej wyjścia za mąż, dając jej swoje nazwisko. Inne dziecko, również z przytułku, zmarło u nich w dzieciństwie. Ta chałupka, podparta drążkami i kryta strzechą, stała się symbolem Domanki z tamtych czasów. Ale kto to dziś pamięta? Dzisiaj już tylko dzikie bzy przypominają o tamtych czasach, bo uparcie rosną w miejscach dawnych ogródków.

A oto spis mieszkańców Domanki, występujących w aktach od 1845 r. do 1921, w porządku alfabetycznym

Objaśnienia:

U - urodzony, M - małżeństwo, Z - zgon, z d.- z domu.

Albiński Adam, świadek 1874, leśnik

Bekasiewicz Bronisława Z 1915

Biczek Piotr M 1918

Biczek Maria z d. Aufrechter vel Sochańska M 1918

Bielewicz Alexander U1852

Bielewicz Katarzyna z d. Nazdzier, matka 1852

Bielewicz Maciej, ojciec 1852, wyrobnik

Broszko Julianna U 1861

Broszko Petronella z Żuczków, I v. Maciejewska M 1858, matka 1861

Broszko Szymon M 1858, ojciec 1861, gajowy

Chojnacka Marianna U 1916

Chojnacka Stanisława, matka 1916

Dobrowolski Antoni, świadek 1861, szynkarz,

Fukowska Marianna d. Kowalska Z 1915

Fukowski Walenty, wdowiec 1915

Getner Władysław U 1920

Getner Andrzej, ojciec 1920

Getner Zofia d. Głowińska, matka 1920

Goreń Paweł M 1920

Goreń Józefa, I v. Welk M 1920

Gorzowska Anna, z d. Należyta, matka 1909

Gorzowska Jadwiga U 1909

Gorzowski Julian, świadek i oj. ch. 1909 i ojciec 1909 w 1910 U 221 na Jesówce, kamieniarz

Grzęda Zofia Helena U 1872

Grzęda Bartłomiej, ojciec 1872,

Grzęda Apolonia z d. Gromadzka, matka 1872

Guszkowska Marianna, z d. Augustyniak, żona 1911

Guszkowski Franciszek Z 1911

Kaszyńska Marianna U 1869

Kaszyńska Magdalena z d. Głowacka, matka 1869

Kaszyński Franciszek, ojciec 1869, łowca (strzelec)

Kazana Jan, ojciec 1862, gajowy

Kazana Jan U 1862

Kazana Józefa z d. Masalska, matka 1862

Klajn Józef 1913, wyrobnik, Z 1917

Klajn Marianna z d. Wojcieszek, wdowa 1917

Kobiałka Franciszek 1909, świadek

Kobiałka Marianna, chrzestna 1909,

Krzanowska Rozalia Z 1845

Krzanowska Maryanna z d. Dawonkowska, matka 1945

Krzanowski Franciszek, ojciec 1945, profesji mularskiej, zam. Dumanki

Krzetkowska Józefa z d. Marchlewska, matka 1917

Krzetkowski Ignacy, świadek 1916, ojciec 1917, wyrobnik

Krzetkowski Władysław 1917

Lidke Edward Karol, kawaler, wyrobnik M 1913

Lidke Paulina, matka 1913

Majewska Aniela z d. Sutkowska, matka 1874

Majewski Piotr Jan U 1874

Matulka Jan, ojciec 1892, leśnik

Matulka Katarzyna z d. Domańska, matka 1892

Matulka Walenty U 1892

Ostrowska Antonina, matka 1913

Ostrowska Dorota Lidke, panna M 1913
 Pacholczyk Alexy Z 1848, rekrut przechodzący, prawidłowo
 Pacholczak, l. 20
 Rechnio Franciszek U 1882
 Rechnio Józefa z d. Górecka, matka 1882
 Rechnio Michał, ojciec 1882
 Rosiński Kazimierz Z 1908, 5 miesięcy
 Rosłon Antoni, świadek 1909
 Rosłoniak Helena, z d. Ziembicka, M 1919, matka 1921
 Rosłoniak vel Rosłon Florian, M 1919, ojciec 1921
 Rosłoniak Wanda U 1921
 Różańska Natalia z d. Ziembicka, M 1920, matka 1921
 Różański Mieczysław M 1920, ojciec 1921
 Różański Władysław Mieczysław U 1921
 Rubiś Józef, ojciec 1852, w karczmie zam.
 Rubiś Maryanna ze Smagotkich, matka 1852
 Rubiś Magdalena U 1852
 Siekierska Janina Waleria z d. Ziembicka M 1921
 Siekierski Witold M 1921
 Sochańska Balwina z d. Krul, dziecko na wych. 1908, matka
 1907, 1909, 1912 i 1913, Z 1917
 Sochańska Marianna z d. Włodyga M 1917, matka 1918, 1920
 Sochańska Helena U 1920
 Sochański Antoni U 1909–Z 1912
 Sochański Józef, U 1907
 Sochański Józef, ojciec 1907, 1909, 1912, 1913, 1918, 1920 i świadek
 1908, 1909, 1912, 1913, 1915, 1917, M 1917, 1920, wyrobnik
 Sochański Wacław U 1918
 Welk dziewczynka, martwo urodzone, 1909
 Welk Jan, świadek 1908, 1909, 1912, ojciec 1909, wyrobnik
 Welk Józefa z d. Strawińska, matka 1909
 Zacharski Andrzej, ojciec 1877, traczący
 Zacharska Anna z d. Jagoda, matka 1877
 Zacharski Filip U 1877
 Zaręba Marcin U 1889
 Zaręba Antoni, ojciec 1889, wyrobnik
 Zaręba Franciszka z d. Aniszewska, 1889
 Zawadzka Aleksandra U 1917, Z 1917
 Zawadzka Bronisława z d. Bekasiewicz, matka 1915
 Zawadzka Marianna z d. Grebkowicz, matka 1908, 1912,
 1913, 1917
 Zawadzka Stefania U 1913
 Zawadzka Władysława Z 1915
 Zawadzki Adam, świadek 1907, 1908, 1909, 1910, 1915, 1917,
 1918, 1920, 1920, ojciec 1912, 1913, 1915, 1917, leśnik
 Zawadzki Aleksander U 1908 – Z 1912
 Zawadzki Tadeusz U 1912
 Ziembicka Anna U 1912 – Z 1989
 Ziembicka Natalia
 Ziembicka Paulina z d. Gorzkowska, matka 1909, 1912, 1915,
 1917, 1920
 Ziembicka Stanisława U 1909
 Ziembicki Tadeusz U 1920
 Ziembicka Wanda U 1915, Z 1917
 Ziembicki Walery, ojciec 1909, 1912, 1915, 1917, 1920 świadek
 1917, 1911, oj. chrz. 1917
 Złoska Małgorzata z d. Koper 1907
 Złoski Bolesław U 1907
 Złoski Wojciech 1907 ojciec

Wszystkie 51 aktów, na które się powołuję, mogą udostępnić w całości. Od 1868 do 1915 r. akty były pisane po rosyjsku, są więc przetłumaczone przeze mnie z języka rosyjskiego.

Domanka współczesna

Dzisiejsza Domanka zamyka się w prostokącie ulic: Koralowych Dębów, Droga Dzików, Graniczna, Malinowa i obejmujące ponadto ul. Piaseczyńską, Chabrową, Krótką, Środkową, Owsianą i Żytnią. Potomkowie i krewni niektórych rodów mieszkają w Zalesiu do dziś.

Trójkąt, który w 1965 r., powstał z wyprostowania ul. Koralowych Dębów, podzielił zabudowania gajówki, w której mieszkał gajowy Płowik z rodziną. Prosta drogę zawdzięczamy świętowanemu XX-leciu Polski Ludowej. Miejsce to przez wiele lat pozostawało zaniedbanym kawałkiem ziemi u zbiegu ul. Koralowych Dębów, Piaseczyńskiej i Owsianej. 10 lat temu, w rocznicę powstania Domanki, staraniem Krzysztofa Merskiego został uroczystie poświęcony kamień, z białą figurką Matki Bożej Opiekunki Wszystkich Podróżujących. Wkrótce została dołączona druga połówka kamienia, z wrytym wizerunkiem Jana Pawła II. Miejsce to, pośród kwiatów i drzew, stało się nie tylko wizytówką Domanki, ale też przystankiem dla przejeżdżających rowerzystów i spacerowiczów, a także miejscem skłaniającym do zadumy i modlitwy dla mieszkańców.



Fot. Krzysztof Merski

Wesoły Konik

Dokładnie 20 lat temu w kiosku, mieszczącym się wtedy na rogu Koraliowych Dębów i Pionierów, pojawiła się jednostronicowa ciekawostka pod intrygującym tytułem „Zalesie Górne mądre i bzdurne Wydawnictwo Podziemne – dla jednych przy... dla innych nie...przyjemne”, która natychmiast została rozchwytaana przez robiących tam zakupy Zalesian. Teksty były interesujące, krótkie i dowcipne, a czytelników bardzo intrygował podpis: „Wesoły Konik”.

Opowiemy dziś o tym wydawnictwie, przedstawimy nazwiska jego autorów i pokrótce opiszemy historię jego powstania i... zniknięcia.

Jest rok dwutysięczny. Wracający do domu rodowity Zalesianin Krzysztof Wesołowski przypadkiem spotyka spacerującego centralną arterią Zalesia Jana Siwka. Panowie znają się i lubią. W przeszłości ich drogi zawodowe często się krzyżowały (TV, kabaret, sceny studenckie), ale dla obu zaskoczeniem jest miejsce spotkania. Nowicjusz jest zauroczony Zalesiem i planuje przenieść się tutaj, do czego tubylec go zachęca, choć widzi wiele mankamentów w tej miejscowości. Obaj panowie są ludźmi czynu, obaj mają rozwinięty zmysł humoru, lekkie i chętne pióro. Rodzi się pomysł, żeby w sposób elegancki i zabawny obudzić uśpione potencjały naszej wsi. Najpierw powstał pseudonim autorski: Wesoły – od nazwiska Wesołowski i Konik – bo Siwek to maść konia. Teksty są dziełem wspólnym, tworzone czasem z zapisków na strzępkach papieru, a czasem dyktowanym wprost a vista Eli Nowińskiej, skrzętnie wszystko notującej. To ona sklejała luźne uwagi i porządkowała wykrzykiwane nad jej głową nowe teksty. Problem kolportażu rozwiązał się sam – pomogła zaprzyjaźniona pani Kioskarka.

Współpraca znajomego realia zalesiańskiego Krzysztofa Wesołowskiego z Janem Siwkim, mającym świeże spojrzenie na Zalesie, zaowocowała ciekawymi obserwacjami opisanymi w „jednokartkówce”. Celem było ukazanie zalet i wad miejscowości, w przekonaniu obu Panów absolutnie wyjątkowej.

Pisemko cieszyło się zainteresowaniem i bywało, że powodowało czytelników do reagowania.

Pora przedstawić obu autorów. Wesoły – to Krzysztof Wesołowski polonista, dziennikarz, pracownik TVP, realizator programów o zabytkach Śląska, o kradzieżach dzieł sztuki, programów edukacyjnych, historycznych widowisk paradokumentalnych. Zrobił trzy filmy o trenerach kadry narodowej piłki nożnej. Niestety, nie ma go już z nami Krzysztof Wesołowski zmarł w 2013 roku.

Konik – to Jan Kazimierz Siwek – poeta, bajkopisarz, satyryk, autor słuchowisk radiowych (trzydzieści lat współpracy z programem trzecim PR), tekstów piosenek, skeczy kabaretowych, scenariuszy programów telewizyjnych i widowisk teatralnych. Działał w klubach studenckich, laureat konkursów poetyckich. To od niego i Eli Nowińskiej dostałyśmy zachowane w pamięci starego komputera egzemplarze „Wesołego Konika” oraz garść zawartych tu informacji.

Dziękujemy też Grażynie Wesołowskiej za dokumenty, zdjęcia i rys biograficzny jej męża.

Obaj panowie byli pomysłodawcami stworzenia na terenie powiatu piaseczyńskiego lokalnego radia, ale nie udało się tego projektu zrealizować.



Jan Kazimierz Siwek



Krzysztof Wesołowski

Krzysztof i Jan bardzo lubili spacerować. Wędrując w wolnym czasie przez Zalesie, rozmawiając z sąsiadami, czy podpatrując uliczne scenki, mimochodem zbierali materiał do następnych numerów pisemka.

W jednym z pierwszych numerów wymienione są wszystkie sklepy i usługi, których Zalesiu brakuje, miło mi stwierdzić, że większość tych potrzeb została zaspokojona: mamy szeroki wybór lokali gastronomicznych, szewca, punkty krawieckie, pasmanterię, drukarnię i nawet siłownię. Nie zmieniło się podejście władz gminy do naszej wsi – nadal możemy uskarżać się na arogancję, niegospodarność i brak konsultacji społecznych. Doczekał się realizacji pomysł wydrukowania zalesiańskich widokówek i w miarę asfaltowania kolejnych ulic mamy mniej powodów do skarg na kurz i rozlewiska uliczne, choć nadal niejasny jest system kolejności ich odśnieżania. Wciąż szpecą Zalesie „dzikie” reklamy zawieszane i przyklejane na każdym dostępnym murze i drzewie, a i rozwiązania problemu odbioru odpadów są nadal kontrowersyjne.

Warto przypomnieć inicjatywę uhonorowania mieszkańców działających w interesie naszej miejscowości i zasługujących na PLUSY zaproszeniem do Ławy Mędrców, a tych, którzy dosłużyli się MINUSÓW wprowadzenia do Panteonu Niesławy.

„Wesołemu Konikowi” zawdzięczamy wspaniałą, jadowicie złośliwy opis kampanii wyborczej w wyborach samorządowych 2002 roku, szkoda, że dziś w Zalesiu nie ma dziennikarstwa tej próby.

To zderzenie indywidualności, zdolności obserwacyjnych i intelektów pozwoliło wychwycić i wyszydzić wady, uhonorować wybitne jednostki, zająć się niedostatkami i dać wizję potrzeb i kierunków rozwoju. „Wesoły Konik” ukazywał się niecałe dwa lata i wydał prawie dwieście numerów. Niestety, obaj panowie byli ludźmi bardzo zajętymi pracą zawodową, ich praca nierzadko wymagała wyjazdów, ciężko było zgrać się i umówić na spotkania. „Wesoły Konik” ukazywał się coraz rzadziej, aż w końcu zamilkł, ale nie pozwólmy mu odejść w zapomnienie.

Mimo upływu czasu wiele konikowych spostrzeżeń jest nadal aktualnych. Proponuję, by potraktować poważnie propozycję Wesołego Konika dotyczące braku niektórych usług, czynnego tępienia śmiejących, czy piętnowania „złośiąsiedzkich” zachowań.

Zalesie....Przez dwadzieścia lat – jak wiele i jak niewiele się zmieniło.

Prosimy, jeśli gdzieś zachowały się numery „Wesołego Konika” – udostępnicie je do skopiowania – niech rośnie nam zalesiańskie archiwum.

Ewa Kamińska i Jadwiga Kuźmińska

Człowiek na niepogodę

Wspomnienie o Marioli Molak

24 września 2021 roku odeszła nasza Mariola

Pani Mariola przez wiele lat prowadziła sklep przy ulicy Jesionowej, dobrze znała mieszkańców osiedla Leśnik i była z nimi zżyta. Na trwale zapisała się w pamięci wielu z nas i trudno nam się pogodzić z jej odejściem.

Maria Jolanta (zwana przez nas Mariolą) Molak, zanim zaczęła pracować w sklepie w Zalesiu na ulicy Jesionowej, pracowała przez cztery lata w nadleśnictwie Chojnów. Zakończyła tę pracę 31 lipca 1990 roku i prawdopodobnie jesienią tego samego roku pojawiła się w Zalesiu. Razem z panem Andrzejem Swatem, z którym pracowała w nadleśnictwie, zaczęła prowadzić sklep. Budynek, który dzierżawili od GS-u z Gołkowa, stał się, ku uciesze okolicznych mieszkańców, naszym sklepem. Na początku pan Andrzej pełnił rolę zaopatrzeniowca, a pani Mariola zajmowała się sprzedażą. Sklep, jak na owe czasy, był bardzo dobrze zaopatrzony. Pan Andrzej przywoził większość produktów, między innymi bardzo dobre mięso z Karczewa, a pani Mariola, która mieszkała w Górze Kalwarii, w drodze do pracy również zaopatrywała się w okolicznych hurtowniach. Wielu mieszkańców tej części Zalesia, zwanej kiedyś „Wyżynami”, zaczęło robić tu zakupy. Szczególnie często odwiedzali sklep rdzenni mieszkańcy, którzy nie jeździli do Warszawy. Była w tym sklepie bardzo przyjazna atmosfera. Pani Mariola była zawsze uśmiechnięta, a pan Andrzej chętnie zbierał od klientów zamówienia, gdy jakiegoś towaru nie było w sklepie. Oboje chcieli, żeby ludzie jak najczęściej przychodzili do sklepu i by byli zadowoleni, więc starali się oferować atrakcyjne produkty.

Z biegiem lat pani Mariola zaskarbiła sobie sympatię wielu klientów. Była osobą niesamowicie życzliwą, komunikatywną i wychodzącą naprzeciw potrzebom mieszkańców Zalesia. Gdy ktoś potrzebował pomocy do domu czy do sprzątnięcia, szukał dobrego hydraulika lub elektryka, osoby udzielającej korepetycji, szedł do pani Marioli. „Była ona dla nas doskonałą skrzynką kontaktową oraz osobą, u której szukało się pomocy i informacji” wspomina jedna z mieszkanki Zalesia. Oto kilka innych wspomnień.

„W 2007 roku spalił mi się dom. Bardzo pomogli mi wtedy wszyscy znajomi Zalesianie. Dom spalił się dość dokładnie, przez długi czas nie mogliśmy w nim mieszkać. Mariolka, gdy tylko wystygły mury, przysłała ekipę dwóch czy trzech ludzi, którzy przywieźli potrzebne materiały budowlane i postawili brakującą ścianę, tak żeby można było ten dom, czy raczej to, co z niego zostało, zamknąć. Po kilku dniach przyszedł do sklepu Mariolki bardzo jej podziękować za przysłanie ekipy i zapłacić za ich robociznę i materiały. Mariolka popatrzyła na mnie i powiedziała „Pani Ewo, ja o niczym nie wiem”. A ja przecież spytałam tych panów, kto ich przysłał i dlaczego, więc wiedziałam, że to ona. Absolutnie

się nie przyznała i uśmiechała się w taki trochę tajemniczy sposób, jakby chciała powiedzieć „nie udowodnisz mi”.

„Byłem wtedy chłopcem, było lato, jechałem rowerem, gdy wpadła mi do ust pszczoła i ukąsiła mnie. Zaczęłem puchnąć i potrzebowałem pomocy. Akurat byłem niedaleko sklepu, więc poszedłem po pomoc do pani Marioli. Ona, widząc co się dzieje, dała mi do ssania natkę pietruszki i dość szybko poczułem się lepiej. Wspominam panią Mariolę jako osobę bardzo serdeczną, pomocną, która zawsze spieszyła z pomocą, gdy zaszła taka potrzeba. Była bardzo dobrym człowiekiem.”

„To były moje pierwsze lata w Zalesiu po tym gdy się tu sprowadziłam. Mieszkały tu na stałe tylko trzy lub cztery osoby, nie było mediów, nie było gazu, nie było wodociągów. Któregoś dnia żaliłam się Marioli, że nie mam butli gazowej na wymianę, a tu już wszystko pozamykane, bo otwarte tylko do czwartej. „A to nie ma problemu, ja mam butlę i pani pożyczę” zareagowała na to Mariola.”

„Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, wszyscy w domu załatwiali choinkę i jakoś wyszło na to, że nikt jej nie załatwił. Poszłam po coś do Marioli i przy okazji skarzę się, że nie mam choinki, a Mariola na to „A wie pani co, ja zaraz zadzwonię do znajomego leśnika.” Zadzwoniła i choinka była.”

„Szukałam kogoś, kto mógłby doprowadzić działkę do porządku i spytałam się Marioli, czy zna kogoś takiego. Ona zaproponowała Maćka, swojego syna, który był świeżo po ukończeniu technikum i próbował sił w tym zawodzie. Powiedziała mi, że Maciek mógłby to zrobić, czyli zaprojektować ogród i posadzić rośliny. I tak też się stało. Maciuś posadził nam wzdłuż płotów tuje oraz świerki i wydaje mi się, że ta praca, którą myśmy mu wtedy dali, zapoczątkowała jego karierę w tym zawodzie – projektowaniu i zakładaniu ogrodów.”

Pani Mariola była bardzo uczynna i życzliwa. „Gdy ktoś był chory i nie mógł przyjść do sklepu, to dzwonił do niej (w sklepie był telefon) i składał zamówienie, a pani Mariola, po zamknięciu sklepu o 18:00, rozwoziła zamówione produkty.”

„Można na nią było liczyć w każdej sytuacji, nie mówiąc już o ludziach, którzy na przykład nie mieli pieniędzy do pierwszego. Można było u Marioli zrobić zakupy na zeszyt, a potem jej zapłacić. Ta jej ogromna życzliwość bardzo jakby osadzała i cementowała mieszkańców tej części Zalesia.”

„Jedno z moich doświadczeń związanych z panią Mariolą miało miejsce, gdy zbierałam w parafii, jeszcze za poprzedniego proboszcza, pieniądze na kwiaty do Grobu Pańskiego. Kiedyś robiła to moja mama, potem pani Burkowa, a w końcu ja to przejęłam. Częściowo ze względów sentymentalnych, ale również dlatego, że nikt inny nie miał na to czasu. Dla

mnie też nie było to łatwe, bo pracowałam, a trzeba było chodzić po domach i zbierać datki. Bardzo pomogła mi wtedy pani Mariola. Zaproponowała, by zostawić u niej w sklepie puszczkę na datki razem z listą. Ona dopilnowała, aby każdy, kto chciał być darczyńcą, wpisał na listę swoje nazwisko i kwotę jaką chciał ofiarować, a pieniądze włożył do puszek. Choć było to dla pani Marioli z pewnością dodatkowe zajęcie, to zrobiła to z wielką przyjemnością, bo taka była – zawsze starająca się pomóc innym. Ludzie mieli różne problemy i przychodzili z nimi do pani Mariol. Nie do sklepu, tylko do niej, na przykład gdy szukali hydraulika lub elektryka albo nauczyciela języków obcych. To był dla wielu z nas najprostszym sposobem na uzyskanie informacji – szło się do pani Marioli. I dlatego została ona tak bardzo mocno w naszych sercach i tak było nam jej brak, gdy zamknęła sklep.”

Miała również duże poczucie humoru. Kiedyś, gdy jechała pociągiem, grupa młodych ludzi zachowywała się w sposób skandaliczny. Po pewnym czasie pani Mariola miała już dość ich wulgarnego języka i poprosiła, by się uspokoiłi. Oni wtedy zaczęli ją straszyć mówiąc, że znają członków mafii. A pani Mariola na to: „Tak? A ja mam mafię w domu”. Miała na myśli jednego ze swoich psów, który miał na imię Mafia. Młodzi ludzie bez słowa opuścili pociąg na najbliższej stacji.

Pani Mariola przeżywała z mieszkańcami Zalesia wszystkie radości i smutki. Dla wielu osób sklep pani Marioli był nie tylko miejscem, w którym robiły zakupy, ale również okazją do spotkania innych ludzi i do pogawędki.

„Jak wspomniałam, była dla nas skrzynką kontaktową. Można było u niej zostawić informacje i uzyskać informacje. Wielu mieszkańców nie miało telefonu, ale można było przyjść do sklepu, zostawić informację dla kogoś, a pani Mariola przekazywała ją wskazanej osobie. Był to więc sklep rodzinny, bardzo przyjazny i szczególnie potrzebny osobom starszym, które nie miały możliwości robienia zakupów gdzie indziej.”

„Pani Mariola lubiła swój zawód sprzedawcy, co było widać i czuć. Była czynna i – można powiedzieć – żyła potrzebami swoich klientów. Denerwowało ją, jeśli spóźniali się dostawcy mleka lub pieczywa. Zakupom u pani Marioli towarzyszył taki swojski, familiarny klimat. Kupujący pogadywali tu, że to i tamto zdrożało, a nie powinno – na Boga – zdrożeć. Że w lesie „wysypały się opieńki” i że ponoć ma być mroźna zima. Nieraz ktoś z kupujących powiedział kawał o teściowej i w sklepie robiło się wesoło i śmiesznie. Chodziło się do sklepu, a mówiło „do Marioli”. Kupowało się to i owo zawsze „u Marioli”, a nie w sklepie.”

Interesowała się życiem mieszkańców Zalesia, bardzo szybko uczyła się ich imion i rodzinnych powiązań, wiedziała o ich upodobaniach, sprowadzała dla nich towary, o które pytali.

„Wspominam panią Mariolę jako osobę szalenie życzliwą. Mówiono o niej, że była bardzo ciekawska. Tak, była. Musiała wszystko wiedzieć. Kiedyś jej współpracownik spytał mnie „Wiesz co się wczoraj stało w Zalesiu?”. „No co?”. „Pogotowie było, a Mariola nie wiedziała”. Taki dowcip; ale ta jej ciekawość przekładała się na to, że mogła i wiedziała komu pomóc. Jeśli ktoś nie przyszedł do sklepu, to Mariola się interesowała dlaczego, czy coś się dzieje, czy pomóc i angażowała młodzież sąsiedzką mówiąc „Wiesz co, idziesz i tam

przechodzisz, zanieś zakupy tej czy tamtej pani.” Gdy się nie udawało, zawoziła zakupy sama.”

„Do mnie na wakacje często przyjeżdżali moi teściowie. Byli tutaj kilka tygodni i teść, który miał swoje przyzwyczajenia, pierwsze co robił to szedł do sklepu Mariolki i zamawiał sobie Tygodnik Powszechny. Parę dni po ich przyjeździe byłam u Mariolki, robiłam normalne zakupy, i słyszę „Pani Ewo, mam dla pana Piotra gazetę”. Ja na to „Dobrze, to ją chętnie wezmę”. Na to pani Mariolka „Ależ nie, on to zamówił dla siebie”. Zdumiewał fakt, że po kilku dniach od przyjazdu teściów Mariolka wiedziała jak teść ma na imię, przesyłała pozdrowienia dla pani Krysi, czyli dla mojej teściowej, a poza tym była bardzo konkretna – skoro pan Piotr sobie zamówił, to niech odbierze sobie sam.”

„Moje pierwsze spotkanie z Mariolką miało miejsce dwa dni po wprowadzeniu się do Zalesia. Po dwóch dniach od wprowadzenia się idę do sklepu i ku mojemu ogromnemu zdziwieniu Mariolka się pyta „Jak się czuje pan Wojtek?”. Skąd ona dowiedziała się, że mój mąż na imię mam Wojtek, nie bardzo wiem. Ale odpowiedziałam, że dobrze, choć byłam bardzo zdziwiona tym, że ledwo pojawiła się nowa twarz w Zalesiu, a Mariolka już wiedziała o całej rodzinie. Mariola była bardzo sympatyczna, wiedziała, że mam troje dzieci, wiedziała jak moje dzieci mają na imię, mimo, że nigdy nie rozmawiałam z nią na ten temat. Zawsze uśmiechnięta, taka kapitalna babka.”

Sklep działał do roku 2012. Zmiany w kraju powodowały, że małe sklepiki, takie jak nasz przy Jesionowej, zaczęły upadać. Coraz trudniej było pani Marioli konkurować z powstałymi sklepami wielkopowierzchniowymi, coraz więcej osób jeździło samochodami i robiło zakupy poza Zalesiem.

„Klientami pozostali głównie stali (i często starsi) mieszkańcy tej części Zalesia, po tej stronie torów. Bo do pewnego stopnia mieszkańcy naszej wsi dzielą się na tych mieszkających przed torami i tych za torami; ci sprzed torów nie odwiedzali sklepu pani Marioli, więc klientów było coraz mniej. Dlatego też pani Mariola sprowadzała coraz mniej towarów, bo już nie było takiego zapotrzebowania jak dawniej. Pomalutku sklepik gasł i w 2012 roku został zamknięty. Dla wielu z nas był to trudny moment. Od tej pory brakowało nam sklepu, jak również pani Marioli.”

„Myśmy byli spokojni i dumni, że mamy coś na własność. Dziwnie to może zabrzmieć, ale była ta Mariola taka nasza mimo, że była z Góry Kalwarii. Ciężko było się z nią rozstawać, bardzo brakowało tego sklepiku jeszcze długo. Myślę, że wszyscy ją zapamiętają jako osobę przede wszystkim szalenie czynną, otwartą na ludzi, co się dziś bardzo rzadko zdarza. Ona zawsze pozostanie w pamięci, szczególnie w mojej rodzinie, jako człowiek o wyjątkowej życzliwości i taki otwarty na ludzi.”

Mimo zamknięcia sklepu Pani Mariola w dalszym ciągu była związana z Zalesiem. Kontaktowała się telefonicznie z niektórymi mieszkańcami, a gdy jej wnuczki podrosły, przywoziła je na zajęcia plastyczne do pana Zadrąga.

„Po zamknięciu sklepu pani Mariola w dalszym ciągu utrzymywała kontakt z niektórymi z nas, myślę że nawet

do swojej śmierci. Mieszkała w Górze Kalwarii przy ulicy Popieluszki 3 i zawsze zapraszała, by ją odwiedzić. Miała przepiękny ogród i psy, których była miłośniczką. Zawsze pamiętała o imieninach, dzwoniła z życzeniami na wszystkie święta, nie tylko do mnie, ale również do wielu osób, które poznała w czasie pracy w sklepie. Gdy podczas naszych rozmów dowiadywała się o różnych tragediach rodzinnych osób jej znanych, zawsze bardzo to przeżywała. Była osobą o wielkim, otwartym sercu i bliskie jej były problemy tutajszkich mieszkańców. No bo spędziła w Zalesiu wiele lat i dobrze je wspominała; musiało jej tu być dobrze. Znała tu wiele osób, bo to nasze środowisko nie jest duże i większość z nas robiła u niej zakupy albo szukała pomocy lub informacji."

„Gdy już byłem dorosły i zamieszkałem z rodziną w Zalesiu spotykałem panią Mariolę, gdy przywoziła wnuczkę na zajęcia plastyczne. Zawsze miło było z nią powspominać i porozmawiać o tym, co się dzieje i co się zmieniło w Zalesiu."

Rodzina była bardzo ważna w życiu pani Marioli. Bardzo była dumna ze swoich wnuczek, jak i z syna Maćka. Ciężko przeżyła chorobę i śmierć matki.

„Miała jednego syna, Maćka, którego bardzo kochała. Maciek chodził do technikum rolniczego w Piasecznie i pani Mariola często rozmawiała ze mną o nim, czasami prosząc o radę. Gdy Maciek zaczął prowadzić własną działalność gospodarczą, pani Mariola pomagała mu jak mogła. Kiedyś opowiadała, że zajmowała się ekipą Ukraińców, a gdy jeden z nich uderzył się w oko, pani Mariola jeździła z nim po lekarzach; była bardzo operatywna."

„Pani Mariola ciężko pracowała. Poza pracą w sklepie pomagała synowi, gdy on rozkręcał swój biznes. Gdy on wyjeżdżał w sprawach służbowych, to Mariola musiała zajmować się jego pracownikami i jego sprawami, więc miała na głowie sporo."

„Pani Mariola bardzo cieszyła się z nowonarodzonej wnuczki. Ciągłe akcentowała i powtarzała, że już jest babcią. Jej rozpromieniona radością twarz przygasiała, gdy zaczynała mówić o chorej matce, o nieprzespanych nocach. O cierpieniach swej rodzicielki, którą bardzo kochała, opowiadała ze łzami w oczach."

Pani Mariola wniosła bardzo wiele do życia mieszkańców Zalesia. Zostały wspomnienia, smutek i wdzięczność za te lata, które spędziła z nami.

„Ona zawsze pozostanie w pamięci, szczególnie w mojej rodzinie, jako człowiek o wyjątkowej życzliwości i taki otwarty na ludzi."

„Niedawno nadeszła z Góry Kalwarii smutna wiadomość, że pani Mariola nie żyje. Niech Bóg miłosierny otrze Zmarłej łązy ziemskiego życia i ma ją w swej opiece na wieczność. Bardzo ją tutaj miło wspominaamy i jak tylko odeszła, nie mówię o śmierci, ale gdy odeszła ze sklepu, to się zrobiła taka pustka. Mijało się ten sklep Mariolki, a on stał pusty. Smutno było. Taką naszą ikoną była pani Mariola i ciepło ją wspominam. Miło się ją wspomina i będzie wspominać. Zawsze jak jadę Jesiowową i przejeżdżam koło budynku dawnego sklepu, nawet teraz, gdy jest tam pizzeria, to dla mnie zawsze będzie to Mariolka."

„Mariola była człowiekiem na niepokodę. Jej optymizm zarażał. Kiedy wracałam zmęczona i niekiedy zdolowana z pracy, to wpadałam choć na chwilę do Mariolki. Było od razu lżej. Była dzienna prasówka z życia Zalesia, inteligentny komentarz i często kupa śmiechu. Biła od niej radość życia. Kochała je i kochała ludzi. Mariola nie była obojętna. Angażowała się w czyjeś kłopoty i pomagała z całych swoich sił. Zawsze będę Jej wdzięczna za serdeczną pomoc, jaką zawsze niosła mojej Mamie. Mogłam być spokojniejsza, kiedy nie mogłam na czas dojechać z Warszawy do Zalesia. Wiedziałam, że leki i chleb dotrą na czas. Dziękuję Ci kochana Mariolu za wszystko. To zaszczyt dla mnie, że mogłam mówić Ci po imieniu."

Opracowała,
na podstawie wspomnień, Barbara Migaj

Narracja została w większości oparta na informacjach udostępnionych przez Barbarę Byszko.

Wspominali: Barbara Byszko, Tomasz Chmielewski, Mirka Jaworska, Ewa Kamińska, Magda Mikołajczak-Olszewska, Ewa Molenda-Stroińska, Zalesianin.



Syrenka moja miłość

W cyklu „Historie odnalezione” po raz pierwszy pojawia się historia, która nie tylko opisuje przeszłe wydarzenia, ale wybiega też w przyszłość

Usłyszałyśmy, że w Zalesiu będzie pierwsze prywatne muzeum. Żeby dowiedzieć się więcej i móc Wam o tym opowiedzieć, posłaliśmy na ulicę Leśnych Boginek do państwa Brzozowskich. To ci państwo, których zabytkowe samochody z żółtymi tablicami rejestracyjnymi często jeżdżą po naszych uliczkach. Kiedy przekroczyliśmy bramę, zaskoczył nas ład na podwórku – żadnych walających się dętek, zardzewiałych błotników i innych kawałów żelastwa. Zobaczyliśmy romantyczny stolik z siedziskami wśród kwiatów, a dalej osłonięte wiatami liczne pojazdy z lat 50-tych, 60-tych i 70-tych. Gospodarze przyjęli nas w garażu, w którym ściany wytapetowane są zabytkowymi i zagranicznymi tablicami rejestracyjnymi.

Usiadłyśmy z panem Wojciechem Brzozowskim nieopodal malucha i syreny R-20. To właśnie te dwa legendarne samochody z polskich ulic są zaczątkiem ekspozycji „Muzeum Techniki im. Władysława Drybsa – Wojciech, Radek i Stefan Brzozowscy”. To będzie prywatne muzeum, dopiero je organizujemy, dlatego nie ma jeszcze ekspozycji – powiedział Pan Wojtek.

Wojciech Brzozowski wspomina: – Mój teść, Władysław Drybs, pracował przed wojną w polskich zakładach inżynierii motoryzacji i był konstruktorem wojskowych podwozi samochodowych. Po wojnie pracował w Przemysłowym Instytucie Motoryzacji i swoimi czasy był na kontrakcie w Czechosłowacji, też oczywiście, w branży motoryzacyjnej. Mój syn – Radek chce tym muzeum uhonorować pamięć świętej pamięci dziadka i dlatego będzie ono nosić jego imię. Liczymy, że męskie tra-



dycje rodzinne będą kontynuowane. Marzymy, by syn Radka, siedmioletni Stefan, także polknął bakcyła motoryzacji.

Ewa Kamińska – Gdzie mieści się muzeum?

– Tutaj!

Ewa Kamińska i Nina Wierzbicka: – To my jesteśmy w muzeum!

– Nie mogłyśmy się od tego okrzyku powstrzymać.



Wojciech Brzozowski

– Jak to się stało, że zamieszkaliście w Zalesiu?

– Moi teściowie, państwo Drybsowie, od lat 50 mieli tutaj działkę. Uznaliśmy, że w Zalesiu będzie nam lepiej niż w Warszawie.

– A skąd to zainteresowanie motoryzacją?

– Mój wujek, miał mercedesa, starego oczywiście, a ja byłem często przez niego wożony. Miałem wtedy gdzieś 4–5 lat. Wuj sadzał mnie nieraz na kolanach i tak wjeżdżaliśmy do garażu. Niepokoiło mnie to, że sam nie mogę kierować, myślałem, że to jakaś tajemna siła decyduje o tym, gdzie samochód ma jechać. Mercedes był mocno sfatygowany i wuj zmienił go na lepszy samochód, czyli na syrenę. Rodzice też kupili syrenę. I to były dwie pierwsze syreny w rodzinie.

– Moja pierwsza syrenka jest bardzo ściśle związana z Zalesiem. Tę syrenkę miał pan inżynier Przemysław Sobolewski, wujek mojej żony. On nie jeździł tym autem, bo były z nim problemy. W tym czasie miałem poloneza na zbyciu i zamieniliśmy się. On był szczęśliwy, bo polonez jeździł. Syrenę naprawiłem, miała uszkodzoną uszczelkę pod głowicą. Ten samochód nadal jest sprawny! I jeździ! Radek, mój syn, też uległ fascynacji syrenką. Za pierwsze zarobione 100 zł stał się posiadaczem brązowej syrenki. Jeździł nią po grządkach na działce, bo nie miał prawa jazdy, na tym gracie zaczął naukę jazdy. Miał wtedy 13 lat i za najważniejszą lekturę życia uważał „Sam naprawiam samochód syrena”.



Radek Brzozowski

– Skąd u Was te umiejętności?

– Obaj jesteśmy samoukami, ja jestem raczej teoretykiem, syn jest praktykiem. Mamy też małego pomocnika – Stefanek chętnie nam pomaga.

– Samochody – to Wasz zawód czy pasja?

– Nie, to nie zawód. Ja jestem inżynierem elektrykiem i nadal pracuję na etacie. Radek ma zupełnie inne wykształcenie, teraz pracuje jako animator kultury.

– Zaczęliście od dwusuwów...

– Tak. To jest następna historia, o której chętnie opowiem. Rodzice po syrencie mieli wartburga. Ja tym samochodem nauczyłem się jeździć. Miałem do niego bardzo duży sentyment, niestety, po wielu latach rodzice sprzedali ten samochód. Pragnąłem mieć znów taki sam.

– Któregoś wieczora Radek woła mnie do komputera.

– Pali się? Nie, gorzej! Lecę! Objawił się w Łodzi taki sam wartburg, w takim samym kolorze, identyczny, w tej samej wersji! I cena przystępna! Długo się nie zastanawialiśmy. Wy-

najeliśmy lawetę i pojechaliśmy. Silnik był zabity na kamień, ale i tak go kupiliśmy. Syn wymienił silnik i wartburg zaczął żyć!

– Rozumiem, że macie do swoich samochodów stosunek emocjonalny.

– Tak. Chętnie je udostępniamy, ale muszą być traktowane z szacunkiem.

– Kto jest tu kierownikiem?

– Radek, choć działamy wspólnie. Razem podejmujemy najważniejsze decyzje.

Porozmawiamy teraz z kierownikiem.

Spotkanie z Radkiem Brzozowskim

– Kim jesteś z zawodu?

Radek Brzozowski: Mam wykształcenie techniczne i menadżerskie. W tej chwili, żeby móc wieczorami dłużej w samochodach, pracuję jako animator kultury.

– Kiedy odkryłeś swoją pasję do samochodów?

– Zaczęło się w wieku trzynastu lat. Swoją pierwszą syreną jeździłem przez całe wakacje po przydomowym podwórku. Kupiłem ją za pierwsze, własne zarobione pieniądze i wyremontowałem.

– Czy używasz starych samochodów na co dzień?

– Tak, ale nie ma już tak naprawdę dróg dla takich samochodów, jadą wolno i mają dłuższą drogę hamowania. Muszę szczególnie uważać na drodze, bo są kierowcy, którzy widząc mnie w takim samochodzie, zajeżdżają drogę. Jest to kłopotliwe, dlatego wybieram mniejsze miasteczka i boczne drogi pozamiejskie. Wtedy można korzystać z radości eksploatacji takiego samochodu.

– Gdzie i jak je znajdujecie?

– Samochody przychodzą do nas same (Radek się uśmiecha). Jedną zastawę, w stanie perfekcyjnym, sam zobaczyłem, jadąc w delegację do Radomia. Na wjeździe do miasta przemknął mi jakieś taki

korolowy ciekawy kształt, pojechałem za nim. I złożyłem ofertę właścicielowi. Po miesiącu zadzwonił do mnie i powiedział, że się zgadza i... pojechaliśmy ją kupić. Mamy zastawę w stanie przepięknym i dbamy o nią. Dlatego nie chcę nią jeździć, chcę kupić kolejną, a tamta powinna stać i cieszyć oko.

Ostatnio kupiłem od straży pożarnej ciężarowego opla blitza z lat 70 z wyposażeniem. Wóz strażacki z pompą na silniku syreny, niemiecki. Mam słabość do samochodów, które znajdują mnie.

Mikrusa, którego teraz montowałem, też mam od dwóch i pół roku. To jest już mój trzeci mikrus, ale pierwszy w pełni oryginalny. Nadwozie jako tako się trzymało, natomiast wszystkie części były w wiaderkach i w kartonach. Tata był przerażony, ale ja widziałem cel i czułem, że się uda. I rzeczywiście. Oczywiście pomagał mi zaprzyjaźniony tokarz w Chojnowie, który dorobił elementy. Silnik kupiłem identyczny jak polski, ale niemiecki, ponieważ jest lepszy. Dzięki temu mogę teraz wziąć rodzinę i pojeździć cały dzień tym samochodem i nie martwić się, czy wrócimy do domu.



Był to jeden z moich wymarzonych samochodów. Nie zawiódł mnie. Marzyłem też o saabie, który niestety mnie rozczarował. Mam motorower z 1941 roku, który wcześniej wisiał u wujka na ścianie w warsztacie. Bardzo chciałem go mieć. Jakoś udało mi się go zarejestrować, ma aktualne badanie techniczne i oczywiście jest sprawny, ale uwaga: można się przestraszyć, widząc go, ponieważ nie odmalowałem go.

– Skąd bierzecie opony?

– Zewsząd. Na przykład współczesne opony do mikrusa kupiłem w hurtowni w Toruniu, która zamówiła je w Danii, a produkowane były na Sri Lance. Czyli zbieramy części do tych pojazdów z całego świata.

– Wyrobiliście sobie markę....

– Decyzja o założeniu naszego Muzeum Techniki została podpisana przez pana ministra Głińskiego. Jest to muzeum w przygotowaniu. Mój tata za rok idzie na emeryturę i mógłby zostać kustoszem tego muzeum. Jest problem z lokalem, bo garaż, w którym znajduje się część eksponatów wykorzystujemy do prac remontowych przy samochodach.

Często już teraz przychodzą do mnie rodzice z mniejszymi i większymi dziećmi, żeby dotknąć, przejechać się, posłuchać samochodu i o samochodzie. Więc muzeum właściwie działa.

Nasze samochody, w ten sposób już żyją.

Ja na przykład na codzień jeżdżę wyłącznie "antycznymi" samochodami. Najchętniej dwusuwami z demoludów.

Nasz najstarszy samochód to fiat 508 z 1937 roku, a najmłodszy to strażacki żuk z 1996. Ten żuk jest ulubieńcem mojej pięcioletniej córki Jagody, bo w przedszkolu jest w grupie Żuczków i oczywiście też interesują ją samochody.

– Czy poczyniłeś jakieś kroki żeby gmina dała ci miejsce na to muzeum?

– Wstępnie rozmawiałem z włodarzami, ale brakuje odpowiedniego lokalu. Oraz solidnego biznesplanu.

– Czy te samochody na siebie zarabiają?

– Trochę tak, jeżdżą na pokazy, inscenizacje, rajdy.

Dwukrotnie, my i nasze samochody, braлиśmy udział w Nocy Muzeów w Piasecznie. Opowiadaliśmy o samochodach, demonstrowaliśmy ich wnętrza i silniki. Było ogromne zainteresowanie.

Organizuję rajdy turystyczne np. Rajd Pałacowy, gdy w 30 antycznych samochodach z elegancko ubranymi pasażerami i kierowcami zwiedzamy polskie pałace. Jednak największym wyzwaniem jest udział naszych samochodów w filmach. Grały w „Ldzie”, „Hiacyncie”, „Żeby nie było śladów”, „Bo we mnie jest seks”, „Stulecie Winnych” i w wielu innych. Na niektóre plany filmowe przyjeżdżaliśmy „na kołach”, a nie na lawecie, z czego jesteśmy dumni.

– Dlaczego syrenę nazywano skarpetą?

– Po pierwsze zapach, a po drugie należy pamiętać, że kiedyś te samochody były naprawiane metodami domowymi czyli za pomocą wiertarki, nitownicy, latki. Wyglądało to jak połatane skarpety, bo kiedyś skarpetki się cerowało. Syrena ma jeszcze jedną nazwę „Królowa Poboczy”. (śmiech)

– Czy interesują Cię rekwizyty, które dopełniają wygląd starego samochodu?

– O tak, np. mój sąsiad, pan Witek, z sympatią odnoszący się do mojej pasji, wynajduje mi różne elementy z epoki, stare klucze, jakieś części..

Od niego dostałem pieska kiwającego głową – maskotkę na tylną szybę, któremu świecą się oczka, gdy zmieniam pas ruchu, a język wysuwa się po naciśnięciu hamulca.

– Widzę, że Stefan jest żywo zainteresowany Waszą pasją.

– Syn obserwuje, co robimy, podaje narzędzia, młotek albo klucz i też ceni to co stare. Na zakończenie roku szkolnego pojechał rowerem, na którym ja jeździłem jako dziecko. Jest to odremontowany przez nas rowerek reksio. Nawet nalepki udało się odtworzyć, żeby wyglądał tak jak dawniej i mimo że syn ma rower, zwykły górski, ale dla niego było bardzo ważne, pojechać i się pochwalić.

– Jak to jest kiedy sprzedajesz samochód?

– Nie lubię sprzedawać swoich samochodów, ale jeśli to robię, to troszcę się, żeby trafiły w „dobre ręce”. Jedyne samochód, którego nigdy nie sprzedam, to pierwsza, rodzinna syrenka. Ona jest podstawą naszej kolekcji.

– Czym jeszcze możesz się pochwalić?

– Na zlocie syren w Cieszynie, na który pojechaliśmy z dwójką małych dzieci, Jagoda zdobyła nagrodę jako najmłodszy uczestnik (miała wtedy niecałe 10 miesięcy)! Dwa lata temu wraz z tatą pojechaliśmy warszawą kombi do Rumunii i nawet wróciliśmy! W tym roku wygrałem swoją kategorię na rajdzie motorowerów PRL jadąc na motorynce pony z 1984 roku. Aktualnie współtworzę czasopismo „Auto Świat Classic”.

Dziękujemy za spotkania i życzymy Wam realizacji wszystkich motoryzacyjnych marzeń

Ewa Kamińska, Nina Wierzbicka

Zdjęcia pochodzą z archiwum rodzinnego państwa Brzozowskich



Stowarzyszenie Rodziców TU
wraz z Biblioteką Publiczną w Piasecznie
serdecznie zapraszają
na uroczyste otwarcie wystawy będącej podsumowaniem
projektu

HISTORIE ODNALEZIONE 5

2 grudnia 2022 o godz. 18:00
w bibliotece w Zalesiu Górnym przy ulicy Białej Brzozy 3



Piaseczno



STOWARZYSZENIE
RODZICÓW TU



Biblioteka
Publiczna
w Piasecznie

HISTORIE ODNALEZIONE 2022

.....

Spis treści

Jedno życie jak trzy. Opowieść o Halinie Wesołowskiej, <i>Elżbieta Nowińska</i>	1
Zalesiańskie dróżki – moja dróżka do pociągu, <i>Teresa Pluta</i>	3
Jak powstało Zalesie Górne, <i>Barbara Migaj</i>	4
Czy wiesz, że w Zalesiu Górnym był strajk szkolny? <i>Alicja Szostakowska, Grażyna Kucharska, Maria Wilczyńska</i>	8
Sto lat zdrowia w Zalesiu Górnym, <i>Jolanta Jarosz-Hryniewicz</i>	11
Oto Bogusia, <i>Nina Wierzbicka</i>	15

Sprostowanie dotyczące artykułu *Jak powstało Zalesie Górne* opublikowanego w piątym numerze *Historii Odnalezionych*.

W piątym numerze *Historii Odnalezionych*, w artykule *Jak Powstało Zalesie Górne*, jest informacja, że Julian Walecki kupił majątek w Zalesiu Górnym za pieniądze przekazane mu od ojca, Ignacego Waleckiego. Ta część artykułu została oparta na wspomnieniach członków rodziny Waleckich.

Po ukazaniu się publikacji odezwał się do nas Juliusz M. Walecki, syn Juliana, twierdząc, że ojciec jego kupił majątek od Zofii Potockiej za swoje pieniądze. Chcemy zatem, by poznali Państwo również tę wersję wydarzeń, będących częścią historii naszej miejscowości.



Piaseczno

Projekt sfinansowany ze środków gminy Piaseczno

HISTORIE ODNALEZIONE

Jedno życie jak trzy

Opowieść o Halinie Wesołowskiej

Ze zdjęcia emanuje spokój. Żaden szczegół nie zdradza dramatycznej przeszłości tej młodej kobiety. Przecież to tylko fotografia, krótka chwila zatrzymana w kadrze. Opowiada tylko tyle, ile widać. To Halina Wesołowska z domu Pikulska i jej kilkuletni synek Krzysiek.

Przyjechała do Zalesia Górnego w 1951 roku i mieszkała tu przez ponad trzydzieści lat aż do swojej śmierci we wrześniu 1984 roku. Była jak inne kobiety – sąsiadką, koleżanką, matką, babcią, teściową... Chodziła do pracy, wychowywała synów. Była szczerą, uczynną, pomagała ludziom w trudnych sytuacjach, a jednocześnie żyła po cichu, starała się nie wyróżniać. Ludzie szanowali ją i lubili. Okazali to licznie uczestnicząc w jej pogrzebie. Pochowana została na cmentarzu w Jazgarzewie niedaleko grobu swoich rodziców. Po latach dołączyli do niej mąż Waclaw i syn Krzysztof.

Niewiele osób znało poruszającą historię jej życia.

Urodziła się 2 lipca 1923 roku we Lwowie, w zamężnej rodzinie majora Wojska Polskiego. Miała spokojne dostatnie dzieciństwo – uczyła się gry na skrzypcach, jeździła konno, wyjeżdżała z rodziną na letnie wakacje.

Wybuchła II wojna światowa i zburzyła ten poukładany świat. Sytuacja we Lwowie i innych miastach stała się dla mieszkających tam Polaków niebezpieczna. Przerazały masowe aresztowania przedstawicieli polskich elit, wysiedlenia na Syberię, Kołymę, czy do Kazachstanu, grabież majątków, niszczenie polskiej nauki i kultury przez Sowietów, przerazały. Kiedy major Pikulski we wrześniu 1939 roku dostał rozkaz mobilizacyjny, jego żona Alfreda wyjechała z synem i córką do Radomska, gdzie mieszkali jej krewni.

Nie udało mi się dotrzeć do informacji, co działo się z ojcem Haliny w czasie wojny. Podobno był w niewoli.

W Radomsku w 1943 roku Halina wstąpiła do oddziału Armii Krajowej działającego na terenie Radomska i okolic, a po wojnie, w sierpniu 1945 roku zaangażowała się w działalność konspiracyjną pod pseudonimem „Ewunia”. Była łączniczką, kurierką i sekretarką Stanisława Sojczyńskiego, legendarnego „Warszyca”, dowódcy I Komendy Konspiracyjnego



Synowie Haliny (zdjęcie z archiwum rodzinnego).



Zdjęcie pochodzi z archiwum rodzinnego. Zrobiono je w latach 50-tych koło furtki domu przy ul. Poranku w Zalesiu Górnym.

Wojska Polskiego. Kursowała z materiałami organizacji na trasie Radomsko-Kraków. Na przełomie kwietnia i maja 1946 roku część struktur konspiracyjnych KWP została rozbita. Z uwagi na trwające aresztowania i możliwość dekonspiracji kpt. Stanisław Sojczyński zmuszony był przenieść się z Radomska do Częstochowy i stamtąd dowodził działaniami organizacji. Tajna kwatery znajdowała się na przedmieściach miasta przy ul. Wręczyckiej w altanie mieszczącej się w głębi dużego ogrodu. W tejże altanie i na pobliskim cmentarzu św. Rocha odbywały się nocne spotkania konspiracyjne. Jeśli była taka konieczność, „Ewunia” wyjeżdżała ze swoim dowódcą.

Hanna Krall w swojej książce „Biała Maria” wydanej w 2013 roku tak opisuje scenę aresztowania Haliny Pikulskiej „Ewuni” i Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca” w dniu 27 czerwca 1946 roku.

„Wieczór był, czerwcowy, upalny. Gospodarze otworzyli okna i drzwi, Halina poprosiła o ciepłą wodę. Nalatała do miski, Warszyca ściągnął zakurzone oficerki i tak ich zastali ubecy. Warszyca moczącego nogi i Halinę z ręcznikiem. Nie musieli strzelać ani włamywać się, normalnie weszli, przez drzwi otwarte na oścież.

Chyba bali się, bo zaczęli wrzeszczeć, wymachiwać rewolwerami, aż Warszyca musiał ich uspokajać. Panowie, mówił, po co ten krzyk, nogi muszą wytrzeć.

Opanowany był. Mało mówił, rzadko uśmiechał się, wódki nie pił, powściągliwy do wszystkich. Z wyjątkiem łączniczki Haliny. Do niej śmiał się i mówił, a ona w niego jak w obraz, wspominał krawiec Włodarczyk, no dosłownie.”

Halina została przewieziona do aresztu WUBP w Łodzi przy ulicy Anstadta 7. Tam – mimo zaawansowanej ciąży – poddawana była wielogodzinnym przesłuchaniom. Jeszcze przed rozprawą, 31 października 1946 r. przeniesiono ją do innego łódzkiego więzienia – do więzienia dla kobiet przy Gdańskiej 13. Po miesiącu odbył się zbiorowy proces żołnierzy KWP. Halinę Pikulską skazano na 10 lat pozbawienia wolności, ponieważ uznano ją za osobę wtajemniczoną w sprawy ważne dla organizacji.

Halina Pikulska przebywała za kratami aż do dnia 18 stycznia, kiedy to przewieziono ją do szpitala położniczego przy ul. Sterlinga, gdzie urodziła syna i dała mu imię po swoim ojcu-Tadeusz. 5 lutego z niemowlęciem powróciła do swojej celi. Nie wiemy, czy udało jej się powiadomić Warszycę o narodzinach syna. Stanisław Sojczyński „Warszyc” został rozstrzelany 19 lutego 1947 roku, trzy dni przed ogłoszeniem amnestii.

Ojciec Haliny z niemałym trudem zdołał wydostać małego Tadeusza z więzienia.

W ten sposób uchronił wnuka przed sierocińcem. Tadeusz Pikulski próbował również pomóc Halinie, napisał wzruszający list do prezydenta Bieruta, w którym prosił o ulaskawienie córki. List pozostał bez odzewu.

Na mocy amnestii „lutowej” WSR (Wojewódzki Sąd Rejonowy) w Łodzi zmniejszył „Ewuni” karę do 5 lat. Z więzienia przy Gdańskiej w Łodzi została przewieziona do Fordonu koło Bydgoszczy, gdzie odsiedziała resztę wyroku.

Halina Pikulska tak opowiadała Krystynie Jandzie o swoim pobycie w jednoosobowej celi, kiedy aktorka przygotowywała się do roli w filmie „Przesłuchanie”: *„Kiedy człowiek jest sam, opowiadała, to w końcu przestaje wiedzieć, czy myśli, czy mówi na głos. I człowiek boi się, że mu się zdaje, że myśli, a tymczasem mówi i wyjawia tajemnice. Albo na odwrót, człowiek wie, że myśli, ale boi się, że oni te myśli usłyszą. Na wszelki wypadek człowiek nazywa. Głównie to, co widzi, co go otacza. I mówi: podłoga – krata – żarówka – prycza – kibel – żarówka... Krata – żarówka – podłoga... I człowiek uspokaja się, bo jak nawet coś na głos powie, to co powie? Podłoga – żarówka – kibel – krata – podłoga...”* (fragment z książki Hanny Krall „Biała Maria” wydanej w 2013 r.).

Wyszła na wolność 1 lipca 1951 roku. Przyjechała do Zalesia Górnego, gdzie już mieszkali jej rodzice i synek Tadeusz.

„Pikulscy kupili duży, piętrowy, drewniany dom na ul. Piaseczyńskiej. Dziadek przywiózł Tadzia do Zalesia, gdy chłopiec miał 2 latka. Chodził tu do przedszkola, później do szkoły. Kiedy Halina wróciła, wszyscy mieszkali tu na Piaseczyńskiej. Pamiętam, jak pierwszy raz ją zobaczyłam – wspomina jej znajoma z Zalesia. Szła z rodzicami i synem w niedzielę do kościoła. Była ślicznie ubrana. Trzymała Tadzia za rączkę. Miał wtedy jakieś 4 lata. Na głowie miał zabawną kolorową czapkę z dzwoneczkami. Niedługo potem Pikulscy kupili od państwa Borkiewiczów dla córki działkę na Poranku i zaczęli budować dom.”

W Zalesiu Halina poznała Wacława Wesołowskiego i wyszła za niego za mąż. Razem dokończyli budowę swojego parterowego domu. W listopadzie 1953 roku urodził im się syn Krzysztof, przyrodni brat Tadeusza.

Nowe życie, które Halina budowała z mężem, całkiem zwyczajnie, dawało jej stabilizację i poczucie bezpieczeństwa. Nareszcie miała swój własny dom, duży ogród pełen owocowych drzew i kwiatów, kilka kur. Czegoś jednak brakowało. Mimo wysiłków, nie udało się jej w pełni scalić rodziny. Pierworodny syn, Tadeusz nie lubił ojczyzna, więc wolał mieszkać u dziadków. Podobne podejście mieli rodzice Haliny, zwłaszcza jej matka Alfreda. Uważali, że Wacek, człowiek z niejasną przeszłością, który imal się po wojnie różnych zajęć, by zarobić na życie, nie zasługiwał na ich córkę. A ona pomimo to starała się iść własną drogą nie zważając na ich niechęć do zięcia. Prowadziła dom, pracowała, udzielała się społecznie.



Halina Wesołowska (zdjęcie z archiwum rodzinnego).

Halina Wesołowska była dobrą matką dla Krzysztofa, ale starała się też być blisko Tadeusza, na ile to było możliwe. Chroniła go, nie dając mu nazwiska biologicznego ojca. Żołnierze Konspiracyjnego Wojska Polskiego, do których należał „Warszyc”, byli w tamtych latach zwalczani przez władze komunistyczne. Takie pochodzenie mogło Tadeuszowi zaszkodzić w karierze zawodowej.

Po powrocie z więzienia zatrudniła się w urzędzie gminy Zalesia Górnego, mieszczącym się przy ulicy Wiekowej Sosny. Była sekretarzem, a do jej obowiązków służbowych należało między innymi udzielanie ślubów.

Po reorganizacji, gdy ustanowiono jeden urząd gminny w Piasecznie, znalazła pracę w Warszawie. Pracowała jakiś czas w Centralnym Domu Towarowym, gdzie parzyła kawę, potem dawni koledzy z konspiracji załatwili jej pracę w archiwum tygodnika „Stolica”.

Sąsiedzi w Zalesiu lubili ją za szczerość, otwartość i rzadko spotykaną życzliwość. I nie tylko sąsiedzi. Synowa również szanowała ją i opiekowała się swoją chorą teściową do końca. „Pomogła wielu ludziom – wspomina. – Pewnej niezaradnej matce pomogła umieścić dziecko w przedszkolu, albo krawcowej dostać deputat na węgiel. Ta ostatnia do tej pory czasem zanoszi kwiatki na jej grób”.

Zalesiańska koleżanka i sąsiadka tak opowiadała o niej:

„Halina była cudowną kobietą – wesolą, pomocną. Widzieliśmy się codziennie. Odwiedzaliśmy Halinę i Wacka. Halina przychodziła do mnie. Kolegowałyśmy się we cztery – ja, Wieniawska, Maryśka Dąbrowska i Halina. Wtedy w Zalesiu ludzie byli bliżej siebie, pomagali sobie, pożyczali.... Wynikały z tego czasem zabawne sytuacje.”

Mieszkał tutaj w Zalesiu Tadzio Makuch, co to pani Tokarska pisze o nim w swojej książce, używając słowa Murarz. Tadzio nigdy murażem nie był, tylko kupił sobie dyplom technika na bazarze Różyckiego. Namawiał też do tego Wacka Wesołowskiego, ale Halina nie pozwoliła.

Tenże Makuch pod koniec życia już murarki nie uprawiał, a robił kreggi do studni. Kiedyś spodziewał się nalotu dwóch klientów, którym sprzedał te same kreggi. A nie zamierzał żadnemu ich oddać. Postanowił kreggi schować i zawiózł je do Haliny. Tymczasem jeden z oszukanych był jej kolegą i dzięki temu kreggi odzyskał. Kiedy Makuch zgłosił się po swoje rzeczy, Halina go pogoniła. Taka była. Uczciwa i szczerą. Wspomniała jako sąsiadka i koleżanka.

Kiedy moja matka leżała w szpitalu na Wawelskiej, zachciało jej się śledzia. Halina się o tym dowiedziała, poszła do Victorii, bo pracowała w pobliżu, kupiła dzwonko i na Wawelską mojej mamie przywiozła. Taka była Halina.

O swojej przeszłości nie opowiadała, ale wiedziałyśmy o jej losach od jej matki, pani Alfredy Pikulskiej i od Rysia, jej brata. Czasem odwiedzali ją koledzy z konspiracji. Snuli wspomnienia, a jak trochę wypili, śpiewali partyzanckie pieśni².

Co czuła Halina, gdy wracały wspomnienia? Czy była przekonana, że dokonała słuszných wyborów? A może – kiedy ten mroczny okres życia miała za sobą – nie rozpamiętywała już zdarzeń z przeszłości.

Ona i jej współtowarzysze tak bardzo wierzyli w swoje ideały, w misję wyzwolenia ojczyzny spod władzy nowego politycznego okupanta, że gotowi byli oddać za nie swoje życie. Wielu z nich zginęło, wielu zgnilo w więzieniach.

Halina wycierpiała wiele. Zabrano jej pięć lat wolności. Człowieka, którego kochała i któremu urodziła syna, stracono. Została aresztowana, gdy była w ciąży, a synka urodziła w więzieniu. Jakże okrutnie samotne było to macierzyństwo! I ten wieczny lęk, że zabiorą jej maleństwo do domu dziecka i prześladowająca obawa, czy kiedyś je odzyska? Na szczęście dziadek ocalił chłopca. To wielka pociecha, ale nie było jej przy synku, gdy stawiał pierwsze kroki i gdy uczył się pierwszych słów.



Halina Wesółowska (zdjęcie z archiwum rodzinnego).

Halina jako bardzo młoda kobieta przeżyła wiele – walkę z okupantem, antykomunistyczną działalność konspiracyjną, namiętną miłość i rozpacz rozłąki na zawsze, wieloletnie więzienie, dramat matki rozdzielonej z synem. Po tym wszystkim znalazła siłę, by żyć, stać się po prostu żoną, matką, wyjątkowo czynną kobietą z sąsiedztwa.

Takie historie powinny być odnajdywane, a kiedy już zostaną odnalezione, powinny być opowiedziane, bo są to losy ludzi zwykłych i niezwykłych zarazem.

Elżbieta Nowińska

Zalesiańskie dróżki – moja dróżka do pociągu

Zaspani, najczęściej z pajdą chleba w rękę.

Biegło się do stacji kolejowej na pociąg, który odchodził z Zalesia Górnego do Warszawy o godzinie 6:13. Następną godziną odjazdu pociągu – 12:13. Czasu mało – pociąg nie czeka. No to biegiem, aby do dróżki. Dróżka przecinała, obecnie zamieszkała, działki, pierwsza pana Sęka, i do górki. Wpadało się na obecne działki Jana Rymara, a wtedy na jednej z nich mieszkał Franio Trojanowski z matką i dziadkiem. Byli Żydami i przeżyli całą okupację przez nikogo nie niepokojeni. Franio okazał się wielkim niewdzięcznikiem, bo wstąpił do ORMO¹.

Leciało się dalej pod górkę, wypadalo się koło „Siwej Willi” i na skrót do ulicy Wiekowej Sosny. Już się było na Wiekowej Sosny. Kochana dróżka, aby dalej, przez obecną na działkę pana Stankiewicza.

Wpadało się na Młodych Wilcząt i prościutko kawalkiem przez las, aby do dębu, który stoi do dziś dnia.

Jeszcze 50 metrów. Pociąg. Otwieramy drzwi wpuszczamy pana Kalinowskiego².

Wita nas okrzyk: Uwaga wsiadają „sercowi”, pamiętajcie „młodzi”. To wołają pasażerowie, żeby zgasić papierosy i nie palić w tym wagonie.

Pociąg jechał ze stacji Radom – Strzeżyna – Warka – Czachówek – Zalesie Górne – Piaseczno – Okęcie – Warszawa. Dziesiątki zaspanych, niedomytych ludzi, najczęściej w drelichach i waciakach – na nogach drewniaki lub gumowce. Nie było mydła – była szara glinka do mycia, teraz można ją zobaczyć w Muzeum Brudu w Bydgoszczy.

Z Okęcia pociąg skręcał w stronę lotniska. Między fortami a ogródkami działkowymi, przez Odolany do Warszawy Zachodniej. Obecna trasa została oddana do użytku w latach pięćdziesiątych. Budowały ją Hufce Pracy. Nareszcie Dworzec Główny, niezadaszony. Zadaszenie zrobiono kiedy do Warszawy przyjechał przedstawiciel

dalekiej Azji, który bał się latać samolotami. Jechał pociągiem tysiące kilometrów. Widziałam ten moment przyjazdu z peronu, z którego odjeżdżało się do domu. Pamiętacie jak stolica wyległa na ulice, by witać „generalissimusa” – chyba to był przywódca Wietnamu.

Teraz „opancerzone” limuzyny, ochrona, wtedy można było „takiego kogoś ważnego” dotknąć. Tysiące ludzi wzdłuż trasy przejazdu do Belwederu. Co tam praca, produkcja, odbudowa Warszawy, odgruzowywanie. Wiwatom nie było końca. Nawet ruskie – stali na wiadukcie łączącym Żelazną z Alejami Jerozolimskimi. To był czas, kiedy zlikwidowano dworzec autobusowy, zaczęto budowę „pałacu Stalina”³. Ruskie mieszkali przy Żelaznej, w drewnianych parterowych barakach.

Ulica Towarowa, a przy niej stała maleńka budka z gazetami, papierosami. Mężczyźni kupowali sporty⁴ na sztuki. Dalej zaczęto budowę Domu Słowa Polskiego. „Trybuna Ludu” donosiła: „Polska ma najnowocześniejsze maszyny drukarskie”. A skąd? Sprawa prosta – zabrano zakonnikom z Niepokalanowa.

Koniec Towarowej – po prawej stronie stacja benzynowa i już trasa W-Z. Okopowa... po prawej ulice Kacza, Gęsia, dalej RSW⁵ Prasa, po lewej kirkut⁶, furtka otwarta. Mała stróżówka, w niej pan bardzo wyrozumiały dla wagarowiczów. Dalej moja szkoła, na której ani śladu wojny: boisko i dalej technikum optyczne. Cmentarz Powązkowski to lewa strona. Prawa, za RSW: ruiny, gruzy, żadnego domu, aż do Pawiaka, tylko gruzy. Gdziekolwiek wejście do piwnic – to ruiny getta, tam chodziliśmy na wagary.

Pamiętam Stasia Kopytowskiego, który nie bywał na lekcjach śpiewu, penetrował piwnice i w jednej z nich natknął się na ludzkie szczątki. Błady, nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Na tym kończę swoją dróżkę do pociągu i drogę do szkoły. To są wspomnienia z początku lat pięćdziesiątych.

Teresa Pluta

¹ Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej działała w latach 1946-1989.

² Pan Kalinowski był ofiarą przerażających eksperymentów pseudomedycznych doktora Mengele w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu.

³ Pałac Kultury i Nauki

⁴ popularne papierosy bez filtra

⁵ Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza Prasa-Książka-Ruch

⁶ cmentarz żydowski

Jak powstało Zalesie Górne

Pamiętam dokładnie, kiedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że Zalesie jest w nieznanym mi sposób podzielone. Było to prawdopodobnie w roku 2010, może trochę wcześniej. Spędzałam urlop w Zalesiu i miałam załatwić w Warszawie sprawę mojego taty. Wymagało to podania kontaktu do taty, więc panu, który mnie obsługiwał, podałam adres w Zalesiu Górnym. W tym momencie jego współpracownica zwróciła się do niego mówiąc „To tam, gdzie ty mieszkasz”. Na co on: – „Nie, to jest komunistyczna część Zalesia”.

Zamurowało mnie, ale nie dałam tego po sobie poznać. Oczywiście zorientowałam się, że ten pan mieszka w starszej części Zalesia, a tych, którzy mieszkają po drugiej stronie torów, traktuje jak nieswoich. Ten mentalny podział zdumiał mnie i trochę rozbawił, zważywszy czasy w jakich to się działo. Ale ziarno ciekawości zakiełkowało i zaczęłam się zastanawiać czy wielu mieszkańców Zalesia myśli tak jak ten człowiek. Zaczęłam więc przemyślać o mentalnych i fizycznych podziałach naszej wsi. Początkowo, nie znając historii Zalesia, byłam przekonana, że jest to podział na dwie części, a elementem je rozdzielającym są tory kolejowe. Okazało się jednak, że jest to bardziej skomplikowane. O tym poniżej.

Działka moich rodziców leży po wschodniej stronie torów. Przez wiele lat byłam przekonana, że ta część Zalesia jest jednolicie zamieszkała przez ludzi, którzy albo kupili działki w tym samym okresie co moi rodzice lub są ich potomkami. I że wszystkie działki mają podobną powierzchnię. Moje przekonanie wynikało z tego, że nie zapuszczałam się zbyt daleko od posesji rodziców. Najczęściej pokonywałam trasę ze stacji kolejowej do działki przy Jesionowej i z powrotem. Dopiero po jakimś czasie, zapuszczając się w inne rejony, uświadomiłam sobie, że niektóre działki wschodniej części Zalesia są znacznie większe od naszej. Na niektórych stoją domy wybudowane znacznie wcześniej niż w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Okazało się, że wschodnia część Zalesia to zarówno Osiedle Leśnik (najmłodsza część naszej miejscowości) oraz wschodnia część Zalesia Wyżyny. Oto kilka słów o nich i ich historii.

Osiedle Leśnik, zajmujące obszar na południe od Drogi Wojewódzkiej i ograniczone ulicami Spacerową oraz Sinych Mgieł, a od wschodu Lasami Chojnowskimi, powstało w latach sześćdziesiątych XX wieku. Wtedy to Ministerstwo Leśnictwa przekazało ten obszar na osiedle robotnicze. Teren podzielono na działki o powierzchni około tysiąca metrów kwadratowych, które przydzielało Ministerstwo. Kupujący brali pożyczkę w banku na 30 lat, zobowiązując się do zamieszkania na terenie posesji, w wybudowanym domu, w ciągu dwóch lat. Chodziły słuchy, że część działek Ministerstwo Leśnictwa oddało za darmo swoim emerytowanym pracownikom. Nawet w prasie ukazało się ogłoszenie o możliwości nabycia działek.

Każdy właściciel działki był zobowiązany do zachowania większości terenu jako obszaru leśnego. Dlatego większość działek Osiedla Leśnik to działki ze znacznym obszarem leśnym, ich właściciele płacą podatek od leśnych gruntów, a zgodę na wycięcie drzew często wydaje Nadleśnictwo Chojnów. Mimo założenia, że powstanie tu osiedle robotnicze, działki zostały przydzielone tylko dwóm robotnikom; wiele z nich zostało kupionych przez ludzi związanych z ówczesną władzą lub pracowników administracji państwowej. Stąd też przez długi czas mówiono o tym osiedlu, że jest to partyjna (komunistyczna) część Zalesia, używając nawet sformułowania „czerwona burżuazja” na określenie

ich właścicieli. Szacuje się, że około 40% oryginalnych właścicieli osiedla sprzedało swe działki na rynku wtórnym w ciągu dwóch lat od ich nabycia.

W pierwszych latach istnienia osiedla na większości działek zostały wybudowane bądź postawione różnego rodzaju domki letnie. Całorocznych domów było niewiele i osiedle wyludniało się po okresie wakacyjnym. Letnie domki stoją do dzisiaj na wielu działkach. Niektóre mają się dobrze i są regularnie odwiedzane, inne zostały zapomniane. Z upływem lat coraz więcej osób decydowało się tu zamieszkać na stałe; osiedle stało się bardziej bezpieczne i przyjazne. Wielu mieszkańców wreszcie miało sąsiadów i nie czuło się tak samotnie jak poprzednio. Zmieniła się infrastruktura. W latach 80-tych i 90-tych ubiegłego wieku działki zostały podłączone do sieci wodociągowej, a później do kanalizacji. Większość ulic została oświetlona, na kilku zainstalowano niedawno nowe latarnie. Jesionowa po wielu latach doczekała się chodnika, wiele ulic zostało wyasfaltowanych, co wprawdzie nie wszystkim odpowiada, ale przynajmniej mieszkańcy nie muszą grzęznąć w błocie przez wiele miesięcy w roku. Straciliśmy jedyny sklep w tej części Zalesia, co najbardziej odczuwają osoby nie mające samochodu i nie poruszające się rowerem. W zamian mamy restaurację, z której jesteśmy dumni i do której możemy wybrać się piechotą. To nie wszystkie zmiany jakie nastąpiły na naszym osiedlu. Najważniejszą jest z pewnością to, że większość działek jest zamieszkała i że społeczny przekrój mieszkańców jest teraz bardzo zróżnicowany.

Zalesie Wyżyny

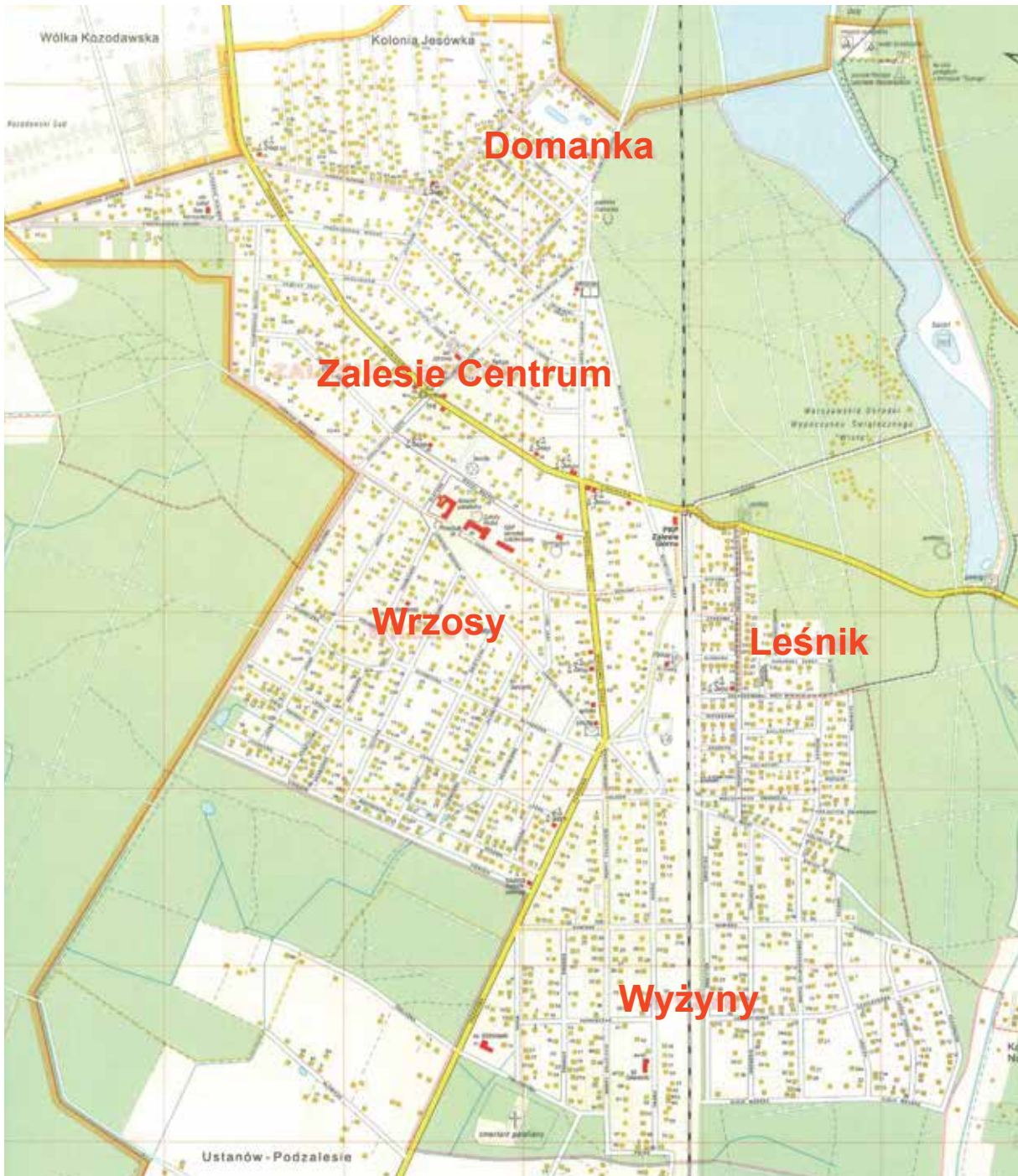
Na południe od Osiedla Leśnik rozciąga się część Zalesia zwana Wyżynami, znacznie starsza od Leśnika. Wyżyny leżą po obu stronach torów kolejowych i były zasiedlane od 1934 roku. Granice wschodniej części Wyżyn wyznaczają ulice: Sinych Mgieł, Kaczeńców, Wzgórz oraz tory kolejowe. Po zachodniej stronie torów ulice: Parkowa na zachodzie, granica gminy Piaseczno na południu oraz Zalesie Centrum na północy.

Ziemie te przed II wojną światową należały do Wacława Szymborskiego, właściciela majątku Ustanów. Wacław Szymborski kupił majątek od Bolesława Potockiego, syna Konstantego, który posiadał te dobra od 1884 roku. Majątek Ustanów był zadłużony w Towarzystwie Kredytowym Ziemijskim i w 1934 roku Szymborski wydzielił jego część pod parcelację Zalesia Wyżyny. Sprzedażą tych parceli zajmowały się dzieci pana Szymborskiego. Wprawdzie majątek Ustanów należał do gminy Wągrowo¹ w powiecie grójeckim, ale Zalesie Wyżyny zostało przyłączone do gminy Jazgarzew, w tym samym powiecie.

We wschodniej części Wyżyn do 1945 roku było tylko kilka domów, głównie wzdłuż ulicy Kolejowej. Właściciele działek najprawdopodobniej kupili je od inżyniera Witkowskiego, który był właścicielem części terenów wschodnich Wyżyn. Dom pana Witkowskiego, już nieistniejący, stał na działce na rogu ulic Kolejowej i Sinych Mgieł.

W części Wyżyn leżącej po zachodniej stronie torów wiele działek zostało wykupionych w latach 30. XX wieku, znacznie więcej niż po stronie wschodniej. Przed rokiem 1939 na wielu z nich stały już domy; większość z nich była domkami letnimi, ale były też domy całoroczne. Stały głównie przy ulicach Pięknej i Wiekowej Sosny (obecnie Złocistych Łanów). Bardzo interesująco i ze szczegółami opisała tę część Zalesia pani Barbara Pieślak-Szejner

¹ <https://isap.sejm.gov.pl/isap.nsf/download.xsp/WMP19332690294/O/M19330294.pdf> (dostęp: 15.08.2022)



Mapę wykonała Agnieszka Wędrychowska, mapa z 1998 r.

w swoich wspomnieniach opublikowanych w książce „Zalesie Górne 1930-2000” (strony 47-53). Są tam wymienione nazwiska wielu mieszkańców i rodzin zamieszkujących Wyżyny zarówno przed 1939 rokiem, jak i podczas okupacji oraz krótko po wojnie. Pani Barbara wspomina domy, w jakich mieszkali, łącznie z adresami, koligacje rodzinne oraz losy niektórych mieszkańców i ich profesje. To z pewnością ciekawa lektura dla obecnych mieszkańców tej części Zalesia.

Ale Leśnik i Wyżyny to oczywiście nie całe Zalesie. Robiąc w naszej wsi zakupy, wizytując ośrodek zdrowia lub aptekę czy też idąc do kościoła, jesteśmy w Zalesiu Górnym Centrum.

Zalesie Centrum

Jest to z pewnością najlepiej opisana i znana część naszej wsi, powstała w 1930 roku.

Jest usytuowane w granicach ulic: Młodych Wilcząt (dawniej Droga Wilcząt), Leśnych Boginek (dawniej Droga Leśnych

Boginek), Promiennego Słońca, Przebudzenia Wiosny i Drogi Dzików. Inicjatorem powstania Zalesia Górnego był Jan Witold Wisłocki (1876–1951). Miłośnik przyrody i zwolennik kontaktu z nią miał ideę, by zamożni mieszkańcy Warszawy odpoczywali na łonie natury, w niedalekiej odległości od stolicy. Postanowił założyć na terenie obecnego Zalesia Górnego osiedle, w którym majątni mieszkańcy Warszawy mogliby odpoczywać w czasie wolnym od pracy, głównie w okresie letnim. Ponieważ sam nie dysponował majątkiem pozwalającym na zakup ziemi na podwarszawskie osiedle, przekonał do inwestycji Jana Racięckiego, właściciela dóbr ziemskich w tej okolicy.

Jan Racięcki, świadom planów budowy linii kolejowej Warszawa – Radom, która miała przebiegać w okolicach Jazgarzewa, kupił od hrabiów Potockich ziemię w tym rejonie. Wisłocki, inicjator powstania osiedla Zalesie Górne, został plenipotentem Jana Racięckiego i rozpoczął realizację przedsięwzięcia. Zabiegał u władz powiatowych i wojewódzkich o zgodę na powstanie osiedla na tym

terenie, a gdy ją uzyskał, zajął się przygotowaniem planu parcelacji. Plan został sporządzony w 1930 roku – to rok powstania Zalesia Górnego. Jan Wisłocki zajmował się wytyczaniem granic osiedla i indywidualnych działek, informowaniem mieszkańców Warszawy o powstającym osiedlu, sprzedażą działek, pomocą w uzyskiwaniu kredytów na ich zakup oraz organizowaniem wszystkiego, co było konieczne do zrealizowania jego wizji osiedla. Zasluga jego i innych członków Stowarzyszenia Przyjaciół Zalesia Górnego było też wybudowanie budynku stacji kolejowej w naszej miejscowości, co było warunkiem zmiany planu przebiegu linii Warszawa-Radom i dalej do Krakowa. Tę inwestycję również finansował Jan Racięcki. Trzeba tu nadmienić, że w oryginalnym planie budowy kolei najbliższa Zalesiu stacja była planowana w Łbiskach.

Zalesie Górne wyróżnia się na tle innych podwarszawskich miejscowości, powstających w latach międzywojennych, poszanowaniem przyrody, zachowaniem leśnego charakteru osiedla, planową rozbudową i ogromnym zaangażowaniem jego mieszkańców w życie tej miejscowości. Właściciele działek byli w czasie zakupu posiadłości zobowiązani do niewycinania lasu ponad to, co było konieczne do postawienia domu. Bardzo ważną rolę w planowaniu i wprowadzaniu w życie planu zabudowy tej części naszej wsi miało istniejące od 1934 Stowarzyszenie Przyjaciół Zalesia Górnego. Członkowie Stowarzyszenia, którymi byli wszyscy właściciele działek, bardzo aktywnie angażowali się w powstanie i rozbudowę osiedla. Ich działalność i społeczna aktywność doprowadziły między innymi do wybudowania budynku stacji kolejowej oraz kościoła pod wezwaniem św. Huberta, doprowadzenia prądu elektrycznego oraz połączenia telefonicznego, utworzenia agencji pocztowej oraz stanowiska sołtysa. W ich gestii był dozór nad mieniem właścicieli działek, praktyczne wykorzystanie terenów użyteczności publicznej oraz doradztwo dla budujących się mieszkańców. Stowarzyszenie nabyło też od Jana Racięckiego drogi i place użyteczności publicznej na terenie Zalesia Górnego. Pierwszym prezesem Stowarzyszenia był Jan Witold Wisłocki.

Oczywiście Zalesie Centrum ogromnie zmieniło się od czasów powstania osiedla. Myślę, że sam Wisłocki i pierwsi mieszkańcy nie poznaliby miejscowości, którą stworzyli. Nie ma już leśnych dróg, które często były nieprzejezdne. Jest ośrodek zdrowia, szkoła, biblioteka, dużo sklepów, a przede wszystkim prawie wszystkie działki są zamieszkałe, a domy na nich – całoroczne. Wieś tętni życiem i przyciąga nowych mieszkańców; Zalesie Górne jest wymarzonym miejscem zamieszkania dla wielu ludzi. A jednocześnie nie straciło leśnego charakteru, czym się wyróżnia wśród wielu podwarszawskich miejscowości.

Kilka lat po zdarzeniu opisanym na wstępie tego artykułu usłyszałam od innego mieszkańca Zalesia, że wychował się na Domance. Po raz pierwszy usłyszałam słowo „Domanka” i oczywiście poprosiłam o wyjaśnienie. Nie mieszkałam wtedy w Zalesiu, stąd moja ignorancja. Ale istnienie części Zalesia zwanej Domanką zaciekało mnie i zafascynowało. Wprawdzie mój rozmówca po bieżnie wytłumaczył mi, gdzie znajduje się owa Domanka, ale tak naprawdę umiejscowiłam ją w Zalesiu dopiero, gdy zamieszkałam tu na stałe. Wtedy też poznałam inne osoby, które mieszkają „na Domance”, są z tego dumne i noszą to miejsce w sercu. Nie dziwię się temu, bo wyglądem bardzo różni się ona od innych części Zalesia. Wiosną w przydomowych ogrodach przepięknie kwitną magnolie. Latem i jesienią drzewa i krzewy są obsypane owocami. Wiele domów, stojących pośród dobrze zadbanych ogrodów, jest parterowych i niezbyt dużych. Czuje się typową wiejską atmosferę, gdzie ludzie znają się od dawna i mieszkają w domach wybudowanych przez ich rodziców lub dziadków. Wcale się więc nie dziwię, że wielu mieszkańców tej części Zalesia w dalszym ciągu z dumą mówi, że mieszka „na Domance”.

Domanka

Domanka, występująca też w źródłach historycznych jako Dumanka, jest najstarszą częścią Zalesia Górnego, do którego została włączona w latach 70-tych XX wieku. Mieści się ona w granicach ulic: Droga Dzików, Graniczna, Malinowa i Koraliowych Dębów. Nazwa Domanka pojawiła się w zapisach już w pierwszej połowie XIX wieku i prawdopodobnie pochodzi od nazwiska Wincentego Domańskiego, właściciela tych ziem. Dzieje Domanki na przestrzeni lat są opisane w książce „Zalesie Górne 1930-2000” oraz w artykule Jolanty Jarosz-Hryniewicz zamieszczonym w czwartej edycji Historii Odnalesionych. Wiadomo, że Domanka przechodziła okresy „wzlotów i upadków”. Liczba rodzin zamieszkujących tę wieś rosła lub malała w zależności od koniunktury gospodarczej. Mieszkańcy Domanki pracowali na roli, w lesie, byli też wśród nich rzemieślnicy. Po 1930 roku, gdy powstawało Zalesie Górne, wielu mieszkańców Domanki znalazło zatrudnienie przy budowie nowego osiedla i powstających w nim domów. Mimo że oba rejony graniczyły ze sobą, istniał wyraźny podział ich mieszkańców. Nie było między nimi kontaktów towarzyskich, a dzieci z Domanki nie bawiły się z dziećmi mieszkańców Zalesia Górnego. Ta cezura istniała dość długo, a może w świadomości niektórych osób istnieje do dziś. Myślę, że z czasem to się zmieni. Domanka jest uroczym miejscem, a moi znajomi mieszkający tam, są bardzo dumni z tego, że są „z Domanki”.

Niedawno wybrałam się z córką na przejażdżkę rowerową po Domance. Miejsce jest doprawdy urocze. Co najbardziej rzuca się w oczy to brak leśnego charakteru i typowych dla Zalesia sosen i dębów. Wokół domów przeważają ogrody albo z drzewami i krzewami owocowymi lub z rabatami kwiatowymi i ozdobnymi krzewami. Cieszą oko stare drzewa owocowe odmian, których już nie spotka się w sadach. Są tu domy pamiętające czasy przedwojenne, stojące na niedużych działkach, jak również nowe okazałe domy stojące na dużym terenie. Nie jest to z pewnością Domanka lat przedwojennych i wczesnych powojennych, gdy mieszkańcy nie posiadali wiele, domy były nieduże i mieszkało w nich wiele osób i pokoleń. Nie jest to Domanka dzieciństwa Joli Jarosz-Hryniewicz, opisana przez nią w wywiadzie Niny Wierzbińskiej w trzeciej edycji Historii Odnalesionych. Ale z pewnością jest w dalszym ciągu miejscem kochanym przez wielu, mającym długą historię i swoistą kulturę. Jest inna niż pozostałe części Zalesia i ma swoją specyfikę.

Zalesie Wrzosey

Zalesie Wrzosey jest obecnie ograniczone ulicami: Akacją, Leśnych Boginek, Parkową oraz Cienistą. Przed wojną nie było ulic Rydzów i Cienistej; Zalesie Wrzosey na południu kończyło się na ulicy Leśnej. Pierwszym, który osiadł na tym terenie był Julian Walecki.



Julian Walecki.
Zdjęcie z archiwum rodzinnego.

Julian był najstarszym synem Ignacego Waleckiego i Marii (z domu Kulesza); rodzina pochodziła z okolic Łomży. Ojciec Juliana, najstarszy z trzech braci, opiekował się pozostałą dwójką rodzeństwa po śmierci rodziców. Młodszy bracia Ignacego Waleckiego zostali wcieleni do armii carskiej i po odbytej służby osiedlili się w Mandżurii. Stali się majątymi ludźmi i przysyłali starszemu bratu pieniądze, które to

Ignacy Walecki przekazał najstarszemu synowi na kupno ziemi i materialne zabezpieczenie rodzeństwa.

Julian, jako ułan, brał udział w wojnie z bolszewikami w 1920 roku i miłość do koni została mu do końca życia. W czasie wojny 1920 roku był adiutantem Józefa Piłsudskiego. W latach trzydziestych ożenił się ze Stefanią Słomczyńską; mieli czworo dzieci. W 1935 roku Julian Walecki kupił od swej ciotki, Zofii Potockiej, za pieniądze otrzymane od ojca, majątek w Zalesiu Górnym. Tak wspomina ten okres Juliusz M. Walecki, syn Juliana: *Majątek, który ojciec nazwał „Willa Ustanów-Ogończyk” posiadał tereny rolne i spore obszary zalesione. Rodzice wybudowali tam dom (dawniej ul. Leśna 1), który był często miejscem zgromadzeń rodzinnych. Była tam też wielka stodoła, obory, zwierzęta, konie, które Ojciec uwielbiał jeszcze z czasów ułańskich, gdy brał udział w wojnie z Rosją w 1920 r. Był też tam spory obszar rolny i bardzo duży sad.*



Dom rodziny Juliana Waleckiego przy ulicy Leśnej 1. Zdjęcie z archiwum rodzinnego.

Dom, który stał przy ulicy Leśnej 1, już nie istnieje. Był to niewielki drewniany dom stojący po południowej stronie ulicy Leśnej, przy obecnej ulicy Świetlanej. Za nim stały zabudowania gospodarcze, a po drugiej, wschodniej stronie ulicy Świetlanej rozciągał się ogromny sad. W tym czasie dom i gospodarstwo państwa Waleckich były jednymi z niewielu zabudowań na terenie obecnych Wrzosów. Po północnej stronie ulicy Leśnej miał posiadłość pan Hirszband (niestety nie znamy jego imienia). Na ulicy Tęczowej wybudował dom Włodzimierz Badmajew, znany lekarz, mający kontakty z ważnymi politykami II Rzeczypospolitej. Większość terenu Wrzosów była przed wojną porośnięta lasem.

Rodzina Juliana Waleckiego mieszkała w Warszawie, a dom przy ulicy Leśnej był miejscem letniego odpoczynku oraz spotkań rodzinnych. Na początku wojny państwo Waleccy stracili swój majątek w Warszawie i osiedli w Zalesiu. Julian został mianowany komendantem AK na terenie Zalesia Górnego i okolic. Był jednym z inicjatorów powstania konspiracyjnego szpitalika w Zalesiu. Na terenie jego majątku dokonywane były w czasie wojny rzuty broni, co miało konsekwencje po wejściu do Polski armii sowieckiej. Wspomina Juliusz M. Walecki: *Pod koniec wojny Rosjanie mieli „specjalne” plany na Ojca (w czasie wojny były rzuty broni na terenie majątku, Ojciec był komendantem w AK, etc.). Rosjanin „Wańka”, którego Ojciec przyjął z dobrej woli do pracy na gospodarstwie, okazał się szpiegiem sowieckim. Dzięki Bogu Ojciec się uratował, gdy przyszli po niego Rosjanie, ale po tych wydarzeniach Rodzice musieli jak najszybciej przenieść się do Łodzi.*

Jeszcze w czasie wojny państwo Waleccy zaczęli budować drugi dom w Zalesiu, w stylu góralskim, też przy ulicy Leśnej, choć później adres domu został zmieniony na ulicę Sosnową. Ten dom, który również był miejscem rodzinnych spotkań Waleckich, też już nie istnieje.

Rodzeństwo Juliana Waleckiego też było związane z Zalesiem. Przez wiele lat rodziny spotykały się w obu domach przy wielu okazjach, zarówno przed jak i po wojnie. Brat Zenon mieszkał w Zalesiu w czasie Powstania Warszawskiego i pracował jako chirurg w konspiracyjnym szpitaliku. Jedną z siostr Juliana była właścicielką posesji na rogu ulic Jasnej i Leśnych Boginek. Brat Franciszek, sędzia Trybunału Ubezpieczeń Społecznych, wybudował dom przy ulicy Jasnej 17. Dom ten stoi do dziś, choć zmienił właściciela. Brat Henryk, mieszkający w Warszawie profesor i wykładowca na Akademii Medycznej, przed wojną spędzał z rodziną wakacje w Zalesiu. Wynajmowali wtedy dom państwa Hirszbandów. W 1944 roku, w czasie Powstania Warszawskiego, rodzina Henryka zamieszkała w Zalesiu i przebywała tu do chwili, gdy mogła wrócić do Warszawy.

Najdłużej związał się z Zalesiem Mieczysław Walecki, który mieszkał tu od 1945 roku do swej śmierci w roku 1993. Po wyjeździe rodziny Juliana do Łodzi gospodarstwem zarządzał brat Mieczysław, który mieszkał tam z rodziną. Praktycznie ukrywał się na terenie Zalesia, gdyż jako przedwojenny zawodowy oficer Pułku Strzelców Kaniowskich oraz major AK w czasie okupacji był poszukiwany przez władze komunistyczne. Mieczysław ożenił się z mieszkanką Zalesia, Krystyną Oknińską, z którą miał dwoje dzieci – Marię i Piotra. Rodzina mieszkała przez kilka lat na terenie gospodarstwa Waleckich przy ulicy Leśnej, a potem, oczekując na własny dom, w domu pana Hirszbanda. Ich dom rodzinny stanął na rogu ulic Leśnych Boginek i Promiennej i przez wiele lat był miejscem towarzyskich spotkań Zalesian. Córka Maria mieszka obecnie z rodziną w Zalesiu kontynuując tradycje rodzinne.

Podział majątku Juliana Waleckiego rozpoczął się w latach trzydziestych ubiegłego wieku, ale przedwojennych mieszkańców Wrzosów było niewielu. Większość swej ziemi Julian Walecki rozparcelował po 1956 roku. W porozumieniu z Ministerstwem Komunikacji dokonał parcelacji na rzecz pracowników Ministerstwa i DOKP w Warszawie². Wtedy też prawdopodobnie osuszono teren na południe od ulicy Leśnej na którym powstały działki przy ulicach: Jagodowej, Księżycowej, Kwiatu Paproci, Borowików, Rydzów i Cienistej.

Zalesie Wrzosy, podobnie jak inne części naszej wsi, zmieniło w ciągu tych lat swój wygląd. Jest tu jeszcze kilkanaście domów pamiętających czasy przedwojenne, ale po wojnie powstało ich znacznie więcej. Działki, w zamierzeniach „ojców” Wrzosów, były duże, o powierzchni ponad 1500 m², ale widać, że część z nich została podzielona na mniejsze. Domy również, tak jak w całym Zalesiu, są i nowe, i starsze, duże i mniejsze, część działek została zapomniana. Ale jest tu sporo historii minionych lat, którą symbolizują między innymi stare drzewa owocowe, zerkające przez płoty na przechodniów. Piękna część naszej wsi.

Pracując nad tym artykułem nie tylko lepiej poznałam historię Zalesia Górnego, ale też zwiedziłam i poznałam całą wieś. Nie dziwię się, że tak wiele osób chce tutaj mieszkać, bo jest to unikatowe i urokliwe miejsce, w którym tak przyjemnie jest żyć.

Nie byłoby tego artykułu gdyby nie pomoc, rady oraz przekazane informacje i wspomnienia wielu osób, którym bardzo za to dziękuję. Są to: Barbara Byszko, Grażyna Kucharska, Teresa Pluta, Klaudyna Tatarska, Juliusz M. Walecki i Maria Wilczyńska z domu Walecka. Basi jestem ogromnie wdzięczna za udostępnienie mi książki „Zalesie Górne 1930-2000”.

Barbara Migaj

² Stanisław Berliński, Przystanek Zalesie, numer 3/2008.

Czy wiesz, że w Zalesiu Górnym był strajk szkolny?

Zalesie Górne powstało w 1930 roku. Polecali je urzędnicy Banku Gospodarstwa Krajowego jako urokliwe miejsce do spełnienia marzenia o własnym domu wśród leśnych drzew.

Do 1939 roku w Zalesiu było niewielu stałych mieszkańców. Wśród nowych nabywców działek tylko niektórzy budowali całoroczne domy. Jak opowiada pamiętająca te czasy jedna z mieszkańek, w naszej miejscowości do wojny były 34 domy z łazienkami. Znaczna większość budynków, to tzw. letniaki, które tętniły życiem jedynie podczas wakacji.

Rodziny, które mieszkaly na stałe posyłały swoje dzieci do czteroklasowej szkoły w Jazgarzewie. Część uczniów dojeżdżała do Piaseczna albo do Warszawy. Droga do szkół była dużym wyzwaniem, gdyż kursowały jedynie trzy pociągi na dobę, a do Jagarzewa można było dostać się tylko prywatnym pojazdem lub na piechotę. Taki stan wymuszał na rodzicach konieczność kształcenia dzieci w domach (informacja z wywiadu z Grażyną Brodą z domu Stapf – Archiwum Historii Mówionej).

Na działce przy zbiegu ulic Sarenki i Leśnych Boginek w latach trzydziestych wybudowano ośrodek szkoleniowo-wychowawczy warszawskiego Gimnazjum im. Narczyży Żmichowskiej. Był to drewniany budynek, który pełnił funkcję zielonej szkoły. Pamiętająca te czasy mieszkanka Domanki tak go wspomina: mieściła się w nim duża jadalnia z oknami wychodzącymi na ulicę Leśnych Boginek, sypialnia dla dziewcząt, kuchnia oraz pokój dozorczy Duszczyka. W jadalni stał piękny duży piec wyłożony łaką. Uczennice przyjeżdżały do Zalesia na miesiąc. Jeśli dziewcząt było więcej niż dostępnych łóżek, to wynajmowano dodatkowe pokoje w okolicznych domach. Na koniec swojego pobytu, uczennice przygotowywały spektakle i skecze. Prezentowały je zaproszonym, wśród których były dzieci z Zalesia, Domanki i innych okolicznych miejscowości. Uczennice odnosiły się do wiejskich dzieci z życzliwością i traktowały je jak prawdziwych gości. Najpierw, o godzinie 18.00, w jadalni podawano podwieczorek. Składał się najczęściej z pajdy chleba z masłem i sezonowych warzyw. Każde dziecko dostawało swój biały, fajansowy talerz i kubek z kompotem lub herbatą. Niektóre z nich po raz pierwszy jadły na oddzielnych „własnych” talerzach. Po podwieczorku zapraszano na przestawienie. Uczennice z każdego turnusu przygotowywały swój własny spektakl. Jednym z nich była „Balladyna”. Te spotkania były dla wielu dzieci jedynym kontaktem z kulturą.

W okresie okupacji budynkiem Gimnazjum Żmichowskiej dysponowali Niemcy. Po wyzwoleniu szkoła odzyskała go i po jego restauracji prowadziła w nim zajęcia sportowo-rekreacyjne dla dziewcząt. W 1954 roku budynek spłonął. Z relacji zalesian wynika, że wyglądało to dość dramatycznie: szkoła płonęła. Syreny wyły, uczennice ewakuowały się na bezpieczną odległość. Po krótkim czasie przyjechała straż pożarna. Woda w beczkowozach nie wystarczyła do ugaszenia pożaru i powstała groźba przeniesienia ognia na okoliczne drzewa. Sytuacja była dramatyczna. Jeden ze strażaków, w akcie desperacji, podpiął wąż do szamba. Ta decyzja, mimo nieprzyjemnych zapachowych konsekwencji, umożliwiła skuteczne ugaszenie pożaru i ocalenie zalesiańskiego lasu. „Gaśniczy zapach” unosił się przez wiele dni po okolicy.

W czasie okupacji liczba stałych mieszkańców w Zalesiu znacznie wzrosła. Z Warszawy przyjeżdżały rodziny pozbawione przez Niemców swoich mieszkań. Poza tym gościnnie w zalesiańskich domach znajdowali również ludzie potrzebujący schronienia

z innych części kraju. Było wśród nich wielu ludzi kultury i nauki. Pojawiła się potrzeba zorganizowania szkoły dla coraz liczniejszej grupy dzieci i młodzieży. Organizacją tajnych kompletów w Zalesiu zajęły się Janina Ezupowicz i jej siostra Irena Laskowska, które mieszkaly w domu przy ul. Czterech Wiatrów (dzisiaj jest tam szkoła Eureka). Poza nimi w tajne nauczanie zaangażowani byli: Kamila Gruszczyńska (matematyczka), Jarzębowska (polonistka), Surmowa (historyczka). Przez kilka miesięcy tajne komplety prowadzone były w budynku letniej szkoły im. Żmichowskiej. Po zajęciu go przez Niemców lekcje zostały przeniesione do willi „Zalesianka” przy ul. Pionierów 33, której właścicielem był Witold Wisłocki (budynek ten istnieje do dzisiaj). Restrykcje, jakie groziły za tajne nauczanie, spowodowały, że zaczęto je organizować w prywatnych domach, m.in. w domu przy ul. Czterech Wiatrów, którego właścicielkami były Janina i Julian Ezupowiczowie oraz w domu państwa Heleny i Stanisława Mackiewiczów przy ul. Przebudzenia Wiosny.

W latach 30-tych XX wieku Bank Gospodarstwa Krajowego wybudował przy ul. Białej Brzozy 7 ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy. I to właśnie pracownicy tego banku byli pierwszymi właścicielami działek w Zalesiu. Budynek był luksusowo wyposażony. W czasie wojny został zajęty przez Niemców. Z opowieści Krystyny Waleckiej wynikało, że w ramach programu wyhodowania czystej rasy niemieckiej, okupant urządził w nim dom dla matek – Mutterheim. Po wycofaniu się Niemców, od wiosny do czerwca 1945 roku, budynek ten służył szkole podstawowej i gimnazjum. Starsi uczniowie zdawali maturę w tzw. Platerówce w Zalesiu Dolnym. W czasie tych kilku wiosennych miesięcy w szkole tej uczyli m.in.: Jarzębkowska – polonistka z Batorego, która przyjechała do Zalesia po Powstaniu Warszawskim, Janina Ezupowicz – matematyczka i inicjatorka założenia szkoły, prof. Stanisław Niewiadomski z Politechniki Warszawskiej – ojciec dr Jadwigi Meissner, Irena Laskowska – dyrektorka filii Platerówki w Zalesiu Dolnym.

Niestety dobry czas dla szkoły szybko się skończył. O budynek BGK upomniał się Narodowy Bank Polski. Trudno było znaleźć nowe lokum, więc uczniowie znowu zaczęli uczyć się w różnych dostępnych miejscach: w budynku Gimnazjum im. N. Żmichowskiej, w Zalesiance i w prywatnych domach – m.in. w domu Joanny Smoczyńskiej przy ul. Jałowcowej 1 (obecnie Dom Sercanek). Zajęcia odbywały się na poziomie szkoły podstawowej i gimnazjum. Nie trwało to jednak długo, bo już w 1946 roku władza cofnęła zgodę na prowadzenie szkoły. Inspektorat Szkolny w Grójcu zdecydował, że rejonową szkołą powszechną dla zalesiańskich dzieci będzie szkoła powszechna w Jazgarzewie, a dzieci w wieku gimnazjalnym miały chodzić do szkoły w Zalesiu Dolnym lub w Piasecznie. Było to duże utrudnienie, szczególnie dla dzieci z niższych klas. Dzięki staraniom rodziców, dla klasy pierwszej i drugiej zorganizowano zajęcia w domu sądziny Przybylskiej przy ul. Droga Dzików. Właścicielka domu udostępniła hol ze schodami na piętro. Schody te służyły uczniom jako miejsce do siedzenia. Z relacji Danuty Kroc wynika, że nauczycielką w szkole była Janina Ezupowicz. Inna uczennica tejże szkoły wspomina po latach, że nauczycielem był młody mężczyzna przysłany przez kuratorium w Grójcu, a Janina Ezupowicz była już w tym czasie dyrektorką technikum gastronomicznego w Bydgoszczy. Potwierdza to wspomnienie Zygmunta, syna Janiny Ezupowicz (Głos Zalesia Górnego nr 8/1996).

Uczniów w szkole ciągle przybywało. Problemem stał się brak odpowiedniego miejsca na naukę. Ponownie inicjatywę przejęli niezawodni rodzice. Dzięki ich interwencjom w Ministerstwie Oświaty, szkoła w Zalesiu została oficjalnie uznana w zakresie klas od I do V. Od września 1947 roku dzieci rozpoczęły naukę w murowanym, parterowym budynku przy ul. Promiennego Słońca 22 (tego budynku już nie ma). Budynek został udostępniony bezpłatnie przez jego właściciela, Bulińskiego. Szkoła zajmowała w nim dwie izby po 18 m² z dzielącym je korytarzem i kuchnią. Murowana toaleta była na zewnątrz. W jednej z sal dzieci uczyły się przy dwóch stołach ogrodowych podarowanych przez państwa Wislockich, w drugiej było 5 prawdziwych dwuosobowych ławek szkolnych. Klasy liczyły po 12–15 osób. W roku szkolnym 1948/49 została utworzona VI klasa. Do szkoły uczęszczało już 74 uczniów. Nauczycielkami były Kamila Gruszczyńska – kierowniczka i Janina Strzelecka. Między nimi było wiele sporów o metody wychowawcze i nauczanie dzieci.



Zalesianka, lata 50-te.
Zdjęcie z kroniki szkolnej.

Wkrótce, dla szybko powiększającej się liczby uczniów, budynek przy Promiennego Słońca okazał się za ciasny. W 1950 roku szkołę przeniesiono do Zalesianki. To była już prawdziwa szkoła: cztery izby ze szkolnymi ławkami, szatnia, sala gimnastyczna z małą sceną, biblioteka. Całość zajmowała ok. 100 m². Zatrudniono nowych nauczycieli oraz woźnego. Grono pedagogiczne zostało zwiększone do 9 osób. Uczyły: Barbara Ciesek, Pazińska, Krystyna Buszkowa (biologia, plastyka), Jadwiga Przybyszewska, Ossowska, Irena Lipińska (babcia byłej wicedyrektorki szkoły, Natalii Szymaszek), Wanda Saudowa (z d.Górnika), Maria Mazurek, J. Królak, Łukasiak, Czyżewska, Dąbrowska, S. Brzozowska, Franciszka Oleksiak (j. polski), Hanna Wichowska, Feliks Wichowski (WF). Kierownikiem szkoły został Ludwik Rybak.

W szkole odbywało się wiele zajęć pozalekcyjnych: kółko taneczne prowadziło małżeństwo Pietrzykowskich – Hubert Pietrzykowski grał na fortepianie, a jego żona, Krystyna Dąbrowska, była choreografką i uczyła tańca. Był też chór i zajęcia sportowe.

Szkoła w Zalesiance istniała 7 lat, do 1957 roku. W okresie tym liczba uczniów zwiększyła się do 250. Warunki lokalowe stawały się coraz trudniejsze. Z inicjatywy społecznej rodziców powstał Komitet Budowy Szkoły, ale szanse na wybudowanie nowego budynku były nikłe. W tym czasie Narodowy Bank Polski wybudował przy ul. Białej Brzozy dwa nowoczesne piętrowe budynki z centralnym ogrzewaniem i kanalizacją. Miały one służyć jako ośrodek szkoleniowy Ministerstwa Finansów, a po zmianie decyzji – jako powiatowy szpital. Niemniej faktem jest, że głównie stały puste, gdyż dostosowanie ich do potrzeb szpitala

przekraczało możliwości finansowe władz terenowych. Członkowie Komitetu Budowy Szkoły zwracali się do władz o przekazanie chociaż jednego z budynków na jej potrzeby. Sugestie te były ignorowane. Zdesperowani rodzice, pod przywództwem Anieli Fryszczyń i Karola Beliny-Brzozowskiego, postanowili samowolnie zająć budynek i przenieść do niego szkołę. Dysponentem kluczy do budynku był mieszkający w Zalesiu administrator budynku NBP, Kuczyński. Nie robił żadnych trudności z przekazaniem ich w ręce przewodniczącego Komitetu Budowy Szkoły, Karola Beliny-Brzozowskiego. Tym sposobem, przy pomocy zaangażowanych rodziców, pod osłoną nocy z 10 na 11 stycznia 1957 roku, przeniesiono ławki i wyposażenie do nowego budynku. Przez kilkanaście dni rodzice, którzy uczestniczyli w tej akcji, nie opuszczali budynku z obawy, że zostanie im odebrany przez władzę. Inni rodzice dostarczali artykuły spożywcze dla okupujących, by mogli spokojnie spać i czekać na uczniów. Dzieci coraz chętniej tu przychodziły. Brakowało jednak nauczycieli, gdyż więk-



Budynek wybudowany do szkolenia kadr partyjnych. Od 1957 roku szkoła. Zdjęcie z archiwum Grzegorza Fryszczyzna

szkość, z obawy przed represjami, nie chciała brać udziału w strajku okupacyjnym i dalej prowadziła lekcje w Zalesiance. By nie dać władzy argumentu, że część dzieci się nie uczy, rodzice okupujący budynek sami zajęli się nauczaniem, zgodnie z kompetencjami. Byli to m.in. Krystyna Oknińska i Karol Belina-Brzozowski.

Zajęcie budynku NBP przez rodziców spowodowało poważne zainteresowanie władz terenowych budową nowej szkoły. Najpierw straszono rodziców okupujących szkołę wyciągnięciem poważnych konsekwencji, później pojawiła się propozycja przekazania pieniędzy na budowę nowej szkoły. Sprawa zrobiła się tak głośna, że zainteresowali się nią dziennikarze. Informacje o zajęciu szkoły pojawiały się w prasie krajowej i zagranicznej. Wspomniano o tej sytuacji również w Radiu Wolna Europa. W jednej z codziennych gazet – „Życiu Warszawy”, ukazał się artykuł pt. „Szkoła szturmem zdobyta”. Napisano w nim: „Wojewódzka Rada przesłała na ręce Komitetu Rodzicielskiego pismo, w którym obiecuje sumę pół miliona złotych na wcześniejsze rozpoczęcie zaplanowanej na rok 1958 budowy nowej szkoły pod warunkiem, że dzieci opuszczą budynek. Ale rodzice nie chcą ustąpić.” Wg relacji Macieja Beliny-Brzozowskiego, którego ojciec, Karol, prowadził z ramienia Komitetu Rodzicielskiego negocjacje, odpowiedź była taka: „Pieniądzy nie weźmiemy. Wybudujcie nową szkołę, to dzieci się do niej przeniosą.”

Po wielomiesięcznych negocjacjach Powiatowa Rada Narodowa poparła rodziców i Urząd Rady Ministrów zgodził się na nową siedzibę szkoły. Dostosowaniem budynków do potrzeb szkoły z zapalem zajął się dyrektor Ludwik Rybak. W budynku szkoły,



Rok 1950, lekcję prowadzi pani Pazińska.
Zdjęcie z kroniki szkolnej.

poza klasami i pracowniami naukowymi powstał gabinet lekar-ki i dentystyczny. Pieniądze na zakup wiertarki dentystycznej – 5500 zł, zebrała młodzież ze sprzedaży żołądki i butelek.

Mieszkanca Zalesia, Jolanta Jarosz, tak wspomina swoją edukację w nowej szkole: „W 1957 roku poszłam do nowej szkoły. (...) Ściany pachniały jeszcze świeżą farbą. Nasza klasa mieściła się po prawej stronie długiego korytarza. Z lewej, pod schodami, był schowek woźnego, w którym trzymał ścierki, kredę i inne przybory. W ławkach były kałamarze, do których wlewał atrament. Pisało się ołówkiem, a potem piórem ze stalówką, tzw. obsadką. Woźny obwieszczał przerwy wielkim dzwonkiem. (...) W szkole obowiązywały granatowe fartuchy uszyte z taniej podszewki. Mama nie zawsze zdążyła uszyć mi nowy fartuch, więc przeważnie witałam nowy rok szkolny w zniszczonym, przykrótkim fartuszku. Książki i zeszyty nosiliśmy w tornistrach kiepskiej jakości – z brązowej, lakierowanej tektury. Ledwie rok wytrzymały, potem nosiłam szkolne rzeczy w starej, ojcowskiej teczce. Bardzo ciepło wspominam swoją wychowawczynię, Franciszkę Oleksiak oraz nauczyciela WF, Feliksa Wichowskiego, który organizował różne zajęcia sportowe na boisku, a zimą razem z uczniami budował lodowisko.”

Kiedy nowy budynek przystosowano do potrzeb szkoły, Komitet Budowy Szkoły przemianował się na Komitet Budowy Domu Kultury i Boiska Sportowego w Zalesiu Górnym. W budowę boiska włączyli się rodzice z dziećmi, pomagając uporządkować teren po wykarczowanych drzewach i krzewach leszczynowych. Komitet rozwiązał się, ponieważ nie dostał pozwolenia na budowę Domu Kultury na terenie działki przylegającej do boiska.



Szkoła Podstawowa 1999 r.
Zdjęcie z archiwum Grzegorza Frysczyzna

Leśne Zalesie było na tyle atrakcyjne, że w okresie wakacji budynek szkoły był wynajmowany przez warszawskie i piaseczyńskie zakłady pracy na kolenie letnie. Zakład Lamp Oscyloskopowych wybudował na terenie szkoły budynek, który pełnił funkcję magazynu i stołówki. Służył jako świetlica szkolna i stołówka dla uczniów aż do 2016 roku.

W 1978 roku nowym dyrektorem szkoły podstawowej w Zalesiu została Danuta Kroc. Funkcję tę sprawowała do 2000 roku. Jak sama opisuje w książce „Zalesie Górne 1930-2000”, szkoła stała się jej drugim domem. Za jej kadencji nastąpiło wiele zmian korzystnych dla edukacji. W 1991 roku, dzięki jej staraniom została wybudowana nowatorska hala sportowa z pełnym zapleczem sanitarnym. Mogli z niej korzystać nie tylko uczniowie, ale również kluby sportowe i prywatne osoby. Kolejną znaczącą rzeczą było nadanie szkole imienia – Wspólnej Europy. Tę nazwę zaproponowała Ewa Glegoła, nauczycielka historii. Uroczystości odbyły się w 1998 roku.

Zalesiańska szkoła wyróżniała się pastelową kolorystyką ścian, nawiązującą do starożytnej szkoły greckiej. Budziło to zachwyt osób odwiedzających szkołę. Autorem projektu był nauczyciel plastyki, Leszek Zadrag.

W 1998 roku, po reformie szkolnictwa, dzięki staraniom Danuty Kroc utworzono w Zalesiu gimnazjum. Pierwszą siedzibą był budynek Szkoły Podstawowej. Dyrektorem obydwu szkół była Danuta Kroc. W 2000 roku gimnazjum otrzymało nową siedzibę w wyremontowanym budynku przy ul. Białej Brzozy 3. Funkcje dyrektorskie zostały rozdzielone między Hannę Sierant, która przejęła stery prowadzenia szkoły podstawowej i Martę Blauth, której powierzono gimnazjum.

Hanna Sierant była dyrektorem Szkoły Podstawowej przez trzy kadencje, do 2015 roku. W tym okresie szkoła w Zalesiu wyróżniała się tym, że wprowadzono naukę języka angielskiego od pierwszej klasy, podzielono duże klasy na grupy językowe, zatrudniono specjalistów terapii pedagogicznej i logopedycznej, zorganizowano wiele różnych bezpłatnych kółek zainteresowań dla dzieci, m.in. kółko teatralne prowadzone przez Grażynę Dobę-Wolską. Szkoła miała bardzo dobrą renomę w lokalnym środowisku, co spowodowało liczny napływ uczniów z spoza Zalesia.

W 2012 roku rozpoczęto rozbudowę budynków szkolnych, dobudowując do jednego z nich nowe skrzydło oraz salę gimnastyczną. Rok szkolny 2014/2015 w szkole podstawowej rozpoczął się już w nowej siedzibie. Drugi, stary budynek w tym czasie remontowano na potrzeby gimnazjum. We wrześniu 2015 roku powstał Zespół Szkół łączący obydwie poziomy edukacji. Gimnazjum zostało przeniesione do nowego wyremontowanego budynku, a stara siedziba gimnazjum została przeznaczona na Klub Kultury. Dyrektorem Zespołu Szkół została Marta Blaut. Pełniła tę funkcję do 2020 roku. Do szkoły wprowadziła nowy program edukacyjny dla nauczycieli i uczniów – Erasmus oraz tutorial. Obecnie dyrektorem szkoły jest Irina Maleszewska.

Na przestrzeni 90 lat historii Zalesia Górnego szkolnictwo przeszło znaczną przemianę – od nauczania domowego, tajnych kompletów, lekcji w prywatnych domach, po szkołę w pięknym, nowoczesnym budynku. Warto byłoby, żeby burzliwa historia szkoły została upamiętniona. Maciej Belina-Brzozowski podsunął pomysł upamiętnienia zdarzenia związanego ze „szkołą, szturmem zdobytą” i osób, które desperacko walczyły o lepsze warunki nauki dla dzieci. Warto to zrobić, bo to piękna historia naszej małej ojczyzny.

Dziękujemy zalesiankom pamiętającym dawne czasy oraz pani Danucie Kroc, panu Maciejowi Belina-Brzozowskiemu oraz pani Dyrektor Szkoły Irinie Maleszewskiej.

Zebrały i opisały:

Alicja Szostakowska, Grażyna Kucharska, Maria Wilczyńska

Sto lat zdrowia w Zalesiu Górnym

W Zalesiu końca lat pięćdziesiątych powstał Ośrodek Zdrowia. Dla mieszkańców było to wielkie udogodnienie. Do chwili utworzenia ośrodka mieszkańcy Zalesia Górnego musieli korzystać z pomocy medycznej w Piasecznie, w Warszawie lub prywatnie u lekarzy, przyjmujących pacjentów w tej okolicy.

W zasadzie, pierwsze wspomnienie z zawodem lekarza wiąże się nie z ośrodkiem zdrowia, ale z rokiem 1944, kiedy po wybuchu Powstania Warszawskiego Lasy Chojnowskie stały się schronieniem dla oddziałów powstańczych i partyzanckich. Irena Grohman Fleszarowa (Zalesie Górne 1930-2000) opisuje dokładnie zaistniałą rzeczywistość. Kiedy zaczęli pojawiać się pierwsi ranni, których nie można było przekazać szpitalom w Grójcu lub Piasecznie, kontrolowanym przez Niemców, paru zapaleńców postanowiło stworzyć polowy punkt medyczny, w którym można było opatrywać rannych. Niektóre oddziały leśne miały swoją własną służbę sanitarną, ale bez możliwości stałej opieki medycznej. Wybór padł na opuszczony, drewniany, ukryty w gęstwinie dębów dom przy ul. Jelenich Rogów, z którego można było, w razie zagrożenia, ewakuować rannych. Szpitalik powstał z inicjatywy Juliana Waleckiego „Grzmota”, Komendanta AK na Zalesie Górne, jego młodszego brata Zenona Waleckiego „Erazma”, absolwenta medycyny, jeszcze bez dyplomu, ale po kilkuletniej chirurgicznej wojennej praktyce w Szpitalu Wolskim (późniejszego docenta dr hab. med.) oraz księdza Pawła Ilińskiego, rektora kościoła św. Huberta. Dr Zenon Walecki pełnił jednocześnie funkcje kierownika i jedyne go chirurga. Halina Bączkowska prowadziła sprawy administracyjno-gospodarcze. Poza tym do obsady należeli: Irena Grohmanówna „Joasia”, odpowiedzialna za salę operacyjną i jednocześnie instrumentariuszka asystująca przy operacjach „Erazmowi”, oraz sanitariuszki – Krystyna Walecka „Kryska” oraz Jadwiga Iwańczykówna „Isia”.

„W szpitaliku znajdowały się 2 pokoje przeznaczone dla rannych, sala operacyjna oraz zaplecze kuchenne-sanitarne. Stół kuchenny z blatem z surowego drewna pełnił rolę stołu operacyjnego. Szorowałam go codziennie. Pod ścianą stały szafki, w których leżały narzędzia operacyjne, materiały opatrunkowe i podstawowe leki.” – wspominała na łamach książki Irena Grohman. Szpitalik działał niezbyt długo, a po jego likwidacji doktor zabierał Irenę Grohman „Joasię”, na zmianę opatrunków do rannych, którzy przebywali jeszcze w Zalesiu do zimy.

W 1999 r. rozebrano dom. Nie żyją bohaterowie z czasów wojny, kiedy pomoc lekarska – bez antybiotyków, środków

opatrunkowych i środków do narkozy – była niezwykle trudna, ale zbawienna i ratowała rannym życie. Nie żyją mieszkańcy, wspomagający szpitalik, dostarczający żywność i przechowujący rannych. I zanika pamięć o ludziach i zdarzeniach sprzed kilkudziesięciu lat.

Moje pierwsze skojarzenie ze słowem lekarz wiąże się z wizytą doktora Dajkowskiego (1897-1968). Teraz wiem, że miał na imię Leonard i praktykę lekarską zaczął w trudnym czasie międzywojnia. Będąc studentem medycyny, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w stopniu podchorążego sanitarnego, a następnie podporucznika sanitarnego w 11 pułku. Był ginekologiem, ale przez wiele lat pracował w pogotowiu ratunkowym. W 1940 roku został aresztowany za działalność „polityczną” i osadzony na Pawiaku, skąd trafił do obozów koncentracyjnych: Majdanka, Buchenwald, Dachau. Kiedy Dachau zostało oswobodzone przez wojska amerykańskie w kwietniu 1945 roku, doktor wrócił do Polski we wrześniu i zamieszkał w Gdyni. Po kilku latach przeniósł się do Piaseczna, a następnie do Zalesia Dolnego.

Poznałam doktora Dajkowskiego między 1954 a 1957 r., gdy mieszkaliśmy przy Drodze Dzików 36. Musiałam być poważnie chora, kiedy rodzice zdecydowali się na wezwanie doktora, (jedyny telefon był na ul. Dzików u p. Czerskiej). Doktor przyjechał na motorze, co mnie, mimo choroby, bardzo zaciękało, bo nikt w okolicy nie miał motocykla, a może i ja nigdy go nie widziałam? Mąż twierdzi, że doktor miał czeską Jawę (czerwoną), a autor wspomnień o doktorze Dajkowskim, Adam Smoliński twierdzi, że doktor miał starą dekawkę, która to jego szczególnie fascynowała, kiedy odwiedzał z dziadkiem doktora. Tak czy owak, był doktorem mobilnym, udzielającym porad lekarskich w okolicach Piaseczna. Był bardzo znanym i cenionym lekarzem.

Nie sposób pominąć we wspomnieniach dr Aleksandry Taflówskiej z d. Gorbuliny, (1909-1993), urodzonej w Kazachstanie. W książce „Zalesie Górne 1930-2000” są dwa wspomnienia: córki Heleny Taflówskiej-Manukian „Historia rodziny Taflówskich i Jadwigi Mogilnickiej „Wspomnienie o doktor Aleksandrze Taflówskiej”. Lekarka, ciężko doświadczona wdowa z małym dzieckiem, która obawiając się represji ze strony NKWD, zatajała przeszłość i nie ujawniała swojego wykształcenia medycznego. Ukończyła studia medyczne w 1935 r. w Tomsku, a praktykę odbywała w górach Altaju, gdzie poznała Polaka, zesłańca, Florentyna Taflówskiego. Los nie oszczędzał ich w żadnym miejscu: praca w obozie w Norylsku, klinika chirurgiczna w Kursku, po wkroczeniu Niemców wywózka do Łodzi i śmierć męża z rąk NKWD.



Pierwszy ośrodek Zdrowia przy ulicy Przebudzenia Wiosny, dawniej dom państwa Kucharskich. Zdjęcie z archiwum Grzegorza Fryszczyzna.



Ośrodek zdrowia przy ulicy Koralewych Dębów w budowie. Zdjęcie z archiwum Grzegorza Fryszczyzna.

Wreszcie ciężko chorą doktor, ciotka przywozi w lipcu 1945 r. do Zalesia. Mimo że nie mogła nostryfikować dyplomu lekarskiego i była „tylko felczerem”, zdobyła sobie ogromne zaufanie pacjentów. Jadwiga Mogilnicka wspomina: „Była znakomitą lekarką, posiadającą głęboką wiedzę, praktykę, doświadczenie i nadzwyczajną intuicję lekarską. Przez kilkanaście lat była jedyną lekarką w Zalesiu i okolicy. Nie miała ustalonych godzin przyjęć, o każdej porze dnia i nocy można było liczyć na jej pomoc. Leczyła chorých, zastępując lekarzy różnych specjalności, odbierała porody, składała złamane kości, zszywała rannych, ratowała poparzonych, wykonując wszystkie niezbędne zabiegi z niezwykłą suminością, delikatnością i precyzją”. W tamtych czasach doktor Taflowska była „lekarzem rodzinnym” dla wielu mieszkańców Zalesia. Ja i wielu starszych mieszkańców pamiętamy panią doktor do dziś. Była postępową lekarką, która włączyła do terapii witaminy.

Jest grudzień 1957 roku. Do Zalesia sprowadza się dr Jerzy Buśko (1920-2005) z żoną Natalią. Zamieszkują w budynku gminnym na ul. Przebudzenia Wiosny 26. Budynek jest przedwojenny. Mówi się, że właściciel o nazwisku Kucharski, przedwojenny członek SPZG, w czasie wojny podpisał volkslistę. W końcu wojny, choć nie szkodził mieszkańcom (tak twierdzili świadkowie), opuścił jednak budynek i wyjechał z rodziną przez Niemcy do Stanów Zjednoczonych. Kilkanaście lat temu do tego domu przyjechała Jane Smiths, wnuczka Kucharskich. Podczas tej sentymentalnej podróży podarowała obecnej właścicielce plan Zalesia i opowiedziała Katarzynie Buśko, że dzięki temu, że podpisał volkslistę, przechował na strychu dwie Żydówki, które przeżyły wojnę. Dom przejęło państwo. Od 1951 było tam przedszkole. (wg mnie do 1958 r.).



Dr Buśko z zespołem ośrodka zdrowia w Zalesiu Górnym: Krystyna Bilkiewicz, Janina Seferyniak, Danuta Kopeć-Maliszewska, Jadwiga Prusińska, dr Jerzy Buśko, Teresa Braciszewska, pani Smolińska, dr Jadwiga Meissner, Halina Rościszewska, ok. 1960. Zdjęcie pochodzi z archiwum rodzinnego Joanny Stok.

W budynku były dwa pomieszczenia przeznaczone na ośrodek zdrowia. Rodzina dr Meissner tak pisze we wspomnieniu o pani doktor: „Stary” Ośrodek był mały (zajmował tylko parter budynku): jeden gabinet lekarski, rejestracja, gabinet zabiegowy, mały gabinet stomatologiczny. Przez pewien czas był nawet punkt apteczny, który prowadziła pani Teresa Braciszewska, potem powstał tam punkt szczepień. Nie było bieżącej wody, a WC było na dworze. Ale pracujący tam ludzie tworzyli niezwykłą, magiczną atmosferę i dbali o zdrowie oraz dobro pacjentów. Było bardzo czysto i przytulnie, a każdy troszczył się o wszystko jak o swoje.

Pamiętam, że w poczekalni było może pięć krzeseł i wieszak. Było ciasno, czysto i zawsze dostępny lekarz: dr Jerzy Buśko i dr Jadwiga Meissner (od 1959 r.).

Katarzyna Buśko tak wspomina ojca: „Jerzy Buśko, urodził się w 1920 r. pod Nowogródkiem. Tam ukończył szkołę powszechną i gimnazjum. W 1939 r. pojechał do Warszawy, aby tam kontynuować naukę. Wybuch wojny skłonił go do decyzji o powrocie w swoje rodzinne strony. Jednak okupacja sowiecka Kresów Wschodnich i jej konsekwencje, które dotknęły także rodzinę mojego ojca, zmusiły go do ponownego opuszczenia domu. W 1944 r. znalazł się w Warszawie. Po Powstaniu, jak inni, został wywieziony na roboty do Niemiec: wrócił w 1945 r. i rozpoczął naukę na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Dyplom lekarza otrzymał w 1951 r. I tak wieloletni mieszkaniec, a także radny z Zalesia, pacjent ojca Józef Paterkiewicz, złożył mu propozycję, aby zamieszkał i „zorganizował” ośrodek zdrowia w budynku przy ul. Przebudzenia Wiosny 2. Było to w 1957 r. Po wyprowadzce przedszkola ojciec rozpoczął tworzenie ośrodka. Ośrodek Zdrowia w Zalesiu Górnym istnieje od 1958 r.; początkowo z zespołem 3-osobowym: Jerzy Buśko – lekarz, Maria Paterkiewicz – pielęgniarka, nieoceniona Janina Seferyniak, dzięki której ośrodek od początku lśnił czystością. Później dołączyli dr Jadwiga Meissner, dr Maria Elwertowska, pielęgniarki Halina Rościszewska, Zofia Trembecka, Krystyna Bilkiewicz, pomoc dentystyczna Danuta Kopeć-Maliszewska, dr Zuzanna Szczuka, dr Grażyna Stefura-Kostrzyńska, dr Beata Otulak-Sidor. Dołączyła również nasza sąsiadka, pani Zosia, jak wszyscy do niej i o niej mówimy – Lubryczyńska.”

Pani Zofia Lubryczyńska, która przepracowała z doktorem 30 lat pisze o nim z uznaniem: „W pracy był dokładny, pedantyczny i wymagający. Był zdolny i odczytany, trafnie stawiał diagnozy. Zrobił specjalizację chorób wewnętrznych. Na wizyty domowe jeździł wprawdzie motorowerem, a potem polonezem”

Doktor Buśko przeszedł na emeryturę w 1995 r., co się zbiegło z przeniesieniem ośrodka zdrowia w nowe miejsce. Jeszcze jakiś czas współpracował z dr Wojciechem Wądołowskim, opisując elektrokardiogramy.

Innym filarem naszej, zalesiańskiej służby zdrowia, była pediatra dr Jadwiga Meissner z d. Niewiadomska, (1931-2007). Doktor Jadwiga Meissner przepracowała w Ośrodku 22 lata, (1959-1981) kiedy to przeszła na rentę. Nadal jednak pracowała w Pogotowiu Ratunkowym w Piasecznie i prowadziła gabinet w domu. Zawsze spokojna, cierpliwa, uśmiechnięta, nikogo nie zawiodła i nie zostawiła bez pomocy. Doktor Meissnerowa była nie tylko pediatrą i internistą, ale często wspierała swoich pacjentów jako chirurg.

W 1995 ośrodek zdrowia został przeniesiony do budynku mieszczącego się na rogu Złotej Jesieni i Koraliowych Dębów. Budynek ten, wybudowany w latach 30. należał do państwa



Teresa Braciszewska, w aptece. Zdjęcie pochodzi z archiwum rodzinnego Joanny Stok.

Pluteckich i jak twierdzi osoba dobrze znająca historię Zalesia, również do p. Kucharskich (może o tym świadczyć wspólna fotografia rodzin). Plutecki (imię nieznane), kapitan Wojsk Ochrony Pogranicza, sprzedał dom państwu Łuczywkom, a następnie dom został odkupiony przez gminę na cele społeczne, a konkretnie na ośrodek zdrowia. W latach 50. i 60. w tym domu, w ciasnym, ciemnym pomieszczeniu od strony ul. Korolowych Dębów mieścił się najpierw sklep spożywczy Gminnej Spółdzielni, a później był tu pensjonat.

W rozbudowanym ośrodku zdrowia były: recepcja poczekalnia, gabinety lekarskie, gabinet stomatologiczny oraz punkt pobrania krwi. W późniejszych latach znalazło się miejsce na punkt MOPS, w którym ostatnio pracowała Bogusława Meissner. Na piętrze było również pomieszczenie mieszkalne, które początkowo zajmował dr. Wądołowski, kierownik ośrodka zdrowia, pełniący tę funkcję do dziś. W rozmowie z Ewą Stroińską, dr Wojciech Wądołowski przyznaje: „Początkowo trudno mi było przyzwyczaić się do pracy w POZ, gdyż przez 10 lat pracowałem w szpitalu, był to zupełnie inny rodzaj pracy niż w przychodni, tutaj lekarz musi sam podejmować decyzje, nie może się z nikim na bieżąco skonsultować. Mieszkańcy początkowo byli nieufni, szybko jednak nabrali do mnie zaufania i z każdym miesiącem miałem coraz więcej pacjentów”.

Pan doktor przyjmuje pacjentów już 22 lata, zna pewnie większość mieszkańców i ich choroby. Cierpliwie wysłuchuje narzekania na zdrowie, na system opieki i trudności, wypisuje leki i kieruje na dalsze badania. A my przywykliśmy do tego, że idziemy do naszego, znanego lekarza. Trzeba powiedzieć, że kiedy dr Wądołowski zaczynał pracę w naszym ośrodku, miał pod opieką około 2000 pacjentów, obecnie około 5000. Za nami trudny okres, który wpłynął znacząco również na pracę przychodni. Pamiętam nieodległe czasy, kiedy w rozmowach pacjenci z innych miejsc, a w szczególności z Warszawy, narzekali na brak dostępności do lekarzy pierwszego kontaktu. U nas, w zasadzie z marszu, można było uzyskać poradę, skierowanie do specjalisty, receptę. W wywiadzie (P. Z. 5/2020) doktor podaje, że w ośrodku pracowało 3 internistów (p. dr Beata Pacewicz-Kulik i dr Grażyna Stefura-Kostrzyńska) oraz 2 pediatrów (dr Jadwiga Kałandyk i Irena Meissner-Wantuch). Ponadto przyjmowała stomatolog (Elżbieta Kocun-Pastuszek), położna, oraz 3 pielęgniarki środowiskowe. (Lista lekarzy dostępna na stronie SZPZLO Piaseczno). Obecnie pracują w przychodni 3 pielęgniarki: Lidia Kantarska, Anna Adamczyk, Anna Fruba, które są jednocześnie pielęgniarkami środowiskowymi.

Po wielu latach pracy w naszym ośrodku, w tym roku odeszła na emeryturę dr Grażyna Stefura-Kostrzyńska. Latami, bez cienia zniecierpliwienia, z empatią wysłuchiwała pacjentów. Nasza, zalesiańska, dobra, spokojna, skromna, przyjmowała każdego pacjenta, nie zwracając uwagi na godziny pracy. Nikomu nie odmówiła, zawsze zachowywała dyskrecję.

Wydaje się, że niedawno, a to już 10 lat temu, w ośrodku zdrowia zaczęła pracować dr Beata Pacewicz-Kulik, która mocno wsparła pracujących tu lekarzy. Trafiła na szczególny czas, w którym musiała się mocno zaangażować w organizację pracy placówki i leczenie pacjentów.

Przybyło pacjentów i przy takiej liczbie mieszkańców, obsługiwanych przez skromny personel ośrodka, pracy nigdy nie brakowało. Komputeryzacja ułatwiła pracę lekarzom, ale wydłużyła czas potrzebny na wizytę pacjenta. Lekarze mają dostęp do historii choroby, leków i wyników, możliwość wypisania e-recepty, czy e-skierowania, ale muszą też wypisywać papierowe skierowania dla osób, nieobsługujących komputera, czy nieposiadających komórki.

Kiedy dr Wądołowski po ciężkim wypadku samochodowym był na zwolnieniu, pogorszył się dostęp do lekarza. Całą opiekę lekarską nad pacjentami przejęły dr Beata Pacewicz i dr Grażyna Stefura. Przez jakiś czas przyjmował w naszym ośrodku dr Stanisław Bujnowski, oddelegowany z Piaseczna. Nieoceniona była pani Zosia Lubryczyńska, ulubienica pacjentów, pomagająca ze wszystkich sił lekarzom. Zawsze rozbawiała mnie taka sytuacja: w okienku, przez które kontaktowali się z recepcją i pochyłali chorzy, stała szklanka z herbatą. Stała tam, żeby niechący nie załapał się komputer! Taką „szczepionkę” codziennie popijała p. Zosia. Gdy zwróciłam jej uwagę, ze zdziwieniem stwierdziła, że właściwie to nie pamięta, żeby chorowała. Będąc już na emeryturze, pozostała w pracy na części etatu, przygotowując karty pacjentów, zbierając zapotrzebowania na leki i pomagając w koniecznych pracach. Jej spokój w kontaktach, z nie zawsze przyjemnymi pacjentami, był nieoceniony.

Pandemia covid-19 wiele zmieniła. Pojawiła się w marcu 2020 r. i trwa nadal. Nigdy nie zetknęliśmy się z chorobą, która by w tak błyskawiczny i tragiczny sposób rozprzestrzeniła się po całym świecie i sytuacja w służbie zdrowia mocno się skomplikowała. W zamkniętym ośrodku lekarz głównie ograniczał wizytę do teleporad, wypisywał e-recepty, a w wyjątkowych sytuacjach, po telefonicznej konsultacji, przyjmował chorego na badania w przychodni. Wszystko odbywało się w covidowym reżimie sanitarnym. Do dziś w placówkach medycznych trzeba nosić maseczki.

Innym utrudnieniem, z punktu widzenia osób starszych, stało się zapisywanie na wizyty do lekarza, tylko telefoniczne i tylko tego dnia od godz. 7.30. Kolejka ustalana jest automatycznie. Jak już się wysłucha nagranych informacji o RODO, zapisie rozmowy itd. i jest się numerem oczekującym w kolejce, to trzeba wytrzymać cierpliwie, doczekać się odebrania telefonu przez recepcjonistkę i zapisać na dany dzień. Trzeba koniecznie pamiętać pesel. Codziennie jest wielu pacjentów, więc żeby się dostać do lekarza, trzeba punktualnie o 7.30 zacząć wykręcać numer.

Kiedy sięgam pamięcią do lat 60. i warunków, w jakich pracowali lekarze, choćby w naszym ośrodku, to narzekanie na dostęp do ośrodka zdrowia, wydaje się uzasadnione. Należy pamiętać, że w latach, kiedy dr Buśko obejmował Ośrodek Zdrowia, Zalesie to była demograficznie stosunkowo młoda wieś. Prawie wszyscy ludzie mieli zatrudnienie, może mniej chorowali i rzadziej chodzili do lekarza, mieli też swoich lekarzy zakładowych. Najwięcej chorych było w poniedziałek, co zrozumiałe, bo przez 2 dni nie było dostępu do lekarza, przychodzili więc po lekarstwa i po zwolnienie. Znane było powiedzenie „szewski poniedziałek”, czyli leczenie kaca po święcie.

W szkole pracowała dentystka, starsza pani, która miała maszynę do borowania, napędzaną nogą i chyba bardziej psuła zęby niż leczyła. Ale dzieci miały regularnie sprawdzany stan uzębienia. Była również codziennie w szkole pielęgniarka szkolna. Zajmowała się, poza drobnymi wypadkami, głównie sprawdzaniem stanu włosów i w razie potrzeby stosowała leczenie, gdyż wszawica była dość powszechnym zjawiskiem.

Dziś lekarz jest bardzo zajęty specjalistą: przyjmuje pacjentów w przychodni, załatwia wizyty domowe, sprawuje opiekę nad domami seniorów, ponadto udziela porad przez telefon, wystawia oprócz papierowych, e-recepty i skierowania do specjalistów. Wszystkie działania są rejestrowane w komputerze, co zabiera mnóstwo czasu. Przy braku specjalistów, często zastępuje ich, zgodnie ze swoją wiedzą i umiejętnościami. Po pracy często prowadzi prywatną praktykę. A młodzi lekarze, obywatele świata, szukają szczęścia i lepszych warunków finansowych w innych krajach.

Zalesie się rozrosło i może należy wspomnieć o innych placówkach służby zdrowia i lekarzach związanych z Zalesiem w różny



• Ośrodek zdrowia od strony ulicy Koraliowych Dębów.
• Zdjęcie Aleksandra Kozicka-Puch.

• sposób. Obecnie na terenie naszej wsi działają trzy prywatne gabinety stomatologiczne.

• W Zalesiu mieszkała latem prof. kardiologii Krystyna Ilmuryńska, także w Zalesiu wychowywał się dr n. med. Michał Elwertowski, znakomity radiolog, jak również Krystyna Matulczyk i Hanna Jakubiak, pielęgniarki pracujące przy sztucznej nerce, jak również Elżbieta Cuper. Oddana pacjentom i mieszkańcom Zalesia, p. Teresa Pluta, pracowała przez wiele lat na oddziale onkologicznym.

• Nie znalazłam żadnych zapisów historycznych, dotyczących naszych ośrodków zdrowia i artykuł jest oparty w dużej mierze na pamięci osób, mieszkańców Zalesia. Jeżeli Państwo znacie inne osoby, które zostały pominięte, proszę o wyrozumiałość i informacje.

- – Lekarze, pracujący w ciągu funkcjonowania ośrodka zdrowia w Zalesiu Górnym: Jerzy Buško, Jadwiga Kałandyk, Jadwiga Meissner, Irena Meissner-Wantuch, Beata Pacewicz-Kulik, Jadwiga Prusińska, Marta Stomma-Woźniak, Grażyna Stefura-Kostrzyńska, Zuzanna Szczuka, Agnieszka Turczynowicz-Rot, Wojciech Wądołowski,
- – Pielęgniarki: Anna Adamczyk, Krystyna Bilkiewicz, Anna Fruba, Lidia Jasińska, Lidia Kantarska, Teresa Kosiorek, Zofia Lubryczyńska, Maria Paterkiewicz, Halina Rościszewska, Smolińska (imię nieznane), Zofia Trembecka, Monika Pindelska położna.
- – Stomatolodzy: Magdalena Bojanowska, Beata Kochanek-Leśniewska, Elżbieta Kocuń-Pastuszek, Małgorzata Poduszcza, Beata Otulak-Sidor, Antoni Frołow, Maria Elwertowska, Jadwiga Komorowska, Małgorzata Bojarska, Jadwiga Prusińska.
- – Pomoc dentystyczna: Domańska (imię nieznane), Danuta Kopeć-Maliszewska, Elżbieta Dynowska, Bogusława Nowacka
- – Punkt apteczny: Teresa Braciszewska, technik farmaceutyczny
- – Pomoc: Janina Seferyniak

• Obecnie w przychodni pracuje 4 lekarzy, stomatolog, 3 pielęgniarki, 2 rejestratorki i pomoc dentystyczna.



Ośrodek zdrowia współcześnie.
Zdjęcie Aleksandra Kozicka-Puch.

Źródła:

- Lista lekarzy z danych ZOZ-u
- Książka „Zalesie Górne 1930-2000”, przygotowana przez: Grzegorza Fryszczyzna, ks. Wiktora Ojrzyńskiego i Andrzeja Swata
- Helena Taflowska-Manukian „Historia rodziny Taflówskich i Jadwiga Mogilnicka „Wspomnienie o doktor Aleksandrze Taflowskiej”
- Katarzyna Buško, artykuł „Jerzy Buško”
- Grzegorz Fryszczyn historia obiektów i zdjęcia
- Bogusława Meissner, Irena Meissner „Doktor Meissnerowa”
- Andrzej Markowski, <https://www.kimonibyli.pl/doktor-dajkowski-z-zalesia-dolnego/>, dostęp 08.11.2022

„Przystanek Zalesie”:

- nr 2/2016 info:piaseczno.eu, „Mieszkanka Zalesia wyróżniona”
- nr 9/2018 Paweł Jordan „Bogusia Meissner nagrodzona!”
- nr 5/2019 Nina Wierzbicka „Bogusia Meissner Twarzą Zalesia”
- nr 5/2020, Kartka z Historii Ośrodek Zdrowia: Zofia Lubryczyńska – artykuł
- nr 5/2020, Ewa Molenda-Stroińska – wywiad z dr Wojciechem Wądołowskim.
- nr 5/2021 Ewa Molenda-Stroińska: Pismo do Burmistrza Miasta i Gminy Piaseczno
- nr 4/2022 Bernard Margueritte „Wdzięczność Zalesia dla Pana dr Wądołowskiego”

Dziękuję za rozmowy i nowe wiadomości: Grzegorzowi Fryszczynowi, Zofii Lubryczyńskiej, dr Beacie Pacewicz-Kulik, Teresie Plucie, Zofii Trembeckiej, dr Wojciechowi Wądołowskiemu, Marii Wilczyńskiej,
Specjalne podziękowania dla: Julity Gopsz-Stasiak i Magdaleny Olszewskiej

Jolanta Jarosz-Hryniewicz



Zespół redakcyjny *Historii Odnalezionych* serdecznie dziękuje Magdzie Mikołajczak-Olszewskiej za nieocenioną pomoc w tworzeniu Biuletynu.

Magda dzieliła się z nami swoim doświadczeniem dziennikarskim, pomagała w wyborze tematów, inspirowała nas, zmuszała do niebanalnego twórczego myślenia.

Panom z *Wine&More* dziękujemy za możliwość spotkań w każdym terminie, gościnność, miłą atmosferę i wyrozumiałość. Dziękujemy również paniom z biblioteki w Zalesiu Górnym oraz pani sołtys za udostępnienie nam miejsc na spotkania.

Oto Bogusia

Kiedy rozpakowałam ostatni karton z książkami, dom coraz bardziej przypominał to, o czym marzyliśmy z mężem przez 10 lat budowy. Nagle okazało się, że mam dużo czasu, a wokół mnie zabrakło ludzi, z którymi mogłabym porozmawiać, spotkać się czy poplotkować. Zapisałam się na kurs komputerowy dla seniorów i w ten sposób poznałam panią Bogusławę Meissner. Kilka miesięcy później zostałam członkiem klubu seniora w Zalesiu Górnym. Pani Bogusława była koordynatorem klubu. Przyglądałam się jej z dużym zainteresowaniem, od razu zaproponowała skrócenie dystansu: „tu w klubie wszyscy mówią sobie po imieniu”.

Ona sama zwraca uwagę ciepłym, serdecznym podejściem do pań i panów, jednocześnie wymagając samodyscypliny i podporządkowania się normom. Główną zasadą klubu jest „o polityce nie rozmawiamy”. Zastanawiałam się nieraz, skąd Bogusia bierze siłę oraz tę niebywałą cierpliwość do pracy z niesforną niekiedy grupą klubowiczów. Niewiele jest osób, które potrafią tak sprawnie kierować ludźmi, rozumieć ich problemy i tak interesująco zagospodarowywać wolny czas. Kiedy zastanawiałam się jaka motywacja kieruje Bogusią, to zawsze wychodziło na jedno: To chęć pomagania innym jest podstawowym motorem jej działań. To wartość, którą wyniosła z domu rodzinnego. Pomagać ludziom w miarę swych możliwości, bo najważniejszy jest zawsze człowiek. A Bogusia w każdej spotkanej osobie widziała przede wszystkim człowieka! Jej opieka i troska o grupę jest widoczna na każdym kroku, podczas każdej wycieczki, czy spotkania poza siedzibą klubu. Sprawdza, czy seniorzy mają wodę w upalne wycieczkowe dni, czy właściwie są ubrani. Bo dla Bogusi ważny jest właśnie człowiek i jego dobrostan. Lubi ludzi i lubi dla nich pracować.

Pamiętam taką chwilę z 2019 roku: stremowana i nieco przerażona stałam w czerwcowy, upalny dzień na scenie, odbywające się właśnie Jarmarku Hubertowskiego. Wokół zgromadzili się mieszkańcy Zalesia, a ja nieco drżącym głosem czytałam laudację na cześć Bogusławy Meissner. To kapituła „Twarzy Zalesia” i sami zalesianie wybrali na ten rok właśnie panią Bogusię. Pomyśl na takie uświetnienie naszego wybitnego mieszkańca, miała redaktor Magda Olszewska, twórczyni TV Zalesie i innych cennych kulturalnych wydarzeń w naszej miejscowości. Oto fragment tej laudacji: „Kiedy człowiekowi wszystko się udaje i wychodzi, nie szuka on pomocy wśród przyjaciół, rodziny czy instytucji. Ale gdy coś się nie udaje, traci się pracę, zdrowie, dom czy bliskich – to wtedy szuka się ratunku u innych. Dla zagubionych, niesprawnych, nieudolnych, potrzebujących stworzono już dawno ośrodki pomocowe. Nasza niewielka miejscowość też ma takich potrzebujących i osoby, które im pomagają. Wśród mieszkańców pojawia się jasnowłosa i jasnoooka energiczna postać, zawsze z ciężką torbą z dokumentacją, laptopem, terminarzem. Ci którzy potrzebują wsparcia dobrze ją znają. Mało tego zawsze można do niej zadzwonić, uzyskać pomoc, czy dobrą radę.”

Zainteresowało mnie, dlaczego Bogusia, oprócz pracy w klubie seniora postanowiła wziąć na siebie kolejne obowiązki i zająć się osobami z niepełnosprawnościami fizycznymi czy intelektualnymi. Nie było i do dziś nie ma takiej organizacji w naszej okolicy. A my w Zalesiu Górnym jako pierwsi w regionie, mamy i jest to zasługa Bogusi.

To jej pomysł.

Miała ona już doświadczenie w tworzeniu klubu seniora, który powstał w 2008 roku. Zrzeszał on osoby starsze z Zalesia Górnego.



Bogusia Meissner.
Zdjęcie z archiwum rodzinnego.

Pomyśl na zorganizowanie osób z niepełnosprawnościami zrodził się sam. Otóż Bogusia jako pracownik socjalny pewnego razu trafiła do młodego człowieka z zespołem Downa. Był on już dorosły, ukończył szkołę, ale z powodu inwalidztwa nie mógł podjąć pracy, siedział więc w domu ze starszą już mamą i po prostu... Potwornie się nudził. Pomyślała wtedy, że takich młodych ludzi pograżających się w nicnierobieniu, przez to biernych, może być więcej. Postanowiła wyciągnąć ich z domów i zaktywizować. Rozdała ankiety, by dowiedzieć się, ilu osób to dotyczy. Zebrała się zupełnie spora gromadka. I tak 15 maja 2010 roku z inicjatywy pracowników Miejsko-Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej w Piaseczynie, w ramach programu Centrum Aktywności Lokalnej (CAL) i Stowarzyszenia Biuro Obsługi Ruchu Inicjatyw Społecznych (BORIS) zebrali się pracownicy socjalni Bogusława Meissner, Justyna Mazurek, Ewa Molenda-Stroińska (nasza sołtyska) oraz Andrzej Szczygieski i Paweł Jordan prezes CAL i BORIS i postanowili pomóc. Bardzo szybko doszło do spotkania. Już po miesiącu na boisku Domanki pojawiło się około 20 osób. To byli sami zainteresowani, albo opiekunowie ludzi z niepełnosprawnościami. Od razu padła propozycja, by nazwać się „Razem Lepiej”. Trzy lata później powstało stowarzyszenie, którego prezesem została Magda Kamińska. Działania tej nowej wspólnoty z ramienia MGOPS (Miejsko-Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej) wspierały również pracownice socjalne Justyna Mazurek, Katarzyna Sameryt oraz nasza Bogusława Meissner. Celem tej nowopowstałej organizacji stało się przybliżenie problemów osób z niepełnosprawnościami mieszkańcom Zalesia. Członkowie stowarzyszenia postanowili wyjść z własnymi propozycjami. Chcieli zaprezentować swoje umiejętności i talenty: stąd wystawa prac malarskich, grafiki, zdjęć,

haftów czy występy wokalne. Na te spotkania przychodziło i przychodzi do dziś wiele osób.

Członkowie Razem Lepiej wspólnie jeżdżą do kin, teatrów, na wystawy i wycieczki krajoznawcze. Są zauważani i doceniani w środowisku, w którym funkcjonują; promują społeczne zmiany, podpowiadają, jak można ułatwić im poruszanie się po ulicach i sklepach Zalesia, uświadamiają i uwrażliwiają mieszkańców naszej wsi na swoje potrzeby. Współpracują z Klubem Seniora „Złota Jesień” i biorą udział we wszystkich społecznych akcjach i są wszędzie tam, gdzie się coś dzieje i mogą zostawić swój ślad.

W 2018 roku Stowarzyszenie zawiesiło swoją działalność, a potem epidemia Covid-19 przerwała tok spotkań. Coś się skończyło? Otóż nie! Wkroczyła zdecydowanie pani Bogusia i wznowiła spotkania – teraz jest to Grupa Razem Lepiej. Grupowicze nadal się spotykają, teraz w domu sołeckim, gdzie są gospodarzami i czują się tam, jak u siebie. Zajęcia odbywają się regularnie. Właśnie w taki burzowy lipcowy dzień ich odwiedziłam. Było gwarno i wesoło Jedliśmy domowe ciasto. Trwały przygotowania do wystawy związanej z ponad już 10 letnią historią Razem Lepiej. Wśród swoich podopiecznych kręciła się Bogusia, uśmiechnięta, energiczna i jak zawsze pełna pomysłów. Z przyjemnością patrzyłam na tę grupę zżytych ze sobą ludzi; dostali oni szansę bycia ze sobą, a wyrwani z szarej, trudnej codzienności, nabrali sił i efektywnie działają. Odkąd są razem, stali się radośniejsi. Są ze sobą. Nie kryją się w domach. Są potrzebni. A to wszystko dzięki zaangażowaniu w ich sprawy Bogusi.

29 lipca 2022 roku uroczystości obchodzili spóźnione 10-lecie Razem Lepiej. Ponad setka gości wzięła udział w tej uroczystości.

A jak to się stało, że bohaterka tego artykułu wybrała właśnie taką drogę, a nie inną?

Bogusia miała nietławe dzieciństwo, jej tata zmarł, kiedy miała 4 lata. Mama, która została sama z czwórką dzieci, nie załamała rąk, tylko zakasała rękawy i pokazała, że może sama wychować i wykarcić rodzinę. Mówiła dzieciom, że najważniejsze jest wykształcenie i pomaganie innym. Bogusia do dziś pamięta jej słowa: czyni tak, by dobrze o tobie mówili. Wszystkie dzieci zdobyły wykształcenie i zawód – wspomina Basia, starsza siostra Bogusi. Bogusia marzyła, by zostać pielęgniarką, niestety marzenie się nie spełniło. Po ukończeniu szkoły średniej trafiła do biura. To nie był dobry wybór. Postanowiła skończyć Studium Pracowników Socjalnych. Na zajęcia jeździła do Warszawy, po pracy. Do domu wracała ostatnim pociągami, a było to już po 23:00. Po ukończeniu studium trafiła do pracy w MOPS-ie w Piasecznie, a w 1987 roku rozpoczęła pracę w Zalesiu Górnym. Była dyplomowanym



Bogusia na spotkaniu grupy Razem Lepiej.
Zdjęcie Ryszard Tyszecki.

pracownikiem socjalnym. Związała się z Zalesiem uczuciowo (rodzina) i zawodowo. Jako koordynatorka opiekuje się Klubem Seniora już od kilkunastu lat, organizując podopiecznym wycieczki, wyjścia do teatrów, kin, wystaw, spotkań z ciekawymi ludźmi oraz szkolenia w ramach interesujących projektów. Działa również w Caritasie przy naszej parafii, no bo kto lepiej, jak nie ona, zna sytuację materialną potrzebujących. Profesjonalna, bezbłędnie poruszająca się w gęstwinie przepisów i paragrafów, doksztalała się w trakcie pracy, bo wchodziły coraz to nowe regulacje. Potrafiła pomóc, nie tylko wypełniając papiery i dokumenty, ale mobilizując osoby potrzebujące do działania. To nie była praca regulowana – od tej do tej godziny; telefon dzwonił przez 24 godziny na dobę. Bogusia często stawała jako świadek w sądzie, bo i takich trudnych spraw się podejmowała. Często też trzeba było pojechać z podopiecznym do urzędu i przeprowadzić przez zawile korytarze i przepisy.

W tej pracy potrzebne są bardzo ważne cechy: trzeba lubić ludzi, trzeba ich rozumieć i mieć ogromne pokłady empatii. Ktoś, komu zawalił się świat, oczekuje pomocy, a gdy ją otrzyma, jest szczęśliwy i dzięki temu często sam sobie pomaga. Trzeba mu tylko pokazać, jak to zrobić i pchnąć do działania.

Bogusława Meissner – wulkan energii i pozytywnych działań! Widoczna od rana do wieczora na ulicach Zalesia. Wiecznie zabiegana. Znow kogoś odwiedza. Wyjątkowa.

Zainteresowana po prostu każdym człowiekiem.

Nina Wierzbicka



Bogusia na spotkaniu grupy Razem Lepiej.
Zdjęcie Ryszard Tyszecki.

HISTORIE ODNALEZIONE



edycja piąta, grudzień 2022

ISBN 978-83-955553-1-2



Projekt sfinansowany ze środków gminy Piaseczno.

Redakcja: Magda Mikołajczak-Olszewska, Jolanta Jarosz-Hryniewicz, Ewa Kamińska, Grażyna Kucharska, Jadwiga Kuźmińska, Barbara Migaj, Elżbieta Nowińska, Teresa Pluta, Alicja Szostakiewicz, Maria Wilczyńska, Nina Wierzbicka, Ania Żółkiewska

Konsultantka historyczna: Teresa Pluta

Koordynatorka projektu: Julita Gopsz-Stasiak

e-mail: historie.odnalezione@gmail.com

Skład i druk: SFERA – Jolanta Dec, tel. 601-37-65-75



Odślonięcie tablicy – 13.10.2023



Tablica upamiętniająca strajk szkolny z 1957 roku pojawiła się na ścianie obok wejścia do Szkoły Podstawowej imienia Wspólnej Europy w Zalesiu Górnym.

Jej odsłonięcie odbyło się 13 października 2023 roku.

Uroczystość uświetnili potomkowie tych, którzy w 1957 roku okupowali budynek szkoły – Maciej Belina-Brzozowski, Maria Bnińska, Aleksandra Łuczyk, Grażyna Stefura-Kostrzyńska, Maria Wilczyńska.

Byli wtedy dziećmi i to wydarzenie mocno odcisnęło się w ich pamięci. I to oni właśnie odsłanili tablicę. Uroczystość uświetnił poczet sztandarowy wniesiony przez uczniów tej szkoły. Obecne były trzyosobowe delegacje reprezentujące klasy siódme i ósme i oczywiście byliśmy my – ekipa „Historii Odnalezionych” zaangażowana od lat w poszukiwania tak ważnych dla Zalesia Górnego wydarzeń.

Opowieść Macieja Beliny-Brzozowskiego o ocaleniu budynku dla szkoły spisały: Grażyna Kucharska, Alicja Szostakowska, Maria Wilczyńska, a zdjęcia wykonał Ryszard Tyszecki. Opublikowałyśmy ją w piątym numerze „Historii Odnalezionych”.

Tablicę zaprojektował Karol Belina-Brzozowski, wnuk jednego z bohaterów wydarzenia. Wykonał ją Jacek Michalski.

Po uroczystości spotkałyśmy w kwiaciarni dwie panie, które kupowały kwiaty. „To dla mamy. Idziemy na cmentarz, aby opowiedzieć jej, co dziś się wydarzyło.”

Ocalona pamięć. Z szacunku dla przeszłości i dla przyszłości.

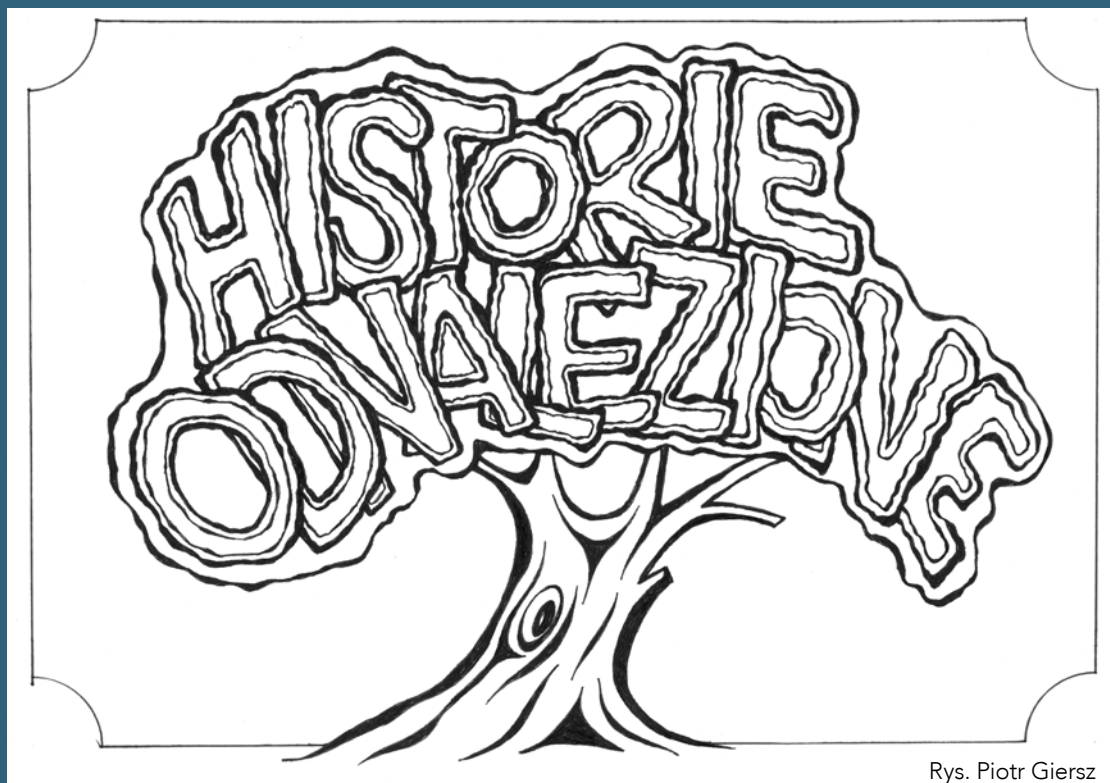
Julita Gopsz-Stasiak

Zdjęcia: Ryszard Tyszecki



Dyrektor szkoły im. Wspólnej Europy Pani Irina Maleszewska.





Rys. Piotr Giersz

HISTORIE ODNALEZIONE 2016-2022



wydanie zbiorcze, grudzień 2023

ISBN 978-83-955553-2-9



Projekt sfinansowany ze środków powiatu piaseczyńskiego.

Redakcja: Magda Mikołajczak-Olszewska, Julita Gopsz-Stasiak, Jolanta Jarosz-Hryniewicz, Elżbieta Nowińska, Nina Wierzbicka

Koordynatorka projektu: Julita Gopsz-Stasiak

e-mail: historie.odnalezione@gmail.com

Skład i druk: SFERA – Jolanta Dec, tel. 601-37-65-75

ISBN 978-83-955553-2-9



9 788395 555329